

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**Jerzy NIEMCZUK**

**ROZBITKOWIE**

**Wydawnictwo „Tower Press”  
Gdańsk 2001**

Chłopiec stał w uchylonym oknie ciemnego pokoju powoli zapinając guziki piżamy. Zdziaczał ogród prezentował się w nocy tajemniczo i niepokojąco. Wstrzymując oddech wsłuchiwał się w ciche szmery dobiegające zza okna, podczas gdy jego palce przesuwają się niezdarnie w poszukiwaniu kolejnej dziurki. Prawa poła piżamy okazała się dłuższa, za to na brzuchu powstała fałda, której jeszcze wczoraj nie było. Nie tylko ogród stawał się nocą zastanawiający i niezwykły. Przez chwilę zdawało mu się, że słyszy czyjeś ciche kroki, ale odgłos roztopił się w szeleście gałęzi. Na szczęście z kuchni dobiegało wesołe szczekanie naczyń, a rozgwieżdzone niebo posyłało mu pokrzepiające mrugnięcia.

Szymek także mrugnął kilka razy. Jego okrągła głowa odcinała się wyraźnym konturem na tle okna.

– Kładź się!

Z ciemnego kąta dobiegł głos starszego brata. Połowe łóżko zaskrzypiało karcąco.

– Zamknij okno, bo nawpuszczasz komarów – powiedział Piotr tłumiąc ziewanie. Miał dwanaście lat, był więc człowiekiem dorosłym i odpowiedzialnym.

Szymek posłusznie przymknął okno, zanim się jednak położył, jeszcze raz spojrzął na niebo.

– Zobacz! Nowy księżyc! – wykrzyknął nagle podnosząc w górę wyciągniętą rękę.

– Nie nowy, tylko w nowiu – odpowiedział Piotr sennym głosem i przewrócił się na drugi bok, po czym uświadomił sobie, że jest właśnie pełnia, ale nie chciało mu się już otwierać ust. Czuł, że ogarnia go kojąca senność.

– Chodź! Zobacz!

Poczuł szarpnięcie za ramię. Machnął ręką na osłep, ale Szymek zdążył w porę odskoczyć i cios trafił w próżnię. Na wpół rozbudzony Piotrek usiadł na łóżku, które zajęczało jak torturowane.

– Wstajemy na grzyby o piątej! Jak się nie zamkniesz, to cię nie zabiorę! – wycedził przez zęby i z westchnieniem opadł na pościel.

Szymek naciągnął kołdrę na głowę, drugą ręką zamykając sobie usta, bo korciło go bardzo, żeby zadać jeszcze jedno pytanie. Przez chwilę leżał spokojnie, po czym ostrożnie wysunął głowę i najciszej, jak tylko zdołał, wymówił imię brata. Dopiero za czwartym razem odpowiedziało mu niechętnie mruknięcie.

– Czy księżyc może mieć małe? – zapytał Szymek szeptem. Po dłuższej chwili, gdy stracił już nadzieję na odpowiedź, sąsiednie łóżko zaskrzypiało i dobiegł go głos Piotrka.

– Może mieć małe?

– Małe księżyczki – wyjaśnił Szymek.

– Na pewno ma małego brata, który po nocy zawraca mu głowę głupimi pytaniami... A teraz, jak jeszcze raz się odezwiesz, przywalę ci butem – warknął Piotrek.

Szymek zwinął się w kłębek naciągając poduszkę na głowę. Chciało mu się płakać ze złości. Nikt nie traktuje go poważnie, bo jest najmłodszy w rodzinie.

– Zobaczysz! Jeszcze będę od ciebie starszy – szepnął zaciskając zęby i wkrótce zapadł w głęboki, męczący sen. Śniło mu się, że Piotrek rzuca butami w roje małych księżyców umykające z piskiem po rozgwieżdżonym niebie. Kilka z nich spadło na ziemię i rozprysło się jak bombka na choinkę, a Piotrek wykrzykiwał niecierpliwie: „Piąta!”, licząc kolejne trafienia. Buty spadały na głowę Szymka i powalały go na ziemię, ale brat krzyczał surowym głosem: „Wstawaj! Już piąta”.

Gdy statek ekspedycji naukowo-badawczej z planety Dalek znalazł się w sferze przyciągania ziemskiego, automaty kontrolne włączyły instalację alarmową i przystąpiły do budzenia

dwuosobowej załogi, która przespała smacznie całą Drogę Mleczną. Po kilku minutach odzyskali przytomność i ze zdumieniem wsłuchiwali się w wibrujący dźwięk. Umieszczony na kolumnie półkolisty ekran emitował koncentryczne czerwono-żółte kręgi.

Dowódca wyprawy, młody stupećdziesięcioleci Ote, zbladł. Jego twarz przypominała teraz liść szklarnianej sałaty. Młodszy od niego o kilka lat Nij, językoznawca kosmiczny, którego dorobek naukowy znany był w kilku galaktykach, nie był jeszcze świadom rozmiarów niebezpieczeństwa.

To alarm? – zapytał z niedowierzaniem. Tego rodzaju efekty znał tylko z historycznych filmów podróźniczych.

Ote skinął głową w milczeniu i uruchomił przycisk głównego informatora. Ekran wypełniły natychmiast skomplikowane symbole.

– Awaria – stwierdził Ote lakonicznie.

Nij, jako językoznawca, znał oczywiście to przestarzałe słowo. Wyszło ono z użycia od dawna, od kiedy Dalekowie uporali się z tym problemem tworząc koncentryczne systemy naprawcze. Tym razem trzy układy KSN odmawiały posłuszeństwa z niezrozumiałych powodów.

Nij nie wierzył własnym oczom, ale wszystkie dane wskazywały, że stała się rzecz nieprawdopodobna. Duma kosmicznej myśli Daleków kosmiczny łazik po prostu popsuł się.

– Co teraz? – zapyta Nij z niepokojem. Dowódca wyprawy sam nie znał procedury postępowania na wypadek takiej katastrofy, zażądał więc instrukcji od głównego informatora. Dość długo trwało, zanim mózg elektronowy wydobył z zakamarków elektronicznej pamięci przestarzałą instrukcję. Nakazywała ona bezzwłoczne opuszczenie pojazdu w indywidualnej osłonie, po przejściu komory przystosowań kosmicznych, co umożliwi rozbitkom życie w zmienionych warunkach do czasu przybycia ekspedycji ratunkowej.

Przezroczyste formy przestrzenne wypełniające wnętrze łazika pulsowały niepokojąco.

– Co stanie się ze statkiem? – zapytał Nij, którego nigdy nie interesowały problemy techniczne.

– Za kilkanaście minut eksploduje – wyjaśniał Ote drżącym głosem. – Wybuch zostanie przekształcony w sygnał, który wkrótce dotrze na naszą planetę. Otrzymają w ten sposób szczegółowe dane o miejscu naszego lądowania. Będziemy musieli przetrwać około stu tutejszych dni.

Spojrzał ponuro w ekran, na którym pojawiła się powierzchnia trzeciej planety Układu Słonecznego.

Główny informator przystąpił do odmierzenia czasu dzielącego ich od chwili eksplozji. Nie było na co czekać. W pośpiechu zajęli miejsca w komorze przystosowań. Upłynęły trzy długie minuty, nim główny informator zawiadomił ich, że proces przygotowań do życia w nowych, zmienionych warunkach dobiegł końca i mogą opuścić komorę.

– A co z żywnością i energią, mamy przecież tylko osobiste zasobniki? – rzucił Ote niecierpliwie pod adresem informatora.

– Żywność i energię wydaje trzeci system, który odmówił posłuszeństwa – oznajmił automat beznamiętnym głosem.

Nij zaklął w jakimś galaktycznym dialekcie.

Czas naglił. Automat zameldował włączenie systemu detonacyjnego. Po raz ostatni spojrzeli na przytulne do niedawna wnętrze pojazdu, pulsujące teraz od wszystkich możliwych sygnałów alarmowych. Po chwili znaleźli się na platformie windy.

– Włączyć osłonę – rzucił Ote półgłosem.

Od pojazdu oddzieliły się dwie przezroczyste kule i poszybowały w przestrzeń. Trajektorię ich lotu odnotowały dokładnie ostatnie czynne na statku urządzenia pomiarowe. Pojazd gwałtownym skokiem oddalił się od Ziemi.

Zamknięci w osłonach rozbitkowie nie słyszeli detonacji. Statek przeobraził się w świetlistą kulę. Zjawisko to trwało kilka minut i zostało zaobserwowane na Ziemi. Dyżurni pracownicy kilku obserwatoriów astronomicznych przecierali ze zdumienia oczy.

Tymczasem przezroczyste, ledwie dostrzegalne kule osiągnęły niemal w tym samym momencie powierzchnię Ziemi. Elastyczna powłoka osłony złagodziła zetknięcie z gruntem. Przez chwilę kule spoczywały nieruchomo, pod przezroczystą powłoką można było dostrzec rozmyte zarysy ciała, zwiniętego w kłębek. Rozbitkowie przybierali w osłonie pozycję płodową, najbezpieczniejszą i najbardziej dostosowaną do kulistej otoczki izolującej ich od otoczenia.

W jednej z kul dał się zauważyć ledwie dostrzegalny ruch. Ote zlikwidował osłonę dotykając przycisku bezpiecznika umieszczonego na biodrze i leżał w bezruchu rozglądając się niepewnie. Nad jego głową poruszały się monumentalne konary nieznanymi drzew, ale dokoła panowała cisza. Po raz pierwszy odetchnął ziemskim powietrzem. Pierwsze westchnienie ulgi przypominało raczej cichy jęk. Spojrzał w stronę, gdzie powinna znajdować się kula Nija. Językoznawca leżał zwinięty w kłębek mrugając okrągłymi z przerażenia oczami. W niczym nie przypominał teraz koryfeusza nauki i honorowego członka pięciu akademii. Wciągnął haust powietrza i przez chwilę poruszał wargami, jakby próbował smaku nowej potrawy.

Dopiero na tle ziemskich roślin można było ocenić właściwie ich niewielkie rozmiary. Żaden z nich nie przekraczał dwudziestu kilku centymetrów. Filigranowe kształty opinały jak skóra zielone kombinezony. W istocie nie przypominały one zwykłych ubrań i w gruncie rzeczy stanowiły drugą skórę Daleków; absorbowały i magazynowały energię słoneczną, utrzymując wymaganą ciepłotę ciała, zapewniały odpowiednią wentylację, a mocna, prawie niezniszczalna powłoka, która też nie przypominała materiału, stanowiła osłonę o wiele doskonalszą niż to, w co zaopatrzyła Daleków natura. Dlatego prawie się z nią nie rozstawali. Pokrywała ona cały naskórek z wyjątkiem oczu, ale i te zaopatrzone były w rodzaj delikatnych szkieł kontaktowych. Powierzchnia tych powłok pokryta była siecią gęstych czujników mających połączenia z zakończeniami nerwowymi. W takim stroju można się było czuć swobodnie.

Wprawdzie nieproporcjonalnie duże głowy rozbitków były łyse, ale mieszkańcy ich planety z wszelkim owłosieniem rozstali się przed wielu tysiącami lat, problem zatem nie istniał.

Na tle miękkiego zielonego mchu, w mroku rozjaśnionym nikłą księżycową poświatą, drobne sylwetki przybyszów wtapiały się w tło.

Nij poruszył się ostrożnie, jakby w obawie, że gwałtowniejsza zmiana pozycji zostanie zauważona. Był wytrawnym podróżnikiem, ale tym razem odczuwał dławiący lęk. Wiedział doskonale, że są zdani tylko na własne siły, że nie istnieje statek, pod którego szczelną osłoną mogli czuć się bezpieczni nawet w najgroźniejszych zakątkach kosmosu. Nie przyszło mu nigdy do głowy, że może znaleźć się w sytuacji, w rodzaju tych, jakie pokazywano w głupawych trójwymiarowych filmach dla dzieci, nazywanych popularnie „przestraszydłami”. Wychowawcy zalecali oglądanie tych filmów dzieciom, bo życie planety było spokojne, wolne od wszelkich nieprzyjemnych niespodzianek, a zdaniem naukowców brak silniejszych emocji, nawet typu sztucznie wywołanego strachu, rzekomo zubożał dzieci umysłowo. Nij, który był dzieckiem rozgarniętym, szybko wyrósł z tych filmów. Nudziły go i śmieszyły. Wolał walki z potworami w fantomatach, ale była to rozrywka dość kosztowna i przeznaczona w zasadzie dla dorosłych. Po wrzuceniu żetonu z fantomatu wyskakiwał pełno wymiarowy potwór i rzucał się na grającego. Można z nim było stoczyć walkę używając odpowiednich rodzajów broni. Potwory w najnowocześniejszych i oczywiście najdroższych fantomatach potrafiły zadawać dotkliwy ból, który ustawał, gdy wyczerpany został czas przeznaczony na walkę.

Ote także był pełen obaw. Jako dowódca poczuwał się do odpowiedzialności za młodszego i mniej doświadczonego towarzysza. Ale co w takim przypadku może znaczyć większe doświadczenie? Sam nie przeżył niczego podobnego i nie znał nikogo, kto znalazłby się w analogicznej sytuacji. Nawet szczegółowa instrukcja postępowania w sytuacjach wyjątkowych nie zawierała niczego poza garstką banałów przepisanych z Kodeksu Kosmicznego. Nie bez trudu przywołał w pamięci ogólne dyrektywy. Po pierwsze, zdecydowanie unikać kontaktu z istotami rozumnymi. Ze względów bezpieczeństwa unikać także wszelkich istot na niższym poziomie ewolucji, zwierząt i roślin, które mogą poruszać się samodzielnie. Unikać wszelkiej interwencji w

konflikty pomiędzy mieszkańcami. I tyle. Nic na temat, jak tego wszystkiego uniknąć. Z równym skutkiem można radzić wystrzegania się chorób i nieprzyjemności. Ponad trzy ziemskie miesiące. Prawie sto dni. Niewiele dla kogoś, kto statystycznie ma przed sobą jeszcze kilkaset lat życia. Ale dni Daleków są krótsze. Ote uświadomił sobie nie bez ironii, że będą to najdłuższe trzy miesiące, jakie dane mu było przeżyć. Jeśli oczywiście przeżyją. Zaczął gorączkowo rozważać szansę.

Zapasy syntetycznej żywności, umieszczone w płaskim pojemniku przylegającym do biodra, wystarczą na kilka dni. Kalorie można oszczędzać unikając wszelkiego ruchu. W sprzyjających okolicznościach przeżyją w ten sposób dziesięć dni, może dwa tygodnie. A co potem? Energii wystarczy na kilkakrotne włączenie osłony w razie niebezpieczeństwa, lot na Ziemię musiał pochłonąć około dziewięćdziesięciu procent zasobów. Nie miał odwagi spojrzeć na licznik, by się o tym przekonać. Jest jeszcze analizator. Poglądził przytroczoną do pasa pałeczkę. Za jego pomocą mogą wyszukać coś do jedzenia.

Ote rozejrzał się ostrożnie. Nic, co ich otaczało, nie wyglądało apetycznie. Przeciwnie, można się było raczej spodziewać, że z gąszcza złowieszczych roślin wyłoni się za chwilę jakiś nieznaną stwor, który będzie usiłował ich połknąć i strawić. Także i jemu przypomniały się sztuczne monstra z fantomatów. Na tę myśl krew odpłynęła mu z twarzy, co zaznaczyło się zmianą koloru zewnętrznej powłoki.

Nija gnębiły podobne myśli. Szukając przyjaznej bliskości przyłgnęli odruchowo do siebie. Podróżnik o wszechświatowej sławie i znany językoznawca byli teraz drobinkami zagubionymi na bezdrożach kosmosu, bezradnymi jak dwoje małych szczeniąt porzuconych w lesie. Żaden z nich nie musiał niczego mówić, obaj zdawali sobie sprawę z beznadziejności sytuacji.

Gdy nieco ochłonęli, instykt podpowiedział im, że powinni szukać bezpieczniejszego miejsca. Wprawdzie na tle mchu byli w półmroku księżycowej nocy prawie niewidoczni, a ich ciała nie wydzielały żadnego zapachu, ale miejsce, w którym wylądowali, było odsłonięte i jakieś bystre oko mogło wypatrzeć rozbitków. Dokoła słychać było podejrzane szmery, trzaskanie gałęzi i odległe dziwne odgłosy. Noc w tym zakątku była porą ożywionej działalności. Przybysze podpełzli bezszelestnie do pnia drzewa. Obok rosło kilka kolczastych krzewów, których splecione gałęzie tworzyły rodzaj zamkniętego tunelu. Tu poczuli się znacznie pewniej. Ogarnęło ich znużenie po gwałtownych przeżyciach ostatniej godziny.

– Będziemy odpoczywali na zmianę – powiedział Ote szeptem, odgadując myśli przyjaciela.

Nij apatycznie skinął głową. Marzył o tym, żeby zasnąć i nie myśleć o niczym. Zwinął się w kłębek starając się unikać kontaktu z kolczastymi gałęziami.

– Ciekawe, co nam tutaj może zagrażać – starał się mówić bardzo cicho, ale mimo to Ote skarcił go wzrokiem.

– Nie znam tutejszej fauny – szepnął. – Nie było czasu na gromadzenie danych.

– A jak wyglądają istoty rozumne? – zainteresował się Nij.

– Są olbrzymie... – zaczął Ote, ale niewiele więcej miał do powiedzenia.

– Chyba wiesz coś więcej na ten temat – dopytywał się Nij. – Chociażby, jaki stopień rozwoju osiągnęli?

– Epoka destrukcji.

– Wojny?

– Wojny, konflikty, masowa produkcja środków zagłady. „Nie mogliśmy trafić lepiej”, pomyślał Nij. Zapadło milczenie. Ote wpatrywał się w mrok. Znużenie ustąpiło miejsca nowym niepokojom. Zdał sobie sprawę, jak mało wiedział o świecie, w jakim przyjdzie im żyć przez najbliższe miesiące. Z pewnością za mało, żeby przeżyć.

Nagle zeszytniał i wstrzymał oddech. Zza pnia wyłoniło się niewielkie monstrum. Niekształtny gruzłowaty korpus wsparty na czterech łapach. Płaski łeb o szerokiej paszczy i wypukłych ślepiach wyglądał jak nocny koszmar.

Ote sięgnął po pałeczkę analizatora, która w razie potrzeby pełniła także funkcję broni. Jej koniec skierował na potwora i położył palec na przycisku.

Ropucha wracająca właśnie z udanego polowania dostrzegła przybysza z opóźnieniem. Znalazła się zbyt blisko, żeby się wycofać bezpiecznie. Była starą, doświadczoną żabą, która wiele widziała. Można było zrobić tylko jedno: przywarować, zamknąć oczy i udawać trupa. Przyszło jej to łatwo, bo zasłabła ze strachu. Teraz pozostawało tylko liczyć na nieapetyczny wygląd i brodawki zawierające nieprzyjemną ciecz. Niech się dzieje, co chce.

Tkwili w bezruchu przez kilkanaście sekund, które Otemu dłużyły się jak minuty. Wreszcie odważył się wyrzeć nie zdejmując palca z przycisku. Stworzenie leżało nieruchomo i wyglądało teraz na całkowicie bezbronne. Wycofał się do kryjówki nie spuszczać z oka. Rozważał dwie możliwości. Mógł to być podstęp, przygotowanie do niespodziewanego ataku. Ale mogło też się okazać, że stwór ma na obronę jedynie swój odrażający wygląd.

Nic się nie działo. Ropucha otworzyła ślepie i uniosła się ledwie dostrzegalnie, po czym zamarła na chwilę. Dalej nic. Popęzła w dół gramoląc się po korzeniach, byle jak najprędzej oddalić się od niebezpiecznego miejsca.

Ote odetchnął z ulgą. Świadomość, że nie są na tym padole jedynymi stworzeniami, które lękają się o własną skórę, dodała mu otuchy. Zmykająca ropucha, na pozór antypatyczna i odpychająca, wydała mu się całkiem sympatycznym zwierzątkiem. Dobrze, że nie obudził Nija przedwczesnym alarmem. Mógł sobie teraz pogratulować zimnej krwi. Zachował się, jak przystało na dowódcę.

Tymczasem nieświadom niczego drugi z rozbitków obudził się i przeciągnął leniwie. Dopiero w chwilę po przebudzeniu przypomniał sobie przeżyty niedawno dramat i uświadomił beznadziejność położenia. Zmysły natychmiast odzyskały czujność. U wejścia do kryjówki majaczyła sylwetka Otego nasłuchującego nocnych odgłosów. Gdy podczołgał się i lekko dotknął jego ramienia, Ote aż podskoczył.

– Wszystko w porządku? – upewnił się Nij zajmując jego miejsce.

– Nawiązałem kontakt wzrokowy z jakimś kręgowcem – powiedział, z trudem opanowując lekkie drżenie głosu.

Nij był tym poruszony. Ote opisał plastycznie wygląd i zachowanie dziwnego stworzenia. Nij wzdrygnął się na myśl, że coś takiego mogłoby mu stanąć na drodze. W duchu szczerze podziwiał opanowanie przyjaciela. On sam na pewno by nie wytrzymał i zbudziłby Otego, i kto wie, czy nie użyłby bez potrzeby broni.

Ote zasnął chyba natychmiast, bo oddychał równym, spokojnym rytmem. Językoznawca poczuł się nieswojo. Noc wypełniona była tajemniczymi, groźnymi cieniami. Jedynie połyskujące pomiędzy drzewami niebo wydawało się przyjazne, ale było tak odległe, jak nadzieja na szybki powrót.

Mijały długie minuty i nic się nie działo. Nij, gdy jego oczy oswoiły się już z ciemnością, wypatrzył kilkanaście owadów różnych rodzajów i kształtów. Jedne poruszały się szybko po ziemi, inne latały w powietrzu. Owadami nie należało się zbyt przejmować. Powłoki skafandrów stanowiły dla nich przeszkodę nie do przebycia. Prawdziwie groźne mogły się okazać zwierzęta, ale jak dotąd żadne z nich nie pojawiło się w pobliżu, choć ich obecność zdradzały niepokojące odgłosy: chrząknięcia, trzask łamanych gałęzi, pomruki i ciche piski. Gdyby Nij miał na głowie włosy, na pewno by mu się zjeżyły.

Strumień paralizującej energii wystarczał wprawdzie, żeby obezwładnić nawet ogromne zwierzę, ale był to środek ostateczny. Zasoby energii były nikłe i trzeba się było liczyć z ewentualnością, że w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa mogą stanąć zupełnie bezbronni. Szkolono ich w specjalnego rodzaju hipnozie, ale te umiejętności były na razie bezużyteczne. Żeby wprowadzić w skuteczny trans jakieś stworzenia, należy je zbadać, poznać elementarne odruchy, sposób okazywania agresji i strachu. Zabieg taki wymaga skupienia, opanowania i czasu. Gdy coś kompletnie nieznanego spada nagle na łeb, na to wszystko jest oczywiście za późno. Pozostaje przycisk uruchamiający osłonę.

Po ziemi przemknął nagle ogromny cień. Nij skulił się odruchowo. Nie minęło kilka sekund i cień pojawił się znowu. Tym razem Nij usłyszał cichy szum miękkich jak puch skrzydeł. Gdy

zjawisko powtórzyło się po raz trzeci, zdecydował się obudzić Otego. Nie ulegało wątpliwości, że zostali zauważeni. Cofnęli się w głąb kryjówek. Stąd mogli obserwować jedynie fragment polany. Nie musieli czekać długo. Cień zbliżył się ponownie i nagle dziwny olbrzymi kształt przesłonił światło. Nij w panice, nie czekając na rozkaz, uruchomił przycisk osłony. Ote natychmiast poszedł w jego ślady.

Był to pierwszy sezon samodzielnych wypraw łowieckich młodego puchacza. Doświadczenie miał niewielkie, więc sporo się jeszcze musiał uczyć. Wyklął się na początku kwietnia i przez dwa i pół miesiąca pożywienia miał pod dostatkiem. Gniazdo czapli, które zajęli jego rodzice na okres lęgu, wspominał z rozrzewnieniem, o ile oczywiście puchacz jest w stanie cokolwiek wspominać. Tak czy owak, odkąd musiał sam troszczyć się o pożywienie, latał najczęściej o pustym brzuchu. Nie były to odpowiednie warunki do nauki. Na początku tej nocy udało mu się upolować nornicę. Wystarczyła na skromną przekąskę. Ale później im dłużej latał, tym mniej widział chętnych do zjedzenia. Głód tymczasem wzmagał się i puchacz gotów był nawet zjeść coś niejadalnego, byle tylko dało się zadziobać i przełknąć.

Gdy przelatywał nad polaną po raz pierwszy, dostrzegł pod kępą jałowca dziwne stworzenie. Nie przypominał sobie, żeby w rodzinnym gnieździe podawano coś takiego na obiad, instykt podpowiadał mu, że nieznanymi potraw należy unikać. Głód był jednak silniejszy, a ciekawość młodego puchacza niewiele słabsza, wzbился więc w powietrze po raz drugi i ślizgowym lotem przemknął nad kępą jałowca. Jego oczy przenikały ciemności jak radar. Wyraźnie widział zielonego jak żaba wielkogłowca skulonego pod krzakiem. Nie wyglądał wprawdzie apetycznie, ale dokoła nie widać było nic smaczniejszego. Zresztą pozory często mylą. Dopiero za czwartym przelotem puchacz zdecydował się zaatakować, nie był jednak do końca przekonany, czy nie popełnia błędu, i w ostatniej chwili, zamiast runąć jak błyskawica, odrobinę wyhamował. Ta chwila wahania dała wielkogłowcowi czas na cofnięcie się w głąb. Puchacz dojrzał wyraźnie dwa bliźniaczo do siebie podobne stworzenia, które w ułamku sekundy zniknęły. Widział już różne sposoby znikania; w jamach, norach, krzakach i dziuplach, ale świadkiem czegoś takiego był po raz pierwszy. Wyciągnął szyję i z niedowierzaniem wpatrywał się w pustkę, w której nie było dziury ani ukrytego wyjścia. Pustkę po czymś, co jeszcze przed chwilą najwyraźniej było. Puchacz poczuł się nieswojo. Jeśli znika się w ten sposób, to równie dobrze można wyprawiać rzeczy, o których nie śniło się żadnemu puchaczowi.

Nagle usłyszał głosy, wyraźne, ale oderwane od czegokolwiek, dochodzące dokładnie z miejsca, gdzie znikły niezwykle stwory. Tego było już aż nadto. Cofnął się w przerażeniu i wzbился w górę z głośnym łopotem skrzydeł. Odlatując spojrział ze zgrozą przez ramię odwracając głowę o sto osiemdziesiąt stopni.

Puchacz stracił apetyt na długie godziny. Przysiadł na konarze dębu i od czasu do czasu potrząsał głową jak zgorszona przekupka.

Dalekowie opuścili osłony, gdy tylko ptak zerwał się do lotu. Ponieważ nie mieli sobie do powiedzenia niczego wesołego, milczeli przez dłuższy czas, oddając się rozważaniom, z których wnioski były mało pokrzepiające.

– Co to było? – zapytał wreszcie Nij. Czuł, że jeszcze drży na całym ciele.

– Nigdy nie zajmowałem się tutejszą ornitologią – mruknął Ote niechętnie. – Trzeba się jednak liczyć z możliwością że to coś, o którego obyczajach nie mamy pojęcia, może tu jeszcze wrócić.

Po krótkiej naradzie doszli do wniosku, że obecne schronienie nie daje gwarancji bezpieczeństwa. Uznali, że należy się rozejrzeć za bezpieczniejszym miejscem.

Opuścili kryjówek i pod osłoną krzewów posuwali się w głąb lasu. Poruszali się bezszelestnie zamierzając w bezruchu przy najlżejszym podejrzanym odgłosie, aż natrafili na wgłębienie pod



korzeniami rozłożystego drzewa. Rozwidlenie korzeni utworzyło mocny strop. Wejście porośnięte było trawą, ledwo widoczne z zewnątrz. Postanowili spędzić tu pozostałą część nocy.

Jama okazała się niezbyt głęboka, ale w porównaniu z poprzednim schronieniem wydawała się niemal komfortowa. Na dnie leżał suchy piasek, kępa wysokiej trawy przesłaniała wejście, a odgłosy zewnętrznego obcego świata ledwo tu docierały. Gdyby mieli wystarczającą ilość pożywienia, mogliby czekać na przybycie ekspedycji ratunkowej całymi miesiącami nie ruszając się z miejsca.

Emocje, które przeżywali od chwili lądowania, pozwoliły im zapomnieć o głodzie, od przebudzenia nie mieli nic w ustach.

Nij westchnął.

– A może... – nie dokończył, bo Ote czytając w jego myślach uciał krótko:

– Nie teraz. Zjemy o świcie, jeśli nie znajdziemy czegoś do jedzenia.

Ote miał oczywiście rację. Skromne zasoby nie wystarczą, żeby przetrwać, ale mogą w przyszłości zdecydować o ich życiu. Językoznawca dał się przekonać, natomiast jego organizm nie przyjmował żadnych argumentów. Chciał gryźć i połykać. Do tego celu nie nadają się nawet najlepsze i najrozsądniejsze argumenty. Znaleźć pożywienie... Las pełen jest dziwnych stworzeń, które szukają czegoś do zjedzenia, i wybierając się na śniadanie trzeba się liczyć z ryzykiem, że można samemu zostać głównym daniem. Wszystko wskazywało na to, że głodnych jest tu zdecydowanie więcej niż nadających się do spożycia.

Rozsądek nakazywał im czekać do świtu, ale uczucie głodu było silniejsze. Gdy mrok zaczął blednąć, a las nieco ucichł, postanowili opuścić kryjówkę i rozejrzeć się po okolicy. Tym razem rozdzielili się. Ote ruszył na północ, Nij na południe. Było to wprawdzie ryzykowne, ale dawało więcej szans na znalezienie czegokolwiek do jedzenia.

Pełznący po mchu językoznawca przypominał wielką żabę. Poruszał się prawie bezszelestnie. Co parę kroków chował się w krzakach lub rozpadlinach i nasłuchiwał. Gdy nie działo się nic podejrzanego, posuwał się dalej. Las opustoszał. Nocne życie zamierało, a dzień jeszcze się nie rozbudziło na dobre. Była to najlepsza pora na rozpoznanie terenu.

Nij powoli oswajał się z obcym światem. Dziwaczne kształty roślin nie budziły już w nim nieuzasadnionego lęku. Niektóre z nich już rozpoznawał. Wydawały mu się teraz starymi znajomymi. To jego podświadomość szukała najmniejszej nawet szansy, by oswoić się z nieznanym.

Po kilku minutach marszu przebiegającego bez zakłóceń językoznawca nabrał pewności siebie. Rozglądał się uważnie i bez pośpiechu rejestrował w pamięci otaczające go przedmioty. Odzyskał jasność umysłu, ale wraz z nią powróciło uczucie głodu. Gdy opuścił zagajnik, znalazł się w wysokopiennym lesie. Zaciekawili go niskie rośliny, których całe gromady widział u stóp monumentalnych drzew. Pomiedzy sztywnymi błyszczącymi liśćmi połyskiwały z rzadka ciemne owoce. Ogarnęło go podniecenie. Kilka granatowych kulek wystarczyłoby, żeby wypchać pusty jak kosmiczna próżnia brzuch. Jego dłoń wyciągnęła się bez udziału woli, a usta otworzyły szeroko. Gotów był niemal konać w męczarniach, byleby tylko towarzyszyło im uczucie sytości. Z trudem zapanował nad tym odruchem i drżącą dłonią sięgnął po analizator. Myśl, że owoc może okazać się niejadalny albo co gorsza trujący, przyprawiała go o prawdziwą rozpacz. Spoglądał z niepokojem na małe ekraniki, który odsłonił się pod naciskiem palca. Wydawało mu się, że analizator zwleka z odpowiedzią – prawdopodobnie zetknął się z czymś podobnym po raz pierwszy. Nim na ekraniku pojawiły się wyniki badań, za plecami językoznawcy rozległ się trzask łamanych gałęzi. Nij podskoczył w miejscu jak wystraszony zając. Nie więcej niż kilka kroków od niego stało futrzaste czworonożne monstrum o wydłużonym pysku i mocnym szerokim karku. Jego spłaszczona głowa ubarwiona była na biało, a po bokach przebiegały dwa czarne pasma obejmujące małe złośliwe ślepia. Zwierzę zastygło w dziwnej, skróconej pozycji. Spotkanie było widocznie niespodzianką dla obu stron

Borsuk o tej porze zwykle udawał się na spoczynek do swojej obszernej i niezwykle schludnej nory. Ale od dwóch dni miał sublokatora, lisa. Zakłóciło to jego zwykły tryb życia. Był poirytowany, więc udał się na przechadzkę, by nieco ochłonać. Wiedział, że z obecnością lisa we własnej norze będzie się musiał pogodzić, ale nie przychodziło mu to łatwo. Jedyne, co mu pozostawało, to traktować sublokatora jak powietrze. Nie był przecież pierwszym borsukiem, któremu to się zdarzyło.

Żadnemu jednak borsukowi nie zdarzyło nigdy się spotkać czegoś takiego, co miał teraz przed oczami. Nic więc dziwnego, że nie miał najmniejszego pojęcia, jak się powinien zachować.

Również Nij sparaliżowany strachem nie potrafił przez chwilę wykonać najmniejszego ruchu. Naprzeciwko siebie, oko w oko, nos w nos, stały dwa stworzenia, które dzieliły lata świetlne.

Gdy Nij wykonał ruch ręką, by uruchomić osłonę, borsuk drgnął również. Językoznawca skulił się, ale ku jego przerażeniu ciało nie pogrzyżyło się w miękkiej kojącej otoczce. Osłona nie działała, natomiast przed nim wyświetlił się w powietrzu geometryczny wzór. W popłochu pomylił przyciski uruchamiając przez pomyłkę stary i zarzucony sposób nawiązania kontaktu z rozumnymi przedstawicielami innych planet. Na naprawienie błędu nie było już czasu.

Gdy dziwna błyskawica zastygła na moment w powietrzu, sierść borsuka zjeżyła się. Zwierzę nie miało oczywiście pojęcia o twierdzeniu Pitagorasa, ale to, co widziało, wystarczyło mu w zupełności. Borsuk jak sprężyna skoczył pomiędzy jałowce i w dwóch susach wpadł do nory. Jak błyskawica przemknął korytarzem przez gniazdo lisa depcząc mu po ogonie. Zaszył się w najdalszej komorze, ale przez godzinę był tak roztrzęsiony, że nie zmrużył oka.

Nij był nie mniej przestraszony. Gdy uświadomił sobie, że jest całkowicie bezbronny, zamknął oczy, a gdy je otworzył, niebezpieczeństwo już zniknęło. Twierdzenie matematyczne wyraźnie nie przypadło potworowi do gustu. Językoznawca rzucił się do panicznej ucieczki zapominając zupełnie o zachowaniu środków ostrożności. Pędził na łeb na szyję i pewnie nie zauważyłby, gdyby cokolwiek stanęło mu na drodze. Na szczęście nic takiego nie nastąpiło. Jak bomba wpadł do dziury pod korzeniami, zagrzebał się w piach, a głowę przysypał zeschniętymi liśćmi.

Także Ote nie uszedł daleko. Po kilku minutach marszu dobiegły go dziwne odgłosy. Coś chrząkało i przytupywało. Postanowił obejść to miejsce szerokim łukiem. Gdy prawie się to udało, odgłosy zbliżyły się i zaczęły dobiegać ze wszystkich stron. Znalazł się w samym środku stada żerujących dzików. Skulony pod krzakiem obserwował potężne racice rozgrzebujące ściółkę. Olbrzymie zwierzęta nie zdawały sobie jeszcze sprawy z jego obecności. Umysł Otego pracował gorączkowo. Masywne stwory przystosowane były najwyraźniej do naziemnego trybu życia. Mając takie łapy nie można marzyć o gramoleniu się po stromiznach.

Postanowił wspiąć się na którąś z wysokich roślin. Dwoma susami pokonał odległość dzielącą go od drzewa i wspiął się korzystając z zagłębień w korze. W samą porę, bo jedno z młodszych pasiastych stworzeń znalazło się pod drzewem kilka sekund później.

Ote spojrzał w dół. Stworzenie przyglądało mu się z zainteresowaniem pochrząkując przy tym. Ote po omacku szukał nogą nowego punktu zaczepienia. Nagle kawałek kory ukruszył się pod stopą i Ote runął w dół prosto na zwierzę. Warchlak nie zdążył uskoczyć i wydał przeraźliwy kwik. Dzięki temu zbiegowi okoliczności Ote nie odczuł skutków upadku. Zanim zdążył cokolwiek pomyśleć, wdrapał się na drzewo z nadzwyczajną szybkością. Usadowił się w rozwidleniu konarów i teraz dopiero odważył się spojrzeć w dół.

Zaalarmowana piskiem swej latorośli samura pędziła przez las jak burza tratując krzaki i łamiąc gałęzie. Po chwili pień potężnego drzewa zaczął drzeć pod ciosami racic. Miotła się w bezsilnej wściekłości opierając się przednimi nogami o drzewo. I znowu w furii okrążyła pień, ryła wyrzucając w powietrze kępy mchu.

Ote dygotał wczepiony kurczowo w mocny konar. Wiedział, że jest poza zasięgiem potwora, ale małe, nabiegłe krwią ślepie przyprawiały go o dreszcze. Miał ochotę wdrapać się wyżej, jak najdalej od rozwścieczonej lochy, lecz lęk osłabił go do tego stopnia, że nie mógł wykonać najmniejszego ruchu.

Furia lochy zdawała się nie mieć końca. Ote wbrew logice zaczynał obawiać się, czy mocny pień drzewa wytrzyma kolejny desperacki atak rozjuszonej matki.

Wreszcie po kilkunastu minutach, które Otemu wydawały się wiekami, samura pogrzebała kopytami w ziemi, wydała kilka groźnych fuknięć i oddaliła się.

Na dany znak spod ziemi wyrosły warchlaki i karną gromadką ruszyły śladem matki.

Gdy Ote myślał, że jest już po wszystkim, locha wróciła raz jeszcze. Stała w przyzwoitej odległości i widząc, że nic się nie dzieje, zapadła w zarośla. Tym razem na dobre. Ote nie miał jednak zamiaru ryzykować. Stratowana ziemia i odarty z kory pień nie zachęcały do szybkiego opuszczenia drzewa. Wspiął się powoli na sam wierzchołek wyniosłego dębu i rozejrzał się po okolicy. W pierwszych promieniach brzasku las wyglądał z góry jak morze skłębionej zieleni. W lewo ciągnął się aż po horyzont, ale na prawo urywał się gwałtownym uskokiem. Dalej roślinność była niska i tworzyła gładką, niemal zieloną płaszczyznę.

Na skraju tej płaszczyzny, pomiędzy kilkoma drzewami, widać było budowlę o czerwonym spadzistym dachu, do drugiej krawędzi przylegała tafla wody. Gdyby Ote widział to w innych okolicznościach, musiałby przyznać, że widok jest łagodny i kojący, ale on wiedział, że w głębinach zieleni czyha niebezpieczeństwo, że w każdej chwili może stać się ofiarą obcego świata.

Budowla, będąca bez wątpienia tworem jakichś cywilizowanych istot, budziła w nim nowe obawy i cień nadziei. Jej bliskość zaskoczyła podróżnika, niepokoiła, ale też intrygowała. Długo wpatrywał się w okna, nie dostrzegł jednak żadnego ruchu, który wskazywałby, że dom jest zamieszkały. Poczł coś w rodzaju ulgi, ale i rozczarowania.

Zsunął się ostrożnie na niższe konary. W dole panował spokój i cisza. Nic nie wskazywało na obecność zwierząt w pobliżu. Słońce prześwietliło niskie krzewy i rozproszyło cienie. W mroku roślinność wydawała się znacznie bujniejsza.

Ote przesuwiał się wokół pnia lustrując uważnie otoczenie. Gdy nabrał całkowitej pewności, że nic mu nie grozi, zszedł z drzewa i szybkim krokiem udał się w drogę powrotną. Starł się unikać otwartej przestrzeni, polan i prześwitów. Najpewniej czuł się pod osłoną wysokiej trawy.

Bez trudu odnalazł miejsce, które dało im nocą schronienie. Najpierw ze zdumieniem, potem z nagłym skurczem strachu i żalu uświadomił sobie, że kryjówka jest pusta. Po językoznawcy nie było śladu. Przed oczami stanął mu jak żywy szarżujący potwór, zmora minionej nocy. Świat zawirował mu przed oczami. Nigdy, ani wcześniej, ani potem nie poczuł tak głębokiej samotności jak w tej krótkiej chwili. Nie powinien zostawiać Nija samego. Naukowiec był bezradny i naiwny jak trzydziestoletnie dziecko.

Nagle drgnął, bo kupka liści uniosła się nieznacznie. Wpatrywały się w niego ciemne, okrągłe, jakby nieco zdziwione oczy towarzysza. Potem poruszył się piach, wyłoniła się ręka i noga.

Przyptyw ulgi odczuł Ote jak falę gwałtownego znużenia. Klapnął na ziemię i odetchnął głęboko. Językoznawca podbiegł do niego na czworakach. Chcieli paść sobie w ramiona, ale zabrakło im sił. Zetknęli się czołami i zamarli w bezruchu. Ich drobne ciała drżały lekko. Przez dłuższy czas żaden nie potrafił wykrztusić słowa.

– Nie wiem, jak długo czekałem. Myślałem, że to już koniec – wydukał wreszcie Nij.

– Myślałem, że to już koniec – powtórzył jak echo Ote.

– Żyjesz – stwierdził Nij dotykając ramienia przyjaciela.

– Żyjesz – powiedział Ote. Ogarnęło go gwałtowne znużenie. Po nocy spędzonej na drzewie był obolały i wycieńczony. Zanim zapadł w krótką drzemkę, mamrotał coś nieskładnie o swoich niedawnych przejściach. Gdy zasnął, Nij czuwał nad nim jak matka nad chorym dzieckiem. Również i on odczuwał znużenie, innego jednak rodzaju. Po przygodzie z borsukiem zagrzebał się w piachu i przesiedział w napięciu aż do przyjscia Otego, zapominając o głodzie.

Ote ocknął się po kwadransie. Był rześki. Umysł odzyskał jasność. Zastanawiał się w milczeniu leżąc z otwartymi oczami.

– Odpocznij sobie. Będę czuwał – dotarł do niego łagodny głos językoznawcy.

– Musimy poszukać innego schronienia – powiedział z namysłem.

– Dlaczego? – zdziwił się Nij. – Wydaje mi się, że jesteśmy tutaj bezpieczni.  
– Zwierzęta, które spotkaliśmy, poruszają się po ziemi. Penetrują każdy skrawek lasu. Wcześniej czy później któreś z nich nas odkryje.

Nij przyznał mu rację w milczeniu. Należało się liczyć z taką możliwością. Chociaż z drugiej strony myśl o opuszczeniu zacisznego wnętrza przyprawiała go o dreszcze.

– Masz zamiar przesiedzieć na drzewie sto tutejszych dni? Nie zapominaj, że są stworzenia latające. Na gałęzi trudniej obronić się przed atakiem.

Ote skinął głową kilka razy. Nie znaczyło to, że przyznawał rację towarzyszowi. Kiwanie głową u Daleków wyrażało głęboki namysł.

Czy nie lepiej zamaskować wejście?

– Nie sądzę, żeby to wiele dało. Zwierzęta odznaczają się znakomitą węchem i słuchem...

– A te, które latają – przerwał mu Nij – mają prawdopodobnie niezły wzrok. Co za różnica że zostaniesz wywieszony, a nie wypatrzony, a tu na dole przynajmniej się nie spada.

– Mam pewien pomysł – powiedział Ote podnosząc się.

Nij kręcił swoim płaskim nosem. Nie miał ochoty na opuszczanie kryjówki.

– Wcześniej czy później będziemy musieli się ruszyć – przekonywał go przyjaciel.

Nij wołał, żeby to nastąpiło jak najpóźniej. Na przykład po spożyciu posiłku.

Ote wahał się.

– Nie, jeszcze nie teraz – włożył wiele wysiłku, żeby zabrzmiało to stanowczo. Sam skręcał się z głodu, wyrzeczenie nie przyszło mu więc łatwo. Czuł ciężar odpowiedzialności za nich obu. – Musimy zachować rozsądek – dodał tonem usprawiedliwienia.

Słoneczne światło oślepiło ich, gdy wyszli na zewnątrz. Las tętnił nowym życiem, ale w pobliżu nie dostrzegli żywych istot, nie licząc owadów. Ze strony tych drobnych stworzeń nic im nie groziło.

Ote zachowywał się dziwnie. Zatrzymywał się pod każdym większym drzewem i obchodził jego pień dokoła.

Nij był coraz bardziej zniecierpliwiony, nie zadawał jednak pytań. Rozglądał się po lesie z ciekawością niewolną od lekkiego podniecenia, chociaż łagodny blask rozproszył nocną grozę.

Nagle Ote zniknął mu z oczu. Po chwili dostrzegł go nad swoją głową wspinającego się zręcznie po chropowatej korze. Potem jego głowa zagłębiła się w pniu wypełniając wąski otwór, nogi przez moment majtały w powietrzu, aż wreszcie zniknęły.

Patrzył na to zaintrygowany.

Głowa Otego wychynęła niespodziewanie z drzewa. Wyglądała śmiesznie, zupełnie jakby była przyrośnięta do pnia. Sprawiała wrażenie zadowolonej. Twarz podróżnika rozciągnął grymas radości. Usta mlasnęły zachęcająco.

Nij wspiął się ostrożnie. Nie znosił gramolenia się po stromych ścianach. Wnętrze dziupli okazało się niezbyt przestronne, ale od biedy mogli się obaj wyciągnąć. Dno zasłane było gałązkami i szczątkami roślin.

– Tutaj nic nam nie grozi – powiedział Ote i zaraz dodał: – W każdym razie nic z tego, co już znamy. Uczcijmy to zasłużonym posiłkiem – rzekł sięgając do pojemnika z syntetycznym prowiantem.

– Zaczekaj. Ja też mam pewien pomysł – odezwał się Nij zatrzymując jego dłoń.

Ote przełknął ślinę, ale nic nie powiedział.

– Doprowadź tę dziurę do ładu. Zaraz wracam.

U wejścia zawahał się patrząc w blisko dwumetrową przepaść. Schodzenie zajęło mu więcej czasu niż wspinaczka. Kilka razy nogi nie mogły znaleźć punktu zaczepienia. Na ziemi odetchnął z wyraźną ulgą.

Z dziupli zaczęły sypać się śmieci. Znak, że Ote zabrał się za porządki.

Językoznawca przeszedł kilkadziesiąt metrów i łakomie zaczął rozglądać się po okolicy, nie dostrzegł jednak ani śladu niskich roślin o błyszczących liściach. Nie chciał się zbytnio oddalać od

dziurawego drzewa, postanowił więc zataczać wokół niego koncentryczne kręgi. Po kilku minutach przedarł się przez kolczaste zarośla i wszedł pomiędzy wysokie, rzadko rosnące drzewa. Odnalazł wreszcie to, o co mu chodziło, zauważył jednak z żalem, że krzaczki są огоłocone. Rozczarowanie ustąpiło natychmiast miejsca emocji, gdy uświadomił sobie, że intuicja prawdopodobnie go nie zawiodła. Jeśli ktoś obrywał ciemne kulki, to zapewne po to, aby je zjadać. Gorączkowo buszował wśród krzaków jagód i wreszcie udało mu się znaleźć kilka nietkniętych, dorodnych owoców.

Ręce mu drżały i ledwie mógł utrzymać analizator w odpowiedniej pozycji. Gotów był spróbować nieznanego przysmaku, nawet gdyby odczyt wypadł negatywnie. Analizator jednak zgodnie z przewidywaniami wydał werdykt, że roślina jest jadalna, i zaczął dokładnie wymieniać składniki odżywcze, ale Nija już to nie interesowało. Wraził zęby w soczysty miąższ, a ciemne krople spłynęły mu po brodzie. Pierwszy kęs połknął w całości krztusząc się z ukontentowania. Owoce były słodkawe i cierpkie, ich prawdziwy smak Nij poznał jednak dopiero przy czwartej i piątej jagodzie. Ogołacając krzaczek mrucał z pogardą o syntetycznym żarciu, które nadaje się jedynie do zapychania czarnych dziur w kosmosie. Sięgnął po ostatni owoc i nagle ze wstydem przypomniał sobie o wygłodzonym towarzyszu niedoli. Jego twarz przybrała kolor zgniłej zieleni.

Na szczęście znalazł nie opodal dwa nienaruszone krzaczki. Odetchnął głęboko. Zaspokoił już pierwszy głód, należało teraz pomyśleć, jak przetransportować owoce do dziupli. Nie miał żadnego pojemnika, a w dłoni mieściły się nie więcej niż cztery. Spróbował ułożyć je na przedramieniu. Zrobił kilka kroków i zawadził nogą o wystający korzeń. Jagody rozsypały się. Wreszcie dał za wygraną. Wyjął analizator i przedstawił mu problem. Po chwili na ekraniku pojawiły się koraliki nanizane na łądygę. Nij wyszukał zeschniętą roślinę odpowiedniej długości i zaczął na nią nawlekać owoce.

Mieli nie budzić matki. Mieli zjawić się przed śniadaniem z pełnym koszem, postawić go tuż przy łóżku i czekać cierpliwie, aż zapach świeżych grzybów obudzi ją zdziwioną i mile zaskoczoną. „Nawet nie słyszałam, jak wychodziliście”. Bo wyjść mieli jak Indianie, jak wilki krążące w poszukiwaniu łupu. I oczywiście nic z tego nie wyszło. Szymek przewrócił blaszane wiadro. Musiał się postarać, bo stało w kącie. Blaszane wiadro robi nie mniej hałasu niż strzał z colta 45 mm

– Wstaliście, chłopcy?

Pewnie, że wstali. Nie słysząc? Blaszane wiadra nie latają na grzyby.

– Na stole są kanapki przykryte talerzem! I nie przechodźcie na drugą stronę drogi, bo zabłądzicie.

Tak, mamó. Nie, mamó.

Piotrek spojrzął z wyrzutem na młodszego brata. Wyprawa do lasu straciła posmak samodzielności, stała się zwyczajnym spacerkiem pod nadzorem matki.

– Za karę będziesz targał kosz przez całą drogę... Garkotłuk – dodał pogardliwie, gdy znaleźli się za progiem.

Szymek przyjął wielki wiklinowy kosz bez słowa protestu, tak jak się przyjmuje rozkaz dowódcy.

Wiele sobie obiecywali po tych wakacjach, gdy okazało się, że przełożony ojca, profesor Matysik, wyjechał za granicę na wykłady i zostawił im do dyspozycji swój dom nad jeziorem na ponad dwa miesiące. A niewiele brakowało i przesiedzieliby większość lata w Warszawie. Tutaj mieli las, wodę i nawet składany kajak do własnej dyspozycji.

Jeśli się nie patrzyło na drogę, na której z rzadka ktoś się pojawiał, było tu prawie tak jak na bezludnej wyspie. Piotrek żałował trochę, że nie ma kolegów w jego wieku, i z braku lepszego towarzystwa zajmował się wychowywaniem młodszego brata. Zaprawiał go w marszach, uczył

plywać, ale preceptorem był wymagającym. Sześciolatek Szymek zaciskał zęby i mrugał szybko oczami, żeby wysuszyć napływające łzy, gdy nie mógł nadążyć za Piotrkim i musiał wysłuchiwać jego cierpkich uwag. W sumie był jednak z tego układu zadowolony. Brat był wprawdzie surowy, ale po raz pierwszy traktował go nie jak małego chłopca, ale jak partnera. Zabawy z Piotrkim były p r a w d z i w e. Grali w piłkę, byli nawet na rybach, a od kilku dni szukali w lesie grzybów. To zupełnie co innego niż grzebanie się w piachu albo latanie po podwórku i udawanie karetki pogotowia.

– Musimy tak szybko iść? – zapytał zadyszczonym głosem podbiegając do brata.

– Zwolnimy w lesie.

Szymek sapnął z rezygnacją i przerzucił koszyk na lewe ramię. Wiklinowa pokrywa odchyliła się gwałtownie i palnęła go w ucho. Syknął z bólu.

– Stało się coś? – zapytał Piotrek nie odwracając głowy.

– Eee – Szymka nie było stać na dłuższą odpowiedź, bał się, że głos mu się załamie. Całe szczęście, że od lasu dzieliło ich zaledwie kilkadziesiąt metrów.

– Chcesz trochę odpocząć? – zapytał starszy chłopiec, gdy weszli w cień drzew.

– Nie.

– Mogę wziąć koszyk.

– Nie trzeba.

Twarz malca wyrażała determinację i upór. Piotrek dał za wygraną.

– Dobra. Będziemy szli obok siebie, ale nie za blisko. Jak zobaczysz grzyby, nie zrywaj, tylko mnie zawołaj. Zrozumiano?

– Mhm.

Na szczęście w lesie rosą nie tylko grzyby. Mały rozglądał się ciekawie, ale od czasu do czasu sprawdzał, czy brat jest w polu widzenia. Pomny przygód Jasia i Małgosi oraz innych nieletnich wysyłanych w bajkach po chrust, bał się zabłądzić. Wprawdzie bajka to tylko bajka, lecz z drugiej strony Baba Jaga to Baba Jaga. Niby jej nie ma, ale tak na pewno to nie wiadomo. Bo taki wilk też jest z bajki. A przecież wilki są, chociaż wszyscy mówią, że tu ich nie ma. Z Babą Jagą może być podobnie.

Piotrek zniknął pomiędzy brzoškami, a w chwilę później wyłonił się trzymając w ręku dorodnego kozaka.

– Pierwszy – uśmiechnął się pakując go do kosza. – A ty nic nie znalazłeś?

Mały pokręcił przecząco głową.

– Obżerasz się malinami?

Szymek skinął głową.

– Gdzie je znalazłeś?

Chłopiec wskazał ręką za siebie.

Przez kilka minut buszowali w maliniaku opychając się soczystymi owocami, w milczeniu przerywanym tylko pomrukami zadowolenia.

Po epizodzie z malinami Szymek rozchmurzył się nieco, kosza jednak nie chciał oddać. Włókł go po ziemi. Od czasu do czasu liczył grzyby. Był tam prawdziwek znaleziony przez niego, nieduży, krępy, pękaty grzybek. Szymek był z niego dumny. Po raz pierwszy w życiu znalazł borowika. Nawet Piotrek mu zazdrościł, chociaż jest o sześć lat starszy i zdał do szóstej klasy, a do tego zna karate. Piotrek nie chciał powiedzieć, skąd je zna. To była tajemnica. Wszystko, co dotyczy karate, jest tajemnicą. Tak twierdził Piotrek. Tę tajemnicę Piotrek wycinał z jakiejś gazety dla wojska i zgłębiał ją po kawałku. Szymek też chciał mieć dostęp do t a j e m. n i c y, ale brat twierdził, że jest jeszcze na to za mały. Zawsze był za mały na wszystko, co dobre. Piotrek przekonywał go, że w przypadku, gdyby został napadnięty, najlepiej wydać okrzyk obeszwałniający. Ale Szymek miał trudności z wymówieniem słowa „obeszwałniający”, więc ten okrzyk mu nie wychodził. „Piszczysz jak duża mysz”, powiedział Piotrek. „W ten sposób nikogo nie przestraszysz”.

Przeczesał zagajniki znajdując kilka maślaków i weszli w bór. Obok drzew iglastych rosło tu wiele dębów, zdarzały się też buki i modrzewie, których delikatnych igiełek Szymek bardzo lubił dotykać. Te drzewa udawały tylko, że są kłujące i groźne, w rzeczywistości były przyjazne i bezbronne.

Piotr z nonszalancją prawdziwego tropiciela przyglądał się zrytej polanie.

– Ktoś tu kopał robaki – zauważył rezolutnie Szymek.

– To dziki tak zbuchtowały.

– Zbuchtę... co?

– Zryły szukając żeru. O dzikach się mówi, że buchtują – wyjaśniał Piotr cierpliwie. Mały jak na razie zachowywał się zupełnie przyzwoicie, zasłużył więc na przyzwoite traktowanie.

– Na dzikach też się znasz? – zapytał Szymek spoglądając na brata z respektem.

– Trochę – stwierdził skromnie Piotrek. – Widzisz ślady? O, tutaj.

– To łapa?

– Nie mówi się łapa. Pies ma łapy.

– Kopyto – poprawił się Szymek.

– Racice.

But Szymka zmieścił się prawie cały w odcisniętej w miękkim poszyciu dziurze. Chłopiec rozejrzał się trwożnie.

– Czy te dziki nie przyjdą tutaj, żeby nas zbuchtować? – Na wszelki wypadek przyciszył głos. Dzikie nie powinny wiedzieć, że obleciał go strach.

– Nie – odpowiedział Piotrek ze śmiechem i klepnął go w plecy. – O tej porze one śpią.

Reakcja brata uspokoiła go nieco, chociaż nie do końca. Postanowił zachować czujność, na wypadek, gdyby jakiś dzik cierpiał na bezsenność. On sam przecież także nie zawsze zasypiał o właściwej porze. Zupełnie nie był przygotowany do spotkania z dzikiem. Nie miał nawet strzelby. Wyobrażał sobie, że spotkanie z dzikiem bez strzelby nie ma najmniejszego sensu. Zapomniał o obawach, gdy dostrzegł jagodowiska, wyskubane wprawdzie przez zbieraczy leśnego runa, ale od czasu do czasu trafiał się nienaruszony krzaczek. Jego dłonie szybko pokryły się fioletowymi plamami.

Tymczasem Piotrek znalazł jeszcze kilka grzybów i sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie. Był podniecony udanym grzybobraniem, a na jagody nie zwracał uwagi. Nie zwracał też uwagi na Szymka, który skacząc od kępki do kępki oddalił się o ponad sto metrów.

Malec przycupnął w jagodniku i wyciągnął dłoń. Nagle cofnął ją jak oparzony widząc dwoje ciemnych okrągłych oczu wpatrzonych weń z przerażeniem. Wśród krzewinek siedział niewielki zielonkawy stworek przypominający wyglądem małego człowieka. Sprawiał wrażenie kompletnie zaskoczonych i sparaliżowanego strachem.

Szymek również nie potrafił przez dłuższą chwilę wykonać najmniejszego ruchu. Był tym spotkaniem nie mniej zdumiony i przerażony. Stworek musiał także objadać się jagodami, bo ręce i brodę miał wysmarowane sokiem. W ręku trzymał cienką gałązkę, na której były nanizane jagody. Gdy chłopiec postąpił krok w tył, człeczek zerwał się na równe nogi. Malec zawadził nogą o kosz i przewrócił się.

Nij skorzystał z zamieszania i rzucił się do panicznej ucieczki. Dopiero po przebiegnięciu kilku metrów zdał sobie sprawę, że wciąż trzyma w dłoni gałązkę z owocami.

Szymek tymczasem pozbiierał się z ziemi i pędził w odwrotnym kierunku krzycząc jak opętany.

Piotrek, słysząc dziki wrzask, dopiero teraz zdał sobie sprawę, że stracił z oczu podopiecznego. Pełen najgorszych przeczuców rzucił się na pomoc. Oczyma wyobraźni widział młodszego brata pokąsanego przez żmiję, zwijającego się w konwulsjach. Znalazł się przy nim w ciągu kilku sekund.

Szymek nie mógł wydobyć z siebie słowa i sprawiał wrażenie bardzo poruszonego. Piotr potrząsnął go za ramiona.

– Co się stało?

– Widziałem... widziałem...

– Nic ci nie jest? – zapytał oglądając malca, który na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie całego i zdrowego. Ani śladu ukąszeń i ran, jedynie plamy po jagodach. Piotrek odetchnął z ulgą.

– Co to było? – zapytał spokojnym głosem.

Szymek zastanawiał się, nerwowo obgryzając paznokcie. Gdyby wiedział na pewno, co to było, może by się nie przestraszył aż tak bardzo. Nagle doznał olśnienia.

– Krasnoludek – powiedział z przekonaniem.

– Krasnoludek? – Piotr nie sprawiał wrażenia specjalnie zaskoczonego. Skrzywił się z niesmakiem. – Masz na myśli małego faceta w czerwonej czapeczce?

– Był bez czapki.

– Bez czapeczki?...

Ciekawe...

– Dzisiaj jest ciepło – stwierdził rezolutnie Szymek. Widział coraz wyraźniej, że brat mu nie dowierza.

– Założę się, że nie miał też brody.

– Nie miał – przyznał mały ponuro. – No widzisz, ani czapeczki, ani brody...

– To mógł być całkiem młody krasnoludek – wyjaśnił Szymek, przypomniała mu się bowiem przedszkolna piosenka: „Krasnoludek, gdy jest młody, wcale jeszcze nie ma brody. Żadnych ważnych spraw nie miewa, tylko bawi się i śpiewa...” Uznał jednak, że piosenka jest słabym argumentem.

– Oczywiście, oczywiście – powiedział Piotr z wyraźnym przekąsem.

– Był jeszcze całkiem zielony – obruszył się malec.

– Tak? – zdziwił się Piotr nieszczerze. – Nie wiedziałem, że młode krasnoludki są zielone.

– Młode jagody są zielone – malec naburmuszył się.

– Oni też pewnie rosną na drzewach i spadają, jak są dojrzałe.

Szymek przygryzł wargę. Brat najwyraźniej kpił sobie z niego.

– A ja myślę, że to była stara żaba. Tylko nie rozumiem, dlaczego tak się darłeś.

Rzeczywiście, nie powinien robić takiego rabanu. Krasnoludki, jak wiadomo, nie wyrządzają nikomu krzywdy, wręcz przeciwnie. Tamten też się pewnie przestraszył. Następnym razem już nie wpadnie w panikę.

– Gdzie koszyk? – zapytał Piotr surowo.

– To naprawdę nie była żaba!

– No to jaszczurka.

Jaszczurka ma ogon.

– Czasami go gubi...

Nie ma już o czym mówić – Piotrek machnął ręką. – Przynieś koszyk.

Szymek wahał się.

– Chyba już się nie boisz? – Piotr trącił go w czoło otwartą dłonią.

– Nie.

– To o co chodzi? – zniecierpliwiał się Piotrek.

– Bo ty nie wierzysz, a ja go naprawdę widziałem, mogłem go złapać.

– Przyszliśmy tu łapać grzyby, a nie liliputy.

– Był taki – pokazał na palcach. – I miał duże oczy.

– Strach ma duże oczy, przynieś koszyk.

Szymek ruszył w stronę jagodnika ze zwieszoną głową, mrużąc coś pod nosem.



Nij pędził na oślep. Gdy trochę ochłonął, zdał sobie sprawę, że obrał zły kierunek. Zatrzymał się gwałtownie. Wydawało mu się, że w powietrzu wibruje jeszcze okrzyk strasznego olbrzyma. Ciarki przebiegały mu po plecach. Jak najprędzej znaleźć się w dziupli, z dala od tego miejsca. Ale zakątek lasu, w którym się teraz znajdował, był obcy i napawał go trwogą, nie miał pojęcia, jak znaleźć drogę do kryjówki. Krążył po lesie zataczając coraz szersze kręgi. Upłynęło kilka minut długich jak godziny, nim odnalazł znajome miejsce. Stąd od drzewa, w którym ukrywał się Ote, dzieliło go nie więcej niż dwieście metrów. Nagle dotarł do niego szelest liści i trzask łamanych gałęzi. Z zarośli wyłonił się biały olbrzym. Nij biegł klucząc schylony nisko. Na szczęście prześladowca jeszcze go nie dostrzegł. Dwunogi olbrzym taszczył wielki pojemnik. W pewnej chwili zaczął wydawać niskie wibrujące dźwięki. Nij zauważył z przerażeniem, że dystans między nimi znacznie się zmniejszył, choć prześladowca postępował za nim bez pośpiechu i zatrzymywał się często penetrując dokładnie każdy skrawek poszycia. Widać było, że czegoś szuka, a Nij nie miał najmniejszych wątpliwości, że chodzi właśnie o niego. Był tropiony przez jednego z kolosów zamieszkujących planetę. Za pierwszym razem udało mu się zbiec, bo olbrzym był zaskoczony. Na kolejne spotkanie jest już przygotowany.

Tymczasem jednak najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że ten, którego szuka, jest o kilka kroków od niego. Od zbawczego pnia dzieliła Nija mniej więcej połowa dystansu. Biegł coraz ciężiej i oddychał z trudnością, dwa razy potknął się ze zmęczenia. Jeszcze kilkanaście metrów. Skończyły się jednak zarośla, dające dotąd naturalną osłonę i biegnący Nij stał się widoczny jak na dłoni. Wyprostował się i popędził ile sił w nogach, prosto do drzewa. Za plecami usłyszał przyspieszony oddech olbrzyma. Ziemia zadudniła pod wielkimi stopami. Nie musiał się oglądać, żeby wiedzieć, że został zauważony. Był już u stóp drzewa. Osłabłe po długim biegu nogi drżały, gdy wspinał się po pniu. Kątem oka widział pędzącego jak burza prześladowcę.

Nagle uświadomił sobie, że jest już za późno, że nawet gdyby zdążył ukryć się w dziupli, nie zażegna przecież niebezpieczeństwa. Gorzej, narazi na nie Otego. Zawahał się.

Nagle pociemniało. Nij dojrzał przed nosem cień wielkiej pięciopalczastej dłoni.

Nie namyślając się dłużej odbił się od pnia i runął w dół naciskając w powietrzu przycisk osłony. Dopiero teraz wypuścił z ręki gałązkę z jagodami. W tej samej chwili krzyk olbrzyma rozerwał ciszę. Osłona na szczęście jeszcze działała, bo lądowanie było miękkie i bezkolizyjne. Ale ułamek sekundy później nad głową Nija zamknęła się ciemność, a potem cały świat zakółysał się.

– Wpadłem w pułapkę – szepnął ze zgrozą.

Wyłączył osłonę. Nie było sensu marnotrawić energii. Ocknął się wśród oślizłych, wydzielających intensywną woń przedmiotów. Były to rośliny, bo na korzeniach wyczuwał grudki ziemi. Pułapka kołysała się miarowo. Nij zdał sobie sprawę, że jest niesiony w nieznanym kierunku. Stało się to, czego obawiał się najbardziej. Został schwytany przez mieszkańca planety. „To już koniec”, pomyślał, „i to akurat wtedy, gdy udało mi się znaleźć pożywienie, gdy pojawiła się nikła szansa na przeżycie”. Teraz stracił nadzieję. Bo też czego mógł się spodziewać po przedstawicielu gatunku wzniecającego wojny, niszczącego się nawzajem. Jest bezwzględny i agresywny, nie ma litości dla współmieszkańców własnego świata, miałby być lepszy dla intruza z odległej planety? Językoznawca zasłonił twarz czteropalczastymi dłońmi w geście rozpacz i rezygnacji.

Szymek wyciągnął rękę do zielonego człeczka nie po to, żeby go złapać. Nie chciał mu zrobić nic złego. Bał się, że spadnie z drzewa, bo gramolił się tak niezgrabnie. Biegł za nim, to prawda. Chciał mu się lepiej przyjrzeć. Chciał upewnić się, że to wcale nie stara żaba albo jaszczurka bez ogona, tylko krasnoludek albo leśny duszek. Że też wcześniej nie pomyślał o leśnych duszkach! Gdy więc wyciągnął rękę, duszek (a może jednak krasnoludek?) skoczył z drzewa. Szymek

odruchowo zamknął oczy. Bał się, że stało się coś złego. Kiedy otworzył oczy, duszek zniknął. Szymek nie był tym specjalnie zaskoczony i trochę się nawet ucieszył, że mały nieznajomy „zaczarował się” przed upadkiem. Szymek niepotrzebnie krzyknął, ale sam się przestraszył. Teraz wlokąc ciężki kosz zastanawiał się, czy opowiedzieć bratu o tej przygodzie. Piotrek znowu mu nie uwierzy i będzie się śmiał. Kiedy człowiek jest mały, to mało kto mu wierzy. A może duszek nie zdążył się zaczarować i wpadł do kosza? Szymek zatrzymał się i uchylił pokrywę. W środku nie było nic poza grzybami. W takim razie lepiej nikomu nic nie mówić.

– Gdzie ty się włóczysz? Miałeś się pilnować – skarcił go Piotrek. W rękę trzymał dwa maślaki. Wyjął mu kosz z dłoni.

– Wracamy – zakomenderował wrzucając grzyby.

Szymek wyciągnął szyję. Wydawało mu się, że we wnętrzu kosza mignęła znajoma sylwetka.

– Co, znowu ci się przywidział liliput? – zapytał brat domyślnie.

Szymek poważnie skinął głową.

– To pewnie dlatego, że za wcześnie wstałeś.

– On chyba jest w koszu – powiedział Szymek nieśmiało.

– Prześpisz się po śniadaniu, to ci przejdzie. Zdaje się, że ostatnio czytałem ci za dużo bajek.

– Ja miałem nieść – Szymek wyciągnął rękę, ale brat odepchnął go lekko.

– Teraz jest za ciężki dla ciebie.

– Tylko sprawdzę, czy jego tam nie ma.

– Cholera! – nie wytrzymał Piotrek.

– Nie klnij przy dziecku – skarcił go mały.

– Posłuchaj – zaczął Piotrek tonem łagodnej perswazji. – Bajki to są bajery dla małych dzieci.

Będiesz w moim wieku, to się przekonasz.

– Ale ja...

– Zdawało ci się. Jak byłem mały, to też mi się zdawało, że jestem prawdziwym koniem. Jadłem nawet trawę. I wiesz, co się stało? Rozchorowałem się i wtedy mi przeszło. Z udawaniem nie można przesadzać... No już. Wracamy.

Szymek przygryzł wargę do krwi i poprzysiągł sobie w duchu, że już nigdy nikomu nie opowie, nawet gdyby mu się przydarzyło coś sto razy dziwniejszego. Jak masz sześć lat, nie licz, że świat cię zrozumie. Jeśli znajdziesz zaczarowany pierścień, kwiat paproci albo czarodziejską lampę Aladyna, to najlepiej trzymaj język za zębami i udawaj, że nic się nie stało.

Przez całą powrotną drogę malec nie powiedział ani słowa, a na pytania brata odpowiadał monosylabami. Zastanawiał się, czy nie opowiedzieć mamie o swojej przygodzie, ale zaraz przypomniał sobie historię z jeżem. „Mamo, znalazłem jeża!” krzyknął podnosząc wiaderko. „Ach tak?”, powiedziała mama unosząc głowę znad książki. „Baw się, synku, grzecznie”. A przecież to był prawdziwy mały jeż, którego dym z ogniska, w jakim palili liście, wypłoszył z kępy bzu rosnącej pod oknami. Nie zwróciła uwagi, gdy złożył jeża u jej stóp. Dopiero gdy zwierzątko zaczęło się poruszać, matka raczyła spojrzeć. Była kompletnie zaskoczona i przestraszyła się, chociaż mówił jej, że znalazł jeża. Wyobrazził sobie rozmowę z matką. „Mamo! widziałem krasnoludka!” „Ach, tak? Bardzo ładnie. A teraz umyj ręczki po jagodach”.

– Bardzo ładnie – powiedziała matka ważąc w rękę kosz z grzybami. – A teraz umyjcie ręce, bo za chwilę śniadanie. Szymek stracił ochotę na zwierzenia. Jeśli brat mu nie uwierzył, to na matkę tym bardziej nie ma co liczyć. Piotrek miał rację mówiąc, że rodzice to jest inne pokolenie.

Choć zabrali do lasu kanapki, śniadanie pałaszowali z apetytem. Potem wzięli się za zmywanie naczyń. W Warszawie robili to rzadko, więc przez pierwsze dni potłukło się trochę szklanek i talerzy. Matka miała nadzieję, że dojdą do wprawy, zanim nie zostanie cokolwiek tłukącego się. Tymczasem przy każdym głośniejszym brzęknięciu, podskakiwała nerwowo i z rosnącym przerażeniem obliczała straty. Naczynia należały oczywiście do profesora i przed wyjazdem trzeba będzie je odkupić, a w ostatnich czasach zdobycie zwykłego talerza wymagało nie byle jakiego zachodu. Ze względów pedagogicznych nie wypadało wyręczać chłopaków, więc matka cierpiała i

robiła dobrą minę do złej gry, co przychodziło jej z coraz większą trudnością. Tym razem naczynia wyszły bez szwanku. Wprawdzie kubek spadł na podłogę, ale dziwnym trafem ocalał i matka mogła odetchnąć. Rozłożyła na stole stare gazety i zabrała się do czyszczenia grzybów.

Gdy światło wdarło się do wnętrza pułapki, Nij sprężył się do skoku i wtedy na jego głowę posypały się nowe grzyby. W chwilę później znowu zapadła ciemność i kosz zaczął kołysać się miarowo. Językoznawca wczepił się palcami w wiklinę i zbliżył oczy do niewielkiego otworu. Zauważył, że opuścili już las i szli przez zieloną równinę porośniętą jednorodną roślinnością. Poczul w gardle dławiący ucisk lęku, gdy ujrzał potężne ramię drugiego olbrzyma, prawie dwukrotnie większego.

W półmroku Nij wyglądał jak więzień oparty o kratę. Wsłuchiwał się w głosy niosących go kolosów. Ich mowa pełna była złowrogich zgrzytów, szelestów i syknięć. W niczym nie przypominała dźwięcznej, melodyjnej mowy Daleków. Po monstrach, które wydają tak straszliwe dźwięki, nie należało się spodziewać niczego dobrego. „Potrzymaj kosz”, dobiegło go z zewnątrz. „Kosz”, powtórzył Nij szeptem i wzdrygnął się. Nie miał trudności z imitowaniem tych dźwięków, był przecież nie tylko lingwistą, ale i zdolnym poliglotą. Znał blisko czterysta galaktycznych dialektów, a dwustu trzydziestoma językami władał zupełnie płynnie. Na opanowanie nowego potrzebował nie więcej niż kilku dni dzięki fenomenalnej pamięci, naśladowczym zdolnościom i zapamiętałym studiom nad gramatykami. Im więcej się uczył, tym łatwiej mu to przychodziło. Teraz cała ta wiedza wydawała mu się mało przydatnym balastem. Nie wiedział bowiem najważniejszego: jak wydostać się z zamknięcia i odnaleźć towarzysza.

Z obrzydzeniem strząsnął z nogi oślizłą roślinę i wtulił się w najdalszy kąt. Nagle do wnętrza wdarło się ostre światło. Językoznawca odruchowo skurczył się i nie zdając sobie z tego sprawy uruchomił osłonę.

Szymek wyjmował grzyby pojedynczo i układał je na stole gatunkami. Oczywiście zerknął do kosza na samym początku, nie zauważył jednak ani śladu leśnego duszka (a może jednak młodego krasnoludka?).

– Ho, ho – powiedziała matka, gdy wszystkie grzyby znalazły się na gazecie – widzę, że z was wytrawni grzybiarze! Szymek dużo znalazł?

– Prawdziwka i dwa maślaki. Bawił się w polowanie na karzełka czy liliputa.

Malec spojrzął na brata spode łba, ale nie rzekł ani słowa. Machinalnie włożył rękę do pustego już kosza.

– Szymek jest jeszcze mały, nic dziwnego, że trochę go to nudzi. Musisz być dla niego wyrozumiały – powiedziała matka czyszcząc wilgotną ściereczką łepki borowika.

– Jestem wyrozumiały – obruszył się Piotrek – ale on darł się tak, jakby naprawdę coś się stało. Myślałem, że ugryzła go żmija. Trzeba go zaprowadzić do lekarza, żeby mu dał coś na zmniejszenie wyobraźni.

– Nie gadaj głupstw. Jeszcze nie tak dawno sam się darłeś, jak komar siadał ci na nodze. „Skoczył na mnie! Skoczył na mnie!” Tak krzyczałeś, jakby to był lampart, a nie mały owad.

Szymek nie słuchał. Stał przy stole z dziwnym uśmiechem trzymając przed sobą rozczapierzone palce wypełnione pustką.

– Nie mówiłem! – krzyknął Piotr triumfalnie. – Popatrz na niego.

– Niewidzialna piłka... – szepnęła matka. Na tyle głośno, że usłyszeli to oboje.

– Aha, to pewnie dlatego jej nie widać! – powiedział Piotrek i roześmiał się ze złośliwą satysfakcją.

– To logiczne – ucięła matka skracając korzeń czerwonego kozaka. – Pod tym względem nie jest gorszy od ciebie. Wymyśliłeś sobie towarzysza zabaw... Jakże on się nazywał? Popatrz, nie mogę sobie przypomnieć...

Piotr nie miał zamiaru pomagać matce.

– ... mniejsza z tym – ciągnęła sięgając po następnego grzyba. – Jeśli coś zrobiłeś, to zwałęś na niego winę.

Mały Holek. Piotrek pamiętał go jeszcze. Sam był przecież dużym Holkiem. Pewnego dnia popsuł ojcu suwak logarytmiczny. „To nie ja, to nie ja!”, krzyczał jak zwykle. „A kto? Pewnie znowu mały Holek?”, zapytał ojciec potrząsając suwakiem. Chłopiec milczał ze spuszczoną głową i wtedy ojciec powiedział: „Tak się jakoś dziwnie składa, że nigdy go nie widziałem. Mam więc dla ciebie propozycję: spuszczę ci manto, a ty mu oddasz. No jak? Dalej twierdzisz, że to mały Holek?”, zapytał ojciec zdejmując szeroki wojskowy pas, który nosił do dżinsów. „Nie jestem skarżypyta”, odpowiedział Piotrek oględnie i to uratowało go przed laniem.

Szymek stał chwilę wpatrując się we własne dłonie obejmujące niewidzialny, a przecież wyczuwalny kształt, który poddawał się lekko naciskowi palców. Spojrzał z niedowierzaniem na matkę i brata. Rozmawiali dalej nie zwracając na niego najmniejszej uwagi, a przecież musieli to zauważyć. Zdał sobie sprawę, że nie mogą widzieć niczego poza jego rozstawionymi rękami. Sam też nic nie zauważyłby, gdyby nie dotknął tego po omacku. „Co to może być?” zastanawiał się zaintrygowany. Doszedł do wniosku, że musi to mieć związek z leśnym duszkiem. Jeśli to prezent, niewidzialna piłka, jak podejrzewał w pierwszej chwili, to dlaczego tamten uciekał? Sprawiał wrażenie przestraszonego. Jeśli się kogoś boisz, to go nie lubisz. Wrogom nie daje się prezentów... Chociaż z drugiej strony, w bajce o złotej rybce rybak był nieprzyjacielem. Wypuścił rybkę dopiero wtedy, gdy przemówiła ludzkim głosem. Ale przecież Szymek nawet nie chciał go złapać. A może duszek dowiedział się o tym jakimś magicznym sposobem? Wyglądało to na bardzo prawdopodobne.

Zastanawiał się, czy ma powiedzieć o tym mamie. Może jednak nie mówić? Tuż przed wakacjami kolega z przedszkola pożyczył mu czołg. Mama kazała oddać zabawkę następnego dnia. Z piłką może być tak samo. Jest zaczarowana, a więc na pewno bardzo droga. Nie można jej dostać nawet w „Pewexie”. Szymek nie chciał się rozstawać z dziwną zabawką, nie miał też zamiaru pokazywać jej bratu. Postanowił ją tymczasem dobrze schować. Z tym nie powinno być kłopotów, zaczarowanej piłki nie można przecież zobaczyć. Wolał jednak nie zostawiać jej w pokoju, który zajmowali z bratem. Przypomniawszy sobie o starym kufrze stojącym na strychu.

Wymknął się z kuchni. Na szczęście drzwi prowadzące na górę były uchylone i nie musiał przystawić skrzynki, żeby odsunąć ciężki skobel.

Na strychu panował półmrok poprzecinany smugami światła, w których wirowały drobinki kurzu. Chłopiec, jedną ręką przyciskając kulę do piersi, z wielkim trudem podniósł ciężką pokrywę, a potem ostrożnie ułożył kulę na dnie kufra. Przez moment jego nogi majtały w powietrzu, niewiele brakowało i wpadłby do skrzyni. Wieko wysliznęło mu się z ręki i zatrzasnęło się z głuchym stęknieniem.

Chłopiec wgramolił się na kufer, podciągnął nogi pod brodę i zamyślił się. Miał świadomość, że przydarzyło mu się coś niezwykłego, co znał do tej pory jedynie z bajek, o których dorośli mówili, że są n i e p r a w d z i w e. Szymkowi tymczasem zdarzyła się bajka najprawdziwsza. Nie można jej było zobaczyć, ale można ją było dotknąć i trzymać w dłoniach.

Gdyby był dorosły, miałby zapewne wątpliwości, czy nie ulega halucynacjom. Ale Szymek nie słyszał nigdy o halucynacjach.

Nie zastanawiał się nad istotą niezwykłego fenomenu ani nad wiarygodnością własnych zmysłów. Wstał, otrząpął z kurzu spodni i na palcach zszedł po schodach. W kilkanaście sekund później był już w sadzie i zrywał czereśnie.

Językoznawca postanowił nie wyściubiać nosa z osłony, dopóki to możliwe. Spodziewał się najgorszego i co zrozumiałe, chciał przedłużyć swe życie choćby o kilka minut. Nie miał odwagi spojrzeć, jak olbrzymie dłonie metodycznie i bez pośpiechu penetrują wnętrze pułapki. Wreszcie stało się. Został uniesiony w górę. Palce wielkie jak jego ręce obmacywały osłonę, jakby szukały w niej słabego punktu. Potem poczuł, że jest gdzieś unoszony. Złożono go w pomieszczeniu o wysokich ścianach i zatrzaśnięto sufit nad jego głową. Najwidoczniej ziemskie kolosy nie potrafiły sobie poradzić z osłoną, ale po jej zbadaniu doszły do wniosku, że działanie szczelnego zabezpieczenia nie może trwać w nieskończoność. Nij wiedział o tym doskonale, więc gdy tylko pozostawiono go samego, zwolnił przycisk, żeby zaoszczędzić choć odrobinę cennej energii. Nie na wiele się to zdało. Odczyt wykazywał niewiele powyżej zera. Akurat tyle, żeby przez kilka minut korzystać z analizatora.

Beznadziejność położenia wyzwoliła w nim niespodziewanie pokłady desperacji, których nawet nie podejrzewał w sobie. Gotów był stawić czoła olbrzymom. Niech się dzieje, co chce! Zaczął kopać i walić pięściami w mocne, elastyczne ściany więzienia, jakby obawiał się, że później nie starczy mu odwagi. Dokoła panowała jednak głucha cisza. Zdziwiło go to. Podejrzewał, że jest obserwowany, dlaczego więc nie reagują?

Przez czas jakiś miotał się w skrzyni bez najmniejszego skutku, wreszcie wyczerpany i zrezygnowany przycupnął w kącie. Nie na długo jednak. Głód znowu dał znać o sobie. Wstał i zaczął grzmocić w deski metodycznie, krótkimi seriami, nasłuchując, czy nie ma jakiegoś odzewu, i robiąc przerwy dla odpoczynku.

Wyczekiwanie, niepewność i głód wydawały mu się gorsze niż nie znany los. Nij był w gruncie rzeczy niepoprawnym optymistą i wbrew wszelkim danym kołatała się w nim nadzieja. Ta nadzieja tłukła z desperacją w ściany kufra.

Szymek wbiegł po skrzypiących schodach trzymając w ręku blaszany kubek wypełniony do połowy czereśniami. Zatrzaśnięta w kufrze tajemnica fascynowała go i przyciągała. Wierzył w głębi ducha, że jest ona początkiem czegoś niezwykłego i wspaniałego. Obawiał się, że przeoczy moment, gdy z kuli zaczną wykluwać się jakieś czary i dziwy.

Na strychu tylko z pozoru panowała cisza. Wystarczyło nastawić trochę ucha, żeby usłyszeć cichy chrzęst kołatków palaszujących stare krokwie.

Szymek wypluł pestkę mierząc w szparę między deskami i właśnie wtedy usłyszał ciche, chociaż całkiem wyraźne postukiwanie. Nie było najmniejszych wątpliwości, że odgłos ten dobiega ze starego kufra.

Chłopiec wpatrywał się w skrzynię wstrzymując oddech. Ciekawość walczyła ze strachem. Szymek przypomniał sobie o przypadkach uwalniania dżinów oraz potworów, które zamiast odczuwać wdzięczność wobec oswobodziciela, przysparzały mu nielichych kłopotów. Były to jednak monstra równie złośliwe co głupie i można je było nieskomplikowanym podstępem zagonić z powrotem do dzbana i zakorkować na wieki.

Szymek podszedł do skrzyni na palcach, uniósł wieko i na wszelki wypadek odskoczył, spodziewając się, że za chwilę z ciemnego wnętrza buchną kłęby gęstego dymu, z których uformuje się jakieś straszidło. Nic takiego jednak nie nastąpiło i chłopiec skłonny był sądzić, że uległ przywidzeniu. Postukiwanie ucichło i nic się nie działo. Szymek zajrzał ostrożnie do wnętrza kufra i zmartwił. Z ciemnego kąta wytrzeszczała się na niego para wyraźnych, okrągłych oczu. Szarpnął za wieko wypuszczając z ręki emaliowany kubek i rzucił się do ucieczki.

Dopiero w jasnym świetle południa ochłonął z przerażenia. W pierwszym odruchu chciał oczywiście opowiedzieć o wszystkim matce i bratu, ale coś go przed tym powstrzymywało. Może niepotrzebnie stchórzył? W tych oczach również czaił się lęk. Nie były przerażające, lecz

przestraszone i teraz wydawały mu się znajome. Czyżby duszek zamienił się w niewidzialną piłkę? Przemógł strach i powoli zaczął wspinać się na schody. Po drodze dogonił go bury kot, którego przygarnęli na początku pobytu. Zaczął łąsić się z wysoko uniesionym ogonem i ocierać o nogi. Szymek wziął go pod pachę. We dwóch zawsze raźniej.

Najpierw oślepiła go jasność, potem na krótką chwilę ujrzał najmniejszego z olbrzymów, na koniec coś wpadło do środka z łoskotem, pokrywa zamknęła się z hukiem. Ponownie zapadły ciemności. Nij począł przeszukiwać na czworakach dno pomieszczenia. Poszukiwania nie trwały długo. Już po chwili wyrznął czołem w jakiś pojemnik. Naczynie wydało metaliczny dźwięk. Był to cylinder z dużym uchwytem umieszczonym z boku. Wspinając się na palce wsadził rękę do środka i namacał palcami sporej wielkości kuliste owoce. Nij wyjął jeden z nich i bez wahania nadgryzł. „Przypomnieli sobie nareszcie”, mruknął żując soczysty miąższ. Owoce były równie smaczne jak te, których próbował w lesie, tyle że większe i słodsze. W środku kryły jednak nieprzyjemną niespodziankę. Zęby Nij zgrzytnęły na pestce. Drugą czereśnię językoznawca jadł już znacznie ostrożniej.

Gdy sufit więzienia uniósł się zupełnie nieoczekiwanie, Nij zakrztusił się. Nad swoją głową ujrzał ponownie olbrzyma, tym razem trzymającego w rękach jakieś futrzaste zwierzę o dużych żółtawych oczach. Futrzak wytrzeszczył jasne ślepia, prychnął i uwolnił się z objęć gwałtownym skrzętem giętkiego ciała. Spadł na ziemię prawie bezgłośnie. Nijowi przyszło do głowy, że został skazany na pożarcie, i dziękował losowi, że nie przypadł do gustu futrzastemu potworowi. Odruchowo wyciągnął ręce w obronnym geście.

Olbrzym najpierw cofnął się niezdecydowany, lecz po chwili jego twarz ponownie pojawiła się w polu widzenia. Wsadził palec w otwór gębowy i przyglądał się językoznawcy mrugając szybko oczami. Gdy usunął palec, z jego ust wydobył się cichy szmer.

– Nie bój się... – szepnął Szymek. Tylko w połowie odnosiło się to do niezwykłego lokatora kufra. Chłopiec chciał dodać odwagi także i sobie.

– Nie bój się – usłyszał z głębi kufra. Głos wydał mu się dziwnie znajomy. To natomiast, że krasnal odzywa się ludzkim głosem zdziwiło go znacznie mniej. W gruncie rzeczy było to do przewidzenia. Szymek uśmiechnął się. Nie odczuwał już lęku ani niepewności.

Również Nij poczuł się bezpieczniej, gdy na twarzy olbrzyma pojawił się uśmiech. Nie miał wprawdzie całkowitej pewności, czy jest to uśmiech, nie znał przecież obyczajów mieszkańców planety, ale owo powierzchowne podobieństwo nappełniło go otuchą. Uśmiechnął się więc także, najszerzej, jak potrafił.

– Jestem Szymek – powiedział chłopiec.

– Jestem Szymek – powtórzył językoznawca cichym, ale dźwięcznym i wyraźnym głosem.

Zapanowała chwila ciszy. Chłopiec uświadomił sobie, że mały nieznajomy nie tyle mówi, co powtarza jego słowa wiernie jak magnetofon.

– To ja jestem Szymek – powiedział wreszcie stukając się palcem w pierś.

– Jestem Szymek – powtórzył językoznawca wyciągając rękę w jego kierunku.

– Szymek – powiedział chłopiec poklepując się dłońmi po całym ciele.

Nij zrozumiał, że jest to prezentacja. Olbrzym podawał swoją nazwę gatunkową, a może imię. Tak czy owak pantomima była przejrzysta. Nagle olbrzym pochylił się nad kufrem i językoznawca

odskoczył jak oparzony. Olbrzym wycofał się natychmiast ostrożnie i zaczął wykonywać dłońmi jakieś przyjazne gesty.

Nij uspokoił się. Nie powinien bezrozumnie ulegać odruchom paniki. Jeśli to stworzenie okazuje mu jakieś względy, stara się nawiązać kontakt, to znaczy, że rysuje się nikła szansa, jeśli nie na uwolnienie, to przynajmniej na przeżycie. Przecież i tak jest zdany na jego łaskę i niełaskę.

Tymczasem olbrzym po raz drugi powtarzał jakieś plastyczne gesty. Jedną dłoń układał płasko, z drugiej formując coś w rodzaju dwunożnego stworzenia. Ta druga dłoń wchodziła na palcach na pierwszą, po czym obie znikwały poza zasięgiem więzienia. Za trzecim razem Nij domyślił się, o co chodzi. Olbrzym wyraźnie namawiał go do opuszczenia pułapki. Zachęcał go do wyjścia i ofiarowywał własną pomoc. Nij przestał cokolwiek rozumieć. Wielka ręka spoczęła na dnie pułapki i poruszała się zachęcająco. Wpełznął na nią z wahaniem i obawą. Dłoń uniosła się ostrożnie. Po chwili stał na podłodze wielkiego zadaszonego pomieszczenia. Olbrzym klęczał naprzeciw i szeptał uspokajającym tonem. Potem podniósł się i zaczął wykonywać dziwne gesty. Powtarzał je po kilka razy i spoglądał na Nija szukając w jego oczach zrozumienia.

Językoznawca obserwował go w skupieniu. Powoli wyłaniała się z tego historia jego schwytania i uwięzienia. Olbrzym rysował w powietrzu przedmioty, które Nij zaczynał rozpoznawać. Pułapkę, która zamknęła się w lesie nad jego głową. Drzewo, po którym się wspinał tak niefortunnie, wreszcie samego siebie. Był w tej pantomimie dłońią spacerującą na dwóch palcach.

– Szymek, co tym tam wyprawiasz na strychu! – dobiegł z dołu głos matki.

Chłopiec drgnął. Szybko nakazał rozbitkowi ukryć się za kufrem. Tego gestu nie musiał powtarzać, Nij okazał się pojętym uczniem. Natychmiast zaszył się w ciemnym kącie. W chwilę później olbrzym postawił przed nim pojemnik z owocami. Nij słyszał, jak zbiega po schodach, które zadygotały pod jego ciężkimi nogami. Żując czereśnie zastanawiał się nad własnym położeniem. Ten, co go schwytał, najwyraźniej chciał ukryć jego obecność przed pozostałymi. Gdyby wiedzieli, że został schwytany, nie miałyby to najmniejszego sensu. Czyżby więc nie wiedzieli? Próbować ucieczki nie miało sensu. Dom był prawdopodobnie strzeżony, a poza tym nie miał pojęcia, w jaką stronę się udać. Postanowił czekać cierpliwie na dalszy rozwój wydarzeń.

Szymek zszedł w samą porę. Na dole zderzył się z matką, której zmarszczone brwi nie wróżyły nic dobrego.

– Znowu łazisz po strychu, a tyle razy cię prosiłam – mówiła prowadząc go za rękę – pełno tam dziur i spróchniałych desek. Złamiesz sobie nogę i przeleżysz całe wakacje w szpitalu!

– Ja tylko na chwilkę...

– Zamknę drzwi na kłódkę i nareszcie będę miała spokój!

– Więcej nie będę.

– Po co tam poszedłeś?

– Po nic.

– Jak to: po nic?

Z głupoty – odpowiedział Szymek.

Udało mu się osiągnąć pożądaný skutek. Matka z trudem zachowała pozory powagi. Skorzystał z tego natychmiast, żeby skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory.

Kiedy przyjedzie tato?

– Już niedługo. Jak skończą się egzaminy na uczelnię.

– Po-po-po-po-po-pojutrze?

Matka skinęła głową i popchnęła go w stronę ogrodu.

– Baw się na świeżym powietrzu, póki jest pogoda.

Szymek obiegł dom dokoła i po chwili znowu znalazł się w drzwiach wiodących do wnętrza. Matka odwrócona plecami do wejścia przygotowywała kolację. Bezgłośnie przemknął przez korytarz. Drzwi prowadzące na strych były zamknięte. Wyciągnął rękę wspinając się na palce, ale brakowało mu kilkunastu centymetrów.

– Cholera! – syknął ze złością i zrezygnowany przysiadł na schodku. I wtedy właśnie dojrzał młotek oparty o ścianę. Ujął go oburącz i mierząc starannie uderzył w zasuwę. Rozległ się przeraźliwy hałas, ale drzwi odskoczyły lekko, Droga była wolna. Z kuchni odezwał się jednak pytający głos matki:

– Szymek? – powtórzyła po chwili.

Za moment zajrzy na korytarz i zobaczy, że drzwi są otwarte. Chłopiec nie namyślając się wiele odłożył młotek i wpadł jak bomba do kuchni.

– Co ty znowu wyprawiasz?

– Młotek upadł – skłamał bez zająknięcia.

– Prosiłam cię tyle razy, żebyś nie wynosił narzędzi. Rozrzucasz je po całym obejściu.

– A koszyk mogę wynieść? – zapytał przymilnie.

– Po co ci koszyk? – zdziwiła się matka.

– Chcę do niego złapać lamparta.

– Dobrze. Tylko uważaj, żeby lampart nie zniszczył koszyka.

Wypadł z wrzaskiem przed dom. Darł się z wyrachowania. Chodziło mu o to, żeby nie budzić podejrzeń. Postanowił zachowywać się normalnie. Gdyby był zanadto spokojny, matka domyśliłaby się, że zaczyna coś kombinować. Przysiadł z koszem pod drzewem i zaczął obmyślać kolejne posunięcia, a kiedy plan był już gotowy, cicho wśliznął się na korytarz. Po schodach wszedł prawie bezszelestnie, jeśli nie liczyć skrzypienia, które przy każdym ruchu wydawał wiklinowy kosz.

– Hej, hop, hop – zawołał cicho kucając przy kufrze..

Upłynęło kilkanaście sekund, zanim z ukrycia wyłoniła się łysa zielonkawa głowa. Żuchwa Nija poruszała się miarowo. Przeżuwał właśnie ostatnią czereśnię. Gdy spojrział na kosz, w jego oczach pojawił się błysk niepokoju.

Chłopiec uniósł pokrywę i na migi zaczął zachęcać go do wejścia. Jego gesty były przejrzyste. Przydały się godziny spędzone z Piotrkim na zabawie w pokazywanie bez słów najrozmaitszych rzeczy.

Językoznawca wahał się. Pułapka napełniała go zrozumiałą odrazą, przemógł jednak niechęć i niepewnie zbliżył się do kosza, który olbrzym, aby ułatwić mu wejście, położył na boku. Powoli wstąpił w mroczne wnętrze, pełen obaw i niepewności. Ściany zatrzeszczały i kosz powoli przybrał pozycję pionową. Wieko opadło i Nij został uniesiony w górę. Podłoga kołysała się i chrzęściła miarowo. Nij przywarł okiem do ściany, wczepiając w nią palce.

Gdy olbrzym wyszedł na otwartą przestrzeń, za jego plecami dały się słyszeć odległe pokrzykiwania. Pułapka zaczęła podskakiwać gwałtownie. Językoznawca wczepił mocniej palce w drewniane sploty, żeby nie obijać się po wnętrzu. Słyszał, jak uderzenia nóg miażdżyły ziemię, i przyspieszony oddech niosącego go kolosa, który pędził wielkimi susami w stronę lasu.

Nagle kosz wykonał gwałtowną ewolucję. Nij odpadł od ściany i przekoziółkował przez całe pomieszczenie. Dopiero po kilku nieudanych próbach udało mu się znaleźć punkt zaczepienia dla palców. Znalazł w ścianie wąski prześwit. Wyglądanie przez niewielką szparę w pomieszczeniu wyczyniającym dziwaczne i nieprzewidziane ewolucje było przedsięwzięciem karkołomnym. Przez chwilę nie było widać nic poza szaroniebieskim niebem, potem nagle zrobiło się zielono i jeszcze raz niebiesko.

Gdy kolos wyrównał krok, obserwacja stała się nieco łatwiejsza. W oddali Nij dostrzegł drugiego olbrzyma, który najprawdopodobniej wyruszył za nimi w pogoń. Był szybszy i sprawniejszy. Przewaga zmniejszała się z każdą sekundą. Ścigający ich Ziemianin co jakiś czas wydawał z siebie przeraźliwe okrzyki, które przyprawiały Nij o drżenie. Wolał nie myśleć, co się



stanie, gdy wpadną w ręce potwora. Na szczęście okoliczności nie sprzyjały rozmyślaniom. We wnętrzu kosza kołatały się i trzęsły jak w mikserze obawy i nadzieje.

Nigdy przedtem ani potem nie przeżył Nij tylu wzlotów i upadków w tak krótkim czasie.

Gdy znaleźli się w lesie, ogarnął ich kojący półmrok, ale było to tylko złudzenie spokoju. Odgłosy pościgu słycać było coraz bliżej. Trzask łamanych gałęzi, chrzęst ścian i ciężki oddech olbrzyma zlały się w jedno. Nagle wszystko ucichło i Nij miał wrażenie, że spada, po czym pułapka znieruchomiła, a do jej wnętrza wraz ze światłem wdarło się chłodne powietrze. Wysoko nad głową przybysza z kosmosu pochylał się ogromny tubylec i przyciszonym głosem wymawiał niezrozumiałe słowa. Gdy jego otwarta dłoń znalazła się na dnie kosza, Nij wskoczył na nią bez chwili wahania. Gdy dłoń jak winda uniosła go w powietrze, rozpoznał bez trudu znajome drzewo. Ręka zatrzymała się na wysokości otworu. Nij obejrzał się, ale twarz wybawcy zwrócona była w inną stronę. Krzaki na skraju polany rozchyliły się gwałtownie. Nij nie czekał na to, co nastąpi, odbił się obunóż i dał susa w ciemność.

Piotr chwycił brata za kołnierz i niemal uniósł go w powietrze, po czym potrząsnął za ramiona. Obaj z trudem łapali powietrze. Piotrek patrzył na młodszego brata z wahaniem, jakby się zastanawiał, czy ma go udusić, rozszarpać na kawałki, czy może zwyczajnie sprać. Nic z tego wszakże nie nastąpiło, bo w oczach malca dostrzegł pogodną zgodę na wszelkie możliwe represje. Nie uśmiechał się. Uśmiech doprowadziłby Piotrka do furii, ale właśnie w oczach krył się cień zadowolenia.

– Dlaczego uciekłeś, kretynie? – zapytał Piotr.

– To tajemnica – odpowiedział kretyn.

– No to powiem ci w tajemnicy, że matka spuści ci manto. A teraz marsz do domu!

Chłopiec zarzucił koszyk na ramię i posłusznie ruszył przed siebie.

W połowie drogi, którą przebyli w całkowitym milczeniu, natknęli się na matkę. Była roztrzęsiona i blada.

Szymek przygotowany był na solidną reprimendę i ewentualne lanie. Zdawał sobie sprawę, że na jakąś karę zasłużył, choć do prawdziwej winy się nie poczuwał. A jednak wszelkie pozory świadczyły przeciwko niemu i Szymek gotów był na poniesienie konsekwencji. Ale mama wcale się nie złościła. W jej oczach dostrzegł niemy wyrzut. Wyrządził jej nie zamierzoną przykrość. Straciła do niego zaufanie.

Takie stawianie sprawy nie odpowiadało mu zupełnie. Wolałby karę, nawet surową. Tymczasem mama opowiadała o dzieciach, które błądzą po lesie i giną z wycieńczenia, o rozpaczających matkach. Szymek miał ochotę wyjawić całą prawdę o tym, że wcale nie uciekał z głupoty i lekkomyślności, ale że zajął się właśnie zbłąkanym dzieckiem. Bo że duszek był dzieckiem, to pewne. A dzieci mają matki, które za nimi tęsknią. Ale mama powiedziała wówczas, że tylko bajki dobrze się kończą, i Szymek stracił ochotę na zwierzenia. Ta bajka mogła się dla niego skończyć niedobrze.

Przy kolacji matka oświadczyła, że w związku z tym wybrykiem musi wprowadzić na kilka najbliższych dni nadzwyczajne środki ostrożności. Pod żadnym pozorem nie będzie mu wolno oddalać się na krok od domu. Zawiesza się także kąpiele w jeziorze i wycieczki z bratem.

Chłopiec głośno przelknął ślinę. Cios był dotkliwy. Że też zdarzyło się to akurat teraz, kiedy woda jest ciepła i tak niewiele brakuje, żeby nauczył się pływać! Brodził już po płytkiej wodzie podpierając się jedynie palcami rąk. Kiedy odrywał jedną z nich od dna, to prawie płynął.

Piotrkowi zrobiło się żal małego. – I po co uciekałeś, głąbie? – szepnął współczująco.

– Nie uciekałem – odpowiedział Szymek pociągając nosem. – Musiałem załatwić jedną tajemnicę.

- Siebie załatwiłeś i mnie przy okazji – mruknął starszy brat. – Będę cię musiał pilnować.
- Więcej tego nie zrobię.

Piotr przyglądał się małemu z namysłem. Nachmurzona twarz Szymka wyrażała upór. Wyglądało na to, że mówi prawdę.

– Spóbiję to jakoś odkręcić – powiedział Piotrek wstając od stołu. – Tylko pamiętaj; taki numer nie może się powtórzyć, bo inaczej sam przypilnuję, żebyś do końca lata siedział w piaskownicy!

– Piotrek, ja naprawdę...

– Dobra, dobra. Umyj się szybko i do wyra. To robi dobre wrażenie. Spróbuję pogadać z mamą.

Gdy Szymek w gorączkowym pośpiechu zabrał się do mycia, Piotrek przechadzał się po kuchni i zastanawiał, jaką taktykę obrać w rozmowie z matką. Jeśli zacznie od razu nalegać, by złagodziła karę, najprawdopodobniej napotka zdecydowany opór. Postanowił więc sięgnąć do bardziej wyrafinowanych środków. Wepchnął Szymka do łóżka i zabrał się za zmywanie naczyń.

Nie musiał czekać długo, aż matka pojawi się i zapyta o małego.

– Śpi-odpowiedział lakonicznie.

Spojrzała na zegarek i uniosła brwi.

– Przecież się nie umył!

Piotrek nie przerywając płukania talerzy wskazał mimochodem miskę z brudną wodą.

– Coś podobnego! – zdziwiła się matka.

Tymczasem rozmowa rozwijała się zgodnie ze scenariuszem.

– Przejął się – powiedział Piotrek siląc się na obojętność. – Dobrze wymyśliłaś z tym szlabanem na kąpiele. Na tym mu najbardziej zależało.

– Musiałam go jakoś ukarać. Nie mogę pozwolić, żeby sześciolatnie dziecko robiło takie dzikie eskapady. Do tego jeszcze udawał, że nie słyszy, jak go wołamy.

– Jasne – przyznał Piotrek, ale po chwili dodał: – Wprawdzie mógł nie słyszeć, bo byliśmy od zawietrznej, ale to go nie tłumaczy.

– Myślisz, że nie słyszał wołania?

– Słyszał czy nie słyszał, nie powinien lecieć do lasu. Zagalopował się, to niech teraz pokutuje.

– Jak to zagalopował się?! On po prostu uciekał jak wariat. Co on w ogóle zamierzał?

– Wydawało mu się, że dopóki widać dom, to jest blisko.

– Jak to? Przecież wbiegł do lasu!

– W lesie to już byliśmy razem. Nakładłem mu trochę do uszu i wytrząsałem z niego głupoty.

– Od karcenia jestem ja.

– Nic mu nie zrobiłem. Ostatnio nie było z nim kłopotów. Chodziliśmy się przecież kąpać, zbieraliśmy grzyby, zachowywał się bez zarzutu.

Matka chrząknęła niepewnie.

– Przejął się bardzo, że nie będzie mógł się kąpać.

– Pewnie – odpowiedział Piotr – przecież nareszcie zrobiło się ciepło.

– Trudno, kary mu nie cofnę.

– Nie powiedziałaś dokładnie, ile dni będzie trwała – przypomniał Piotrek usłużnie.

– Wiesz co? – wpadła na pomysł matka. – Zrobimy tak: jutro musi mieć karę. Trudno.

– Oczywiście. Myślę, że pojutrze też... No, nie możesz się przecież wycofać.

– Dlaczego?

– Ze względów pedagogicznych. Chyba że będzie zachowywał się bez zarzutu. Moglibyśmy wtedy zastanowić nadzwyczajne złagodzenie kary.

– Myślisz, że można?

– Nawet więźniów zwalnia się przed terminem za dobre sprawowanie. Zresztą, gdyby nie było pogody, karę utrzymamy.

Humanitarny argument o złagodzeniu wyroku przestępcom, którzy wykazują skruchę, zrobił swoje. Matka była gotowa w ogóle zawiesić wykonanie kary, ale Piotrek dla zachowania pozorów obstawał za utrzymaniem okrojonego już do jednego dnia wyroku.

Tymczasem Szymek leżał w ciemnym pokoju z szeroko otwartymi oczami i rozmyślał. Po raz pierwszy w życiu świat wydał mu się skomplikowany, a nawet przewrotny. Żeby przywrócić matce zagubione dziecko, sam musiał stać się dzieckiem, które samowolnie oddala się od matki. Pewną pociechę dawało jednak poczucie dobrze spełnionego obowiązku i coś jeszcze, do czego Szymek nie chciał się przyznać przed samym sobą. W głębi duszy liczył, że rodzice tego duszka czy krasnoludka będą próbowali się jakoś odwdziżyć. Oczywiście nie wypada mu przyjmować żadnej nagrody, nie zrobił tego przecież z wyrachowania, ale czy wystarczy mu siły woli, żeby odmówić przyjęcia na przykład zaczarowanej pałeczki?

Dziupła była pusta. Nie było żadnych śladów, które mogłyby wskazywać na obecność Otego. Nie było zresztą czasu na dokładne przeszukiwanie wnętrza. Z zewnątrz dobiegały głosy olbrzymów. Nij przywarł do ściany i nasłuchiwał w napięciu. Wkrótce głosy zaczęły się oddalać. Doznanie ulgi i poczucia bezpieczeństwa było krótkie. Zaraz wróciły mroczne myśli i niepokój o towarzysza. Właśnie zdecydował, że opuści schronienie i rozejrzy się po okolicy, gdy z zewnątrz doszedł go cichy chrobot. Domyślił się, że to jakieś stworzenie wspina się po pniu. Uświadomił sobie z przerażeniem, że jest całkowicie bezbronny. Spojrzał na swoje drobne, delikatne dłonie. Dalekowie walczyli kiedyś wręcz, ale było to przed tysiącami lat. Później, kiedy z życia społecznego planety wyeliminowano agresję, tego rodzaju umiejętności kultywowano jedynie dla potrzeb historycznych widowisk.

Nij przykucnął pod otworem na szeroko rozstawionych nogach i przyciągnął do piersi zaciśnięte dłonie. Czuł jedynie obawę, czy uda mu się przewyciężyć opór przed uderzeniem. Chrobot zbliżał się z każdą chwilą. Nij zamknął oczy, wciągnął powietrze, a kiedy otworzył je ponownie, dostrzegł tuż nad swoją głową twarz Otego, jego oczy szeroko rozszerzone zdziwieniem. Obaj w tej samej chwili wydali nieartykułowany okrzyk radości, choć tego rodzaju demonstracje uczuć zdarzają się u Daleków nader rzadko.

Okazało się, że Ote dostrzegł olbrzymia i umknął z dziupli, będąc przekonany, że kryjówka została zdemaskowana, a on sam ma być kolejną ofiarą. Zaszły się w zarośla i zamaskował liśćmi. Początkowo miał zamiar porzucić kryjówkę w drzewie i poszukać nowego schronienia. Potem powodowany ciekawością zmienił zamiar i postanowił ostrożnie zajrzeć do środka.

Ote ślaniał się ze zmęczenia. Od czasu zniknięcia towarzysza nie spał ani chwili. Krążył po lesie i szukał śladów jego obecności. Domyślił się, że Nij został porwany przez tubylców. Krążył w pobliżu tajemniczej budowli, a po głowie snuł mu się szaleńczy plan oswobodzenia językoznawcy. Brakowało mu jednak pewności, że Ziemianie przetrzymują go właśnie w budowli na skraju lasu.

Powrót Nija zaskoczył go całkowicie. Początkowo był przekonany, że towarzysz niedoli wymknął się prześladowcom.

– Nie uciekłem – po raz kolejny przekonywał go Nij. – Zostałem przyniesiony w tym samym pojemniku, do którego mnie schwytano.

– Nic z tego nie rozumiem – szepnął Ote. Meandry psychiki tutejszych mieszkańców przekraczały jego zdolności pojmovania.

– Jedno jest pewne. Ten, który mnie schwycił i uwolnił, nie chciał mi wyrządzić krzywdy. Odniosłem wrażenie, że stara się ukryć moją obecność przed pozostałymi.

– A może to podstęp, żeby ująć nas obu?

Nij skrzywił się niechętnie. Takie wyjaśnienie nie miało większego sensu. Samotny Ote stałby się bez wątpienia łatwiejszym łupem. Jego zdaniem, nie wszyscy tubylcy przejawiają krwiożercze instynkty. Olbrzym, z którym zawarł znajomość, należał bez wątpienia do stworzeń usposobionych pokojowo. Może chciał go uchronić przed większymi i bardziej bezwzględny pobratymcami?

Rozważali do późnej nocy wszelkie możliwe warianty, ale każda próba wyjaśnienia budziła nowe wątpliwości. Półprzytomny ze zmęczenia Ote snuł coraz to śmielsze i bardziej karkołomne hipotezy, aż wreszcie zasnął nie kończąc zdania.

Wczesnym rankiem zbudziły ich przerażające odgłosy. Wydawało się, że cały świat dygoce i wibruje. Słysząc było wizg, turkot i głucho stęknienia padających na ziemię przedmiotów.

Ote wspiął się na palce i ujrzał wierzchołek drzewa zataczający po niebie szeroki łuk. Rozległ się przeraźliwy trzask łamanych gałęzi i ziemia zadygotała pod uderzeniem. Po lesie kręcili się ludzie uzbrojeni w dymiące mechanizmy, które z wyciem wgrzyzały się w pnie drzew. Pracowali metodycznie i bez pośpiechu.

Na bladozielonej twarzy Otego stężało przerażenie.

– Co oni robią? – wyszeptał bezradnie.

Nijowi wydawało się, że nagle z przeraźliwą jasnością zrozumiał wszystko. Olbrzym uwolnił go i nie zdradził miejsca, w którym go ukrył, ale pościg zlokalizował je w przybliżeniu. Teraz zjawiała się ekipa poszukiwaczy, odpowiednio wyposażonych, którzy najprawdopodobniej wiedzą, że przybysze z kosmosu ukryli się w którymś z drzew. Wszystko wskazuje na to, że gotowi są poświęcić cały las, żeby tylko dostać ich w swoje ręce. Tymi obawami podzielił się natychmiast z Otem. Doszli wspólnie do wniosku, że ich jedyną szansę stanowi natychmiastowa ucieczka. Nie mogli się jednak zdecydować na opuszczenie schronienia. Poszukiwacze zbliżali się z każdą minutą, padające drzewa ponuro odmierzają czas. Z tej odległości słyszeli nawet pojedyncze słowa.

W napięciu czekali na sposobny moment. Polana była odsłonięta, drzewo, w którego dziupli znaleźli kryjówkę, widoczne jak na dłoni. Próba opuszczenia go na oczach pracujących ludzi nie mogła liczyć na powodzenie.

Nagle zaległa martwa cisza. Ziemianie zniknęli. Ote wyjrzał i cofnął się gwałtownie. Ziemianie siedzieli na skraju polany. Ogromne szczęki poruszały się miarowo. Przerwali pracę, żeby się pożywić.

Ote gorączkowo rozważał szanse ucieczki. Prześladowcy są wprawdzie blisko, mogą ich wypatrzyć, ale wystarczy pół kroku, aby schować się za pnem i ześliznąć niepostrzeżenie.

Nij wykonał ten manewr błyskawicznie. Nim znalazł się na dole, Ote ruszył w jego ślady. Kątem oka dostrzegł, że jeden z Ziemian podniósł się. Zapominając, że pod stopami ma parometrową przepaść, rzucił się gwałtownie w bok. Nogi nie znalazły oparcia i zawisł w powietrzu na jednej ręce. Z dołu patrzyły na niego przerażone oczy Nija. W ostatniej chwili, gdy czuł już, że palce rozwierają się, znalazł oparcie dla drugiej dłoni, a potem wczepił nogi w chropowatą korę i wyjrzał ostrożnie. Olbrzym przeciągnął się i usiadł.

Na ziemi pod osłoną niskich roślin czuli się obaj znacznie pewniej. Przedzierali się przez gąszcz unikając otwartej przestrzeni i nasłuchując z lękiem, czy nie podążają za nimi ciężkie stąpnięcia pogoni. Dokoła panowała jednak niezmacona cisza i dopiero po kilkunastu minutach marszu dobiegł ich daleki wizg wprawionych w ruch mechanizmów. Mogli odetchnąć z ulgą. Wszystko wskazywało na to, że prześladowcy nie zauważyli ucieczki.

Zwolnili nieco tempo marszu. Nij dostrzegł kępę jagód i za chwilę zapomniał o strachu. Przycupnęli pod krzakiem i pożywiali się łapczywie.

– Dokąd my właściwie pędzimy? – zapytał Nij półgłosem. Była w tych słowach odrobina zniechęcenia i rezygnacji. W ciągu kilku dni pobytu na tej planecie byli jak ścigana zwierzyna, dokoła której coraz bardziej zaciera się pętla pogoni.

– Nie mamy wyboru, Nij – odpowiedział Ote bez przekonania. Sam bliski był załamania. – To nasza jedyna szansa.

– Znaleźć nowe bezpieczne miejsce, które po paru godzinach okaże się kolejną pułapką? – powiedział językoznawca czując ogarniające go rozdrażnienie. – Szansa – mruknął z przekąsem. – Jesteśmy bezbronni, przymieramy głodem. Cud, że jeszcze mamy siłę uciekać.

– Nie mamy wyboru – powtórzył z naciskiem Ote. – Wstawaj, idziemy!

Nij ociągając się ruszył za towarzyszem. Wszystko to jest bez sensu. Poruszają się po omacku po nieznanym świecie i nie ma żadnej pewności, że w nowym miejscu nie narażą się na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Nagle Ote zatrzymał się i uniósł rękę. Nij także słyszał ten dźwięk, zdążył się z nim jednak oswoić.

– To mechanizm do ścinania drzew – szepnął uspokajająco.

– Coraz bliżej.

Rzycuku są do ucieczki na oślep. Zarośla nagle skończyły się. Wybiegli na szeroki ubity pas ziemi. I wtedy tuż nad ich głowami wybuchnął ogłuszający warkot, a ogromny kształt runął w ich stronę. Nij zdążył krzyknąć i zasłonić twarz.

Emerytowany drwal, Michał Zajko, wybrał się na ryby wczesnym rankiem. Miał iść na piechotę, a ponieważ wydawało mu się, że jest zimno, wypił na czczo dwa kieliszki nalewki, ale kiedy już je wypił, zrezygnował ze spaceru i wsiadł na motorower. Droga wiodła przez las, a w lesie nikt mu w balonik dmuchać nie każe.

Nad jeziorem wiało. Ryby skubały przynętę, ale brać nie chciały, na domiar złego ciasto wpadło mu do wody. Po godzinie miał dosyć wędkowania. Zły i zziębnięty wgramolił się na zdezelowany motorower i ruszył w powrotną drogę, która ze złości czy może z powodu nalewki wiła się i podskakiwała jak rosówka na haczyku. Michał Zajko nie przejmował się tym specjalnie, bo drogę znał na pamięć, ale gdy nagle tuż przed kołem motoroweru ujrzał wielką zieloną żabę stojącą na dwóch łapach i gdy żaba spojrzała na niego ludzkimi oczami, stracił panowanie nad kierownicą i runął w maliny. Ocknął się w całkowitej ciemności i był przekonany, że nie żyje. Mrok był nie tylko nieprzenikniony, ale i o dziwo uciskał głowę jak obręcz. Michał Zajko wisiał w powietrzu, które zdawało się lekko uginać pod ciężarem jego ciała. Zaczął żałować wszystkich grzechów, jakie popełnił w swoim długim, choć przedwcześnie zakończonym życiu. Szczególnie żałował wykroczenia drogowego, które doprowadziło do tragicznego końca. Dziękował opatrności, że zesłała mu śmierć lekką, choć niespodziewaną. Bólu nie czuł, poza nieprzyjemnym kluciem. Stwierdził z rodzajem nieprzyjemnego zaskoczenia, że duszę ma ciężką i nieruchawą. Ledwie unosiła się w powietrzu. Gdy poruszył się ostrożnie, dusza czy raczej to, co za duszę uznał, spadło na ziemię jak wór kartofli. Emeryt jęknął z bólu i z trudem przybrał pozycję siedzącą.

Wiedział już, że żyje, ale nadal nic nie widział na oczy. Uniósł rękę do twarzy i namacał szorstką materię beretu, który w czasie wypadku wbił mu się głęboko na uszy. Gwałtownym ruchem zerwał beret i rozejrzał się dokoła. Siedział w zbitym gąszczu krzewów, które przez jakiś czas utrzymywały jego ciało w powietrzu. Motorower stał pionowo na tylnym kole, wbity w krzaki kilka metrów dalej.

Ostrożnie obmacał ciało. Poza potłuczeniem i kilkoma zadrapaniami nie doznał większych obrażeń. Pojazd był w stanie o wiele gorszym i nie nadawał się do dalszej jazdy. Prawdę mówiąc, do jazdy nie nadawał się już od dawna, a to, że pomimo wszystko przemieszczał się w przestrzeni klekocząc i rżąc, stanowiło rzecz niepojętą.

Zajko poklepał wrak ze łzami w oczach, jakby żegnał wierną i wysłużoną szkapę, wetknął połówkę popularnego do szklanej fifki i zaciągnął się ostrym dymem.

Nagle przypomniał sobie niezwykłą żabę i resztki włosów zjeżyły mu się na głowie. Że nie była to zwykła żaba, nie miał najmniejszych wątpliwości. Był to znak z zaświatów, który miał go ostrzec przed głupotą na stare lata.

Michał Zajko wdeptał niedopałek w piach, klęknął na drodze i waląc się w piersi złożył ślubowanie, że albo nie będzie pił, albo nie będzie jeździł.

Gdy podniósł wrak, nie miał złudzeń, że druga część ślubowania już się spełniła. Wyglądało też na to, że nie będzie także wędkował w najbliższym czasie, bo wędziska były po wypadku w opłakanym stanie. Powlókł się po wyboistej leśnej drodze popychając z wysiłkiem oporny motorower, którego koła przybrały kształt elipsy.

Żona załamała ręce na jego widok.

– Jezus Maria, a co tobie?! – jęknęła ze zgrozą.

– Wypadek się przydarzył – powiedział flegmatycznie.

– Piłeś, stary! – krzyknęła żona oskarżycielsko. – Widziałam, że butelka ruszona!

– Co tam piłem – obruszył się emeryt. – Kłobuk czy diabeł mi na drogę wylazł.

– Jaki znowu kłobuk? Zwariowałeś?

– Jaki? Małowaty, zielony. Coś jakby żaba. Nie większy, jak pół litry.

Wzmianka o półlitrowce okazała się niepotrzebna. Pani Zajkova całkowicie zignorowała nadprzyrodzony aspekt wydarzenia. Zamilkł więc i już nigdy w życiu nie wracał do tego tematu.

Trwało to ułamek sekundy. Nij stał sparaliżowany. Jedynym ruchem, do jakiego był zdolny, było uniesienie rąk w obronnym geście. Widział niebezpieczeństwo zbliżające się do niego z nieubłaganą precyzją i szybkością i nie robił nic, by go uniknąć, jakby uległ przeświadczeniu, że wszelkie wysiłki okażą się jałowe, że jest już za późno i może tylko patrzeć w oczy zbliżającej się śmierci, a kiedy wyjący mechanizm niosący olbrzyma był już prawie nad jego głową, poczuł gwałtowne szarpnięcie, jego nogi oderwały się od ziemi i upadł miękko. Zanim miał czas uświadomić sobie, co się stało, poczuł, że jest brutalnie wleczony przez gąszcz roślin, a obok rozległ się głośny jak eksplozja trzask łamanych gałęzi. Próbował poderwać się na nogi, ale kolejne szarpnięcie pozbawiło go równowagi.

– Wstawaj! Prędej – dobiegł go głos Otego, którego dłoń zaciskała się na jego ramieniu jak stalowe kleszcze, sprawiając dotkliwy ból. I dopiero teraz uświadomił sobie, co się stało, dopiero teraz pojął, że przytomności umysłu towarzysza zawdzięcza ocalenie, które przyszło w ostatnim ułamku sekundy, kiedy już przestał wierzyć, że może cokolwiek zrobić, i ogarnęła go fala wdzięczności. Chciał coś powiedzieć, ale Ote pociągnął go za sobą. Biegli na oślep, dopóki zmęczenie nie okazało się silniejsze od strachu, który dodawał im sił, aż znaleźli się w podmokłym grząskim dole, z którego nie mogli się wygrzebać, bo omdlewające z wysiłku ciała odmawiały posłuszeństwa. Leżeli kilka minut głośno łapiąc powietrze, niezdolni do wymówienia słowa i każdemu z nich wydawało się, że jego oddech jest głośny jak krzyk. A kiedy to minęło, Ote poczuł ogarniającą go apatię, powracające poczucie beznadziejności.

Nij natomiast ulegał krańcowo różniącemu się nastrojowi. To, co przeżył przed chwilą, wyrwało go z marazmu i napełniło optymizmem. Czuł wdzięczność do przyjaciela, że podarował mu dalszy ciąg istnienia, i teraz był już przekonany, że tym darem nie wolno mu wzgardzić, ale że nie potrafił powiedzieć nic wzniosłego, szepnął po prostu: „dziękuję”.

Ote wcale nie uważał, żeby zasłużył sobie na wdzięczność. To, co zrobił, było czystym impulsem, instynktownym i nie przemyślanym, bo prawdę mówiąc nie było czasu na jakiegokolwiek spekulacje. Wolał nie myśleć o tym, co by się stało, gdyby ten gwałtowny manewr nie powiódł się.

– Wszystko wskazuje na to, że poszukiwania są zakrojone na szeroką skalę. Umknęliśmy niemal cudem, ale oni wiedzą, że nie uda nam się stąd odejść daleko. Wcześniej czy później wpadniemy w ich ręce. Gotowi są wyciąć w pień cały las, żeby nas znaleźć.

Nij zamyślił się.

– Spodziewają się, że będziemy szukali miejsc oddalonych od ich siedzib – powiedział trąc dłonią koniec nosa.

– Na Ziemi niewiele jest takich miejsc. Ta planeta cierpi na przeludnienie – rzucił Ote. – Nasze szanse zmniejszają się z każdą chwilą.

– Chodzi o to, żeby szukali nas tam, gdzie nas nie ma.

– Co masz na myśli?

– Powinniśmy za jednym zamachem uzyskać pomoc i zmylić prześladowców.

– Jaką pomoc? – zdziwił się Ote. – Nie masz chyba na myśli Ziemian. Oni mogą nam przysporzyć jedynie kłopotów! Nie licz na to, że nam pomogą!

– Nie liczę na wszystkich, tylko na jednego – zachnął się językoznawca.

– Nie masz żadnych podstaw, żeby wierzyć w jego dobre intencje. Nie zapominaj, że porwał cię i więził przez wiele godzin.

– Nie zapominaj, że mnie uwolnił – odpowiedział Nij.

– Więc dlaczego cię więził?

– A dlaczego mnie uwolnił? Dlaczego ryzykował z mojego powodu? Dlaczego był ścigany? Dlaczego nie zdradził miejsca naszego pobytu pozostałym?

Obaj wiedzieli doskonale, że nie znają odpowiedzi na żadne z tych pytań, że zdani są na niejasne domysły i domniemania. Dane im już było poczuć na własnej skórze wrogość Ziemian, ale zetknęli się też z przejawem niezrozumiałej wspaniałomyślności. Nij przypuszczał, że ów mniejszy osobnik, z którym zawarł znajomość, należy do pokojowego, przyjaźnie do wszelkich stworzeń usposobionego gatunku. Natomiast mordercze instynkty przypisywał większym z mieszkańców Ziemi.

– A jeśli ten twój olbrzym to po prostu wczesna faza rozwojowa? – zapytał Ote.

– Myślisz, że to po prostu dziecko? – zdziwił się językoznawca, któremu taka ewentualność nie przychodziła do tej pory na myśl.

– I co wtedy? – ciągnął swoją myśl Ote. – Wczesny okres u wielu rozumnych gatunków stworzeń charakteryzuje się niestałością reakcji i w ogóle chwiejnością psychiczną. Jego rozeznanie co do własnych czynów mogło być niepełne. Może właśnie dlatego cię wypuścił? Ale równie dobrze mogło się to skończyć tragicznie. Mógł wyrządzić ci krzywdę nie zdając sobie nawet z tego sprawy.

– Nie mogę w to uwierzyć – szepnął Nij już bez przekonania. Przypomniawszy sobie jasne, naiwne, rozszerzone zdziwieniem oczy olbrzyma.

– Nie możemy uzależniać naszych dalszych losów od kaprysu dziecka, którego reakcje stanowią dla nas tajemnicę, z którym nie potrafimy nawiązać kontaktu, porozumieć się – kontynuował Ote. – A nawet gdyby nam się to udało, w myśl kodeksu kosmicznego popełnilibyśmy przestępstwo.

– Jeśli nie spróbujemy sami, nastąpi to bez naszego udziału. Jesteśmy tropieni. Nie sądzę, żeby ten wymuszony kontakt był dla nas przyjemny – odrzekł językoznawca z przekąsem.

Siedzieli na dnie grząskiego leja. Ich nogi zanurzone były po kolana w wodzie. Słońce wspięło się wysoko i grzało mocno, ale nie odczuwali skutków upału. Skafandry absorbowały energię słoneczną utrzymując pod powierzchnią stałą temperaturę. Gdy Ote poruszył się, z dna dobyło się ciche mlaśnięcie.

– Trzeba wyleźć z tego dołka, bo zapadamy się coraz głębiej – mruknął niechętnie. Uchwycił zwisającą gałąź i wspiął się na górę. Nij poszedł w jego ślady.

Grunt w tej części lasu był grząski i podmokły. Ote idący na przedzie dwa razy zapadł po pas w bagno, wycofali się więc ostrożnie i weszli na strome zbocze. Las w górnej części porośnięty był rzadkimi iglastymi drzewami. Co pewien czas natykali się na ślady ludzkiej działalności, pnie ściętych drzew i równo ułożone sęgi.

– Co o tym sądzisz? – zapytał Nij zatrzymując się przed piramidą pociętych na równe odcinki kawałków drzewa.

– Prawdopodobnie używają drzewa jako surowca.

Nij przypomniał sobie ekipę ludzi wyposażonych w wyjące mechanizmy. Zaczęły go nurtować wątpliwości, czy nie ulegli przedwcześnie panice, opuszczając poprzednią kryjówkę, ale postanowił zachować to dla siebie.

Zatrzymali się na skraju poślubionej koleinami leśnej drogi i nasłuchiwali długo, mając w pamięci niedawne przejścia.

– Spójrz na te ślady – szepnął Ote wskazując pas ubitej, ogołoconej z roślinności ziemi. – To szlaki, po których się poruszają na tych hałaśliwych maszynach.

– Więc to był pojazd? – zdziwił się językoznawca. Dalekowie na własnej planecie poruszali się w przezroczystych osłonach, które nie tylko potrafiły pędzić z wielką prędkością, ale i dawały całkowite zabezpieczenie w przypadku kolizji. Zresztą zderzenia nie zdarzały się, odkąd ruch ujęto w system podziemnych tuneli, które pozwalały na osiągnięcie ogromnych przyspieszeń.

– Tutaj wciąż jeszcze eksploatują wynalazek koła – wyjaśnił Ote.

– Słuchaj, przecież oni używają jakiejś energii – ożywił się nagle językoznawca. – Może uda nam się dotrzeć do jakiegoś źródła i uzupełnić zapasy? Poruszając się w osłonach bylibyśmy nieuchwytni!

– Nic z tego, już się nad tym zastanawiałem. Ten pojazd napędzany jest poprzez spalanie jakiejś substancji organicznej. Widziałem smugę dymu, która unosiła się za nim. Nasze generatory nie potrafią tego przetworzyć, a poza tym do poruszania się w osłonie potrzebne jest pole siłowe na zewnątrz. Odkąd statek nie istnieje, jesteśmy skazani na własne nogi.

Upewniwszy się, że wokoło panuje niezmacony spokój, przekroczyli drogę.

– Dobrze byłoby ustalić, czego właściwie szukamy – zaproponował Nij, gdy pokonali kolejne kilkadziesiąt metrów pagórkowatego terenu pokrytego płataniną powalonych przez wiatr drzew.

Ote sprawiał wrażenie, jakby ocknął się przed chwilą.

– Rzeczywiście – przyznał z zażenowaniem – to kręcenie się w kółko nie ma większego sensu. Poruszamy się bez żadnego planu. Trzeba wdrapać się na drzewo, rozejrzeć po okolicy i dopiero wtedy wybrać kierunek marszu.

Rozejrzeli się, lecz żadne z drzew, które rosły w pobliżu, nie sprawiało wrażenia wystarczająco wysokiego.

– Chodźmy naprzód. Tam wolałbym nie wracać – Nij wskazał ręką za siebie mając na myśli uczęszczaną przez tubylców drogę.

Doszli do pnia przerzuconego przez rów. Ote wszedł na powalone drzewo. Przejście po tym naturalnym moście wydawało się łatwiejsze i prostsze. Aby nie stracić równowagi, chwycił się gałęzi. Był już w połowie drogi, gdy postawił nogę na szerniałym, pozbawionym kory odcinku pnia i pośliznął się. Próbował się jeszcze ratować chwytając gałązkę, ale kruche drewno pękło z głośnym trzaskiem i Ote runął w dół, nim towarzysz zdołał mu pospieszyć z pomocą.

Nij czepiając się konarów opuścił się błyskawicznie za nim. Odetchnął, gdy ujrzał głowę Otego kilkadziesiąt centymetrów niżej. Siedział niemal po pas wbity w szary pagórek zeschniętych igieł.

– Nic ci się nie stało? – zapytał, ostrożnie zsuwając się po gałęzi.

– Prędeż, bo tu się coś dzieje! – ponaglał go Ote wygrzebując się z kopca. Wykonywał przy tym dziwnie nerwowe ruchy.

Wreszcie koniec gałęzi ugiął się pod ciężarem Nij a na tyle, że Ote mógł go uchwycić. Wdrapał się pośpiesznie na pień. Dopiero teraz można było ocenić w pełni przyczynę jego zniecierpliwienia. Całe ciało miał pokryte czerwonymi, szybko poruszającymi się stworzeniami.

– Zdejmij to ze mnie! – krzyknął Ote podrzucając nerwowo ramionami i podskakując. Gdyby nie pomoc towarzysza, po raz drugi wylądowałby w kopcu. – Szybciej! – niecierpliwiał się strząsając z nóg i ramion mściwych mieszkańców kopca.

– To owady – zauważył bez emocji Nij, przyglądając się z zaciekawieniem czerwonym agresorom. – Nie boisz się chyba, że zniszczą ci skafander?

– Wydzielają jakiś kwas, który łaskocze!

– Nie uważasz, że to dziwne?



– Potem się będziesz dziwił! Nie możesz ich zdejmować szybciej ?!  
– Mógłbym, gdybyś stał spokojnie i gdyby one nie włożyły na ciebie z powrotem – ledwie Nij zdążył to powiedzieć, poczuł nieprzyjemne łaskotanie na plecach.

Resztę mrówek usunęli w przyzwoitej odległości od ich siedliska.

– Nie rozumiem, skąd to łaskotanie – głośno zastanawiał się językoznawca. – Przecież nie przegryzły skafandrow?

– Prawdopodobnie ten kwas zakłóca działanie sztucznych receptorów – powiedział Ote przykładając analizator do powierzchni ciała. Na szczęście gwałtowne swędzenie szybko ustępowało.

Nim znaleźli drzewo nadające się na punkt obserwacyjny, Nij odkrył jadalne owoce o przyjemnym, intensywnym smaku, jaskrawoczerwone o białawym wnętrzu. Rosły pojedynczo w pewnych odstępach i było ich niewiele, ale wystarczyło, by zaspokoić pierwszy głód.

Posiłek, zamiast dodać sił, przyniósł tylko ociężałość i wspinaczka na drzewo zajęła im sporo czasu. Kilka razy odpoczywali w rozwidleniu konarów. Gdy dotarli wreszcie do wierzchołka, widok, jaki ujrzeli, wprowadził ich w zdumienie. od nimi rozpościerała się ta sama łąka, którą Nij przebył niesiony w koszu. Budowlę, gdzie przebywał, widać było tym razem od tyłu. W ciągu wielu godzin zatoczyli ogromne koło i niemal wrócili do punktu wyjścia. Od miejsca, z którego wyruszyli rankiem, dzieliło ich nie więcej niż kilkaset metrów.

– Mogło być znacznie gorzej – stwierdził spokojnie językoznawca.

Ote spojrzał mu ponuro w oczy.

– Przynajmniej wiemy, jak trafić na miejsce lądowania – wyjaśnił z uśmiechem. – Przecież tak niewiele brakowało, żebyśmy zabłądzili.

– To wcale nie jest śmieszne – szepnął Ote bujając się na gałęzi. W tej pozycji nie przypominał raczej przedstawiciela rozwiniętej cywilizacji. Ponieważ wierzchołek drzewa nie stanowił odpowiedniego miejsca dla przeprowadzenia narady, zeszli na niższe gałęzie.

– Moim zdaniem powinniśmy zaryzykować nawiązanie kontaktu. Bez pomocy życzliwego mieszkańca tej planety nasze szanse na przeżycie są minimalne. Potrzebujemy żywności, energii i bezpiecznego schronienia – mówił z pasją Nij. – Moja osłona już nie istnieje, a przecież nie poznaliśmy jeszcze wszystkich niebezpieczeństw, jakie mogą nas tu spotkać.

Ote wciąż się wahał, choć równie dobrze zdawał sobie sprawę z beznadziejności położenia, zgodził się w końcu na próbny rekonesans. Mieli ukryć się w pobliżu budowli. Dalsze kroki uzależniał od wyników obserwacji.

Od domu dzieliła ich rozległa płaszczyna bujnej, podmokłej łąki. Pokonanie tego dystansu nie powinno nastęrczać trudności. W wysokiej trawie byliby prawie niewidoczni. Po łące przechadzał się jednak wielki, czarno-biały ptak z czerwonym dziobem. Postanowili więc zaczekać, aż zacznie się ściemniać. Rzeczywiście, zanim słońce przekroczyło linię horyzontu, ptak rozpostarł ogromne skrzydła i odleciał majestatycznie.

W pobliże budowli dotarli o zmroku. Przedzieranie się przez gęstą zielen płaczącą nogi, miękką, ale nieustępliwą, okazało się niezwykle męczące. Przekroczyli wreszcie szpaler wysokich świerków i ukryli się w kępie bzu. Postanowili spędzić tu pierwszą noc.

W oknach domu rozbłysły światła. Z wnętrza dobiegały przytłumione odgłosy, a wokół nich w krzakach i trawach budziło się nocne życie. Słysząc było szelesty, szmery, cykanie i ciche popiskiwanie.

Nij omal nie krzyknął, gdy tuż obok niego z otworu w ziemi wyłonił się wrzecionowaty kształt jakiegoś zwierzęcia i na krótkich, prawie niewidocznych nogach przemknął jak błyskawica, by zniknąć w kolejnym otworze.

W środku nocy zbudziło ich głośne sapanie i tupot nóg. W półśnie, jeszcze nie rozbudzeni na dobre, wspięli się po giętkich gałęziach i siedzieli wstrzymując oddech i nasłuchując, póki przerażające odgłosy nie oddaliły się. Reszta nocy upłynęła w spokoju, jeśli nie liczyć dwóch fałszywych alarmów z powodu jakichś drobnych i chyba nieszkodliwych stworzeń.

Zanim jeszcze pierwsze promienie brzasku przedarły się przez liście, zbudził ich ostry ssący głód. W domu panowała cisza, mieszkańcy najwidoczniej jeszcze spali, rozbitkowie uznali więc, że jest to najodpowiedniejsza pora, żeby rozejrzeć się za czymś do zjedzenia. Minęło prawie pół godziny, nim znaleźli w głębi ogrodu, między świerkami a łąką, kępę zdziczałych malin. Większość owoców wyschniętych i szerniałych nie nadawała się do zjedzenia, ale gdzieś tam zdarzały się apetyczne czerwone kulki. Niestety, poza zasięgiem rąk. Żeby się do nich dostać, trzeba się było wspinać po kolczastej łodydze i przychyłać ją do ziemi ciężarem własnego ciała. Tym sposobem udało im się zerwać cztery maliny. Wrócili na miejsce, w którym spędzili noc, i zjedli je z apetytem. Skromny posiłek nie nasycił głodu, zachęcił ich natomiast do dalszych poszukiwań.

Na gałęziach wysokiego, na wpół uschniętego drzewa Nij wypatrzył ptaki objadające czereśnie. Owoce rozpoznał od razu, choć dzieliła go od nich spora odległość. Ich smak poznał w niewoli. Niestety, dotarcie do nich wydawało się zadaniem ponad siły. Wisiały na samym szczycie drzewa, na kruchych cienkich gałązkach. Spoglądali na buszujące w koronie drzewa ptaki, nerwowo przełykając ślinę. Ote zauważył jednak, że kilka czereśni, zapewne dojrzałych, spadło pod wpływem wstrząsów, nim dosięgły ich dzioby obrabiających drzewo szpaków.

Tymczasem dom ożywił się nagle. Dobiegały ich rozmowy i odgłosy krzątania. Wahali się chwilę, ale głód był silniejszy od strachu. Podpełzli w pobliże drzewa i zaczęli przeszukiwać trawę w poszukiwaniu czereśni. Nie było tego za wiele. Jedli łapczywie, starannie oblizując pestki.

Mieli się właśnie wycofać pod osłonę bzu, gdy zaczęły dochodzić ich dziwne odgłosy. Zdawały się dobiegać ze wszystkich stron.

– Otaczają nas – szepnął Ote czując, że blednie.

Nij chciał się poderwać i uciekać, ale towarzysz przycisnął go do ziemi.

Szymek prawie zapomniał o niezwyklej przygodzie. Już następnego dnia nie wydawała mu się wcale taka niezwykła i powoli zaczynał mieć wątpliwości, czy zdarzył a mu się naprawdę. Była jak sen, który tuż po przebudzeniu wydaje się jawą i blednie z godziny na godzinę, aż wreszcie zapomina się o nim.

Od tego czasu miał wiele zajęć, które go absorbowały. Piotr zrobił mu prawdziwą wędkę ze splawikiem z kolca jeżozwierza i Szymek złowił swoją pierwszą rybę. Była to dorodna wzdrga o jaskrawoczerwonych płetwach. Tak dużej ryby nie udało się złapać nawet Piotrkowi, który przecież sam był duży. Była też kąpiel w jeziorze, chociaż miało jej nie być. Szymek przepłynął kawałek, niewielki wprawdzie, ale dałby głowę, że w tym czasie nie dotykał palcami dna. Potem jeszcze brodził w płytkiej wodzie przyglądając się niewielkim rybkom, które podpływały do jego nóg muskając je delikatnie, a przy każdym gwałtowniejszym ruchu znikały w ułamku sekundy.

Mimo tych rozlicznych zajęć Szymek trochę się nudził, bo zostawało mu jeszcze nieco czasu, który mógłby spędzać na zabawie z kolegami. Ale nie miał tutaj rówieśników i musiał bawić się sam, bo Piotrek uznawał jedynie poważne męskie zajęcia, a o udawaniu czegośkolwiek wyrażał się z pogardą. Wolał czytać książki, a kiedy czytał, Szymek nie przeszkadzał, co nie zawsze się udawało. Wtedy musiał przed furią brata uciekać w odległy koniec ogrodu porośniętego chwastami, gdzie wymyślał tysiące zabaw.

Próbował zaprzyjaźnić się z kotem, brym przybłądą, który bywał w domu prawie od początku ich pobytu. Nosił go ze sobą pod pachą, karmił smakołykami, zwierzał się ze swoich najskrytszych marzeń i opowiadał historie, które powinny zainteresować najbardziej wybrednego kota. Ten okazał się jednak jeszcze bardziej wybredny; gdy Szymek wyjmował z kieszeni ostatni kawałek kiełbasy wykradanej ze śniadania, w oczach kota pojawiała się bezczelna obojętność, giętki ogon zaczynał drgać niecierpliwie, po czym kot zniknął bezszelestnie, by pojawić się w wybranym przez siebie momencie, najlepiej po śniadaniu albo po obiedzie.

Ocierał się wtedy przymilnie mrużąc ślepia, a Szymek wybaczał mu to zimne, interesowne traktowanie, choć zdawał sobie sprawę, że nie uda mu się zrobić z niego prawdziwego kolegi.

Były jeszcze żaby i młode indyki. Kilka nieudanych prób zniechęciło go do tresury żab, a do bliższej znajomości z indyczetami zniechęcała Szymka obecność ich matki, nadętej i wiecznie zniecierpliwionej. Indyki udawały stada bizonów albo antylop, w zależności od tego, czy Szymek był Indianinem, czy też afrykańskim myśliwym. Podkradał się do nich możliwie najbliżej, ale nigdy tak blisko, by nie zdążyły w porę umknąć, a gdy już pierzchały na wszystkie strony, zjawiała się ich gulgocząca ze złości matka, więc Szymek na wszelki wypadek nie skradał się bez kij a i nie wkładał niczego w czerwonym kolorze.

Tym razem wypatrzył stado tych ptaków zaraz po śniadaniu, złapał w biegu kij stojący w korytarzu i zaczął czołgać się w ich stronę o wiele wcześniej, niż to było konieczne, by ich nie spłoszyć.

Stadko posuwało się powoli nie zwracając na tropiciela najmniejszej uwagi.

Nagle gromadka rozpierzchła się z przeraźliwym wrzaskiem, a jej opiekunka wzbита w powietrze i spadła w dół jak furia. Szymek poderwał się i z krzykiem ruszył w jej stronę wymachując kijem nad głową, gotów do odwrotu w przypadku, gdyby ptak okazał się dzielniejszy, niż przypuszczał. Na szczęście środki zastraszania były skuteczne. Indyczka umknęła ciągnąc skrzydła po ziemi i dopiero kilkanaście metrów dalej dała wyraz swemu oburzeniu.

Szymek rozglądał się tymczasem szukając przyczyn tego zastanawiającego zajścia. W pierwszej chwili nie dostrzegł nic i gdy już miał odejść, nieco rozczerowany, uwagę jego przyciągnęła dziwna roślina. Pochylił się i natychmiast stwierdził ze zdziwieniem, że nie jest to roślina, lecz drobna czteropalczasta dłoń. W trawie, ledwie widoczny wśród zieleni, leżał jego znajomy z lasu. Szymek wydał cichy okrzyk i przyklęknął. Zielony człowieczek nie dawał znaku życia. Szymek szybko mrugał oczami, wargi drżały mu lekko. Był bardzo przejęty i całkowicie bezradny. Należałoby wezwać pogotowie, ale czy pogotowie przyjedzie do kogoś tak nietypowego z powodu potrącenia przez indyczkę? Mama na pewno wiedziałaby, co zrobić, ale nie było jej w pobliżu. Mama, o ile nie mogła wyręczyć się ojcem, zawsze wiedziała, co robić w takich przypadkach. Chciał ją zawołać, ale okrzyk zamarł mu na ustach. Trawa rozchyliła się i pojawił się drugi zielony człowieczek. Wyglądał na bardzo przestraszonego, mimo to zbliżył się do nieprzytomnego towarzysza, przez cały czas nie spuszczać z oczu Szymka.

Potem, gdy pochylił się nad leżącym, przestał zwracać uwagę na obecność chłopca. W jego dłoniach pojawił się niewielki podłużny przedmiot. Po chwili ciało drgnęło, oczy rozchyliły się i napotkały wzrok Szymka. Po jasnej, zielonkawej twarzy przemknął cień uśmiechu. Chłopiec też uśmiechnął się przez łzy.

– To ja, Szymek – szepnął. – Wstrętna zwariowana indyczka. Co ona ci zrobiła, biedaku?

– Szymek – powiedział nieznajomy zupełnie wyraźnym, cichym głosem unosząc się lekko, ale przycupnięty obok towarzysz przytrzymał go stanowczo. Z jego ust wydobyło się kilka krótkich melodyjnych dźwięków.

Spędzili niedługo chwilę patrząc na siebie bezradnie, wreszcie Szymek wyciągnął rękę w stronę leżącego. Drugi z zielonych ludzików zerwał się gwałtownie i skierował na Szymka podłużny przedmiot. Leżący wymówił kilka słów w niezrozumiałym języku. Chłopiec cofnął dłoń. Z niewielkiej odległości dobiegło ich ciche gulgotanie indyczki. Na zielonej twarzy stojącego człowieczka odmalowało się przerażenie.

Szymek ściągnął sweter przez głowę i położył go na trawie, po czym ostrożnie przeniósł leżącego, nie napotykając tym razem na protesty drugiego z nieznajomych. Tamten wahał się chwilę. Chłopiec wykonał ręką zachęcający gest i człowieczek wszedł ostrożnie na sweter, jakby był to pokład okrętu płynącego do nieznanych krain.

Szymek uniósł zawiniątko i szybkim krokiem ruszył w stronę domu. Drzwi prowadzące na strych były uchylone. Ze stojącego w kuchni radia dobiegała hałaśliwa muzyka, więc nikt z domowników nie słyszał, gdy chłopiec wchodził po skrzypiących schodach.

Najchętniej zamknąłby małych przybyszów w skrzyni, żeby nie puciekali, ale doszedł do wniosku, że będzie im tam za duszno. Wyciągnął więc kawałek starego koca i wymościł za kufrem

wygodne gniazdo. W ciemnym kącie pod załomem dachu byli niewidoczni z zewnątrz. Żeby ich wypatrzyć, trzeba by klęknąć i schylić głowę prawie do podłogi.

– Szymek! – dobiegł z dołu głos matki.

Malec drgnął. Głos słyhać było wyraźnie, matka stała więc najprawdopodobniej na schodach prowadzących na podwórze. Wstrzymując oddech zszedł na palcach i wyjrzał przez szparę. Odwrócona była plecami. Dzielilo ich zaledwie kilka kroków. „Zaraz zacnie mnie szukać”, pomyślał. Wołanie powtórzyło się, tym razem głos matki brzmiał niecierpliwie. Gdy zeszła ze schodów, chłopiec zaryzykował. Lekko popchnął drzwi. Ustąpiły z cichym skrzyknięciem. Stał w progu, kiedy podmuch wiatru znad jeziora trzasnął drzwiami. Matka odwróciła się.

– Znowu byłeś na strychu?

– Ja? – zapytał, żeby trochę zyskać na czasie. Zyskał jednak niewiele. W takich przypadkach mama zawsze wiedziała więcej niż trzeba. Nie było sensu kłamać.

Zasuwa trzasnęła karcąco.

Otworzył usta, żeby powiedzieć całą prawdę o tym, jak pomógł małym ludzikom czy może duszkom, a niewykluczone, że krasnoludkom, ale matka nie dopuściła go do słowa.

– Nie chcę słyszeć żadnych wyjaśnień. Nie masz tam nic do roboty, już ci to mówiłam. A poza tym nie chcę cię widzieć w domu, kiedy świeci słońce.

Odwrócił się na pięcie.

– Zaczekaj chwilę – powiedziała matka. – Pokaż się... Jak ty wyglądasz?

Głos matki przepojony był prawdziwą zgrozą.

– Spójrz na siebie.

Spojrzał. Świeżo uprane spodnie pokryte były szarozielonym nalotem. Mokre plamy po trawie wchłonęły warstwę kurzu. Coś w tym rodzaju zdarzało się zawsze, gdy wkładał coś czystego. Mama powinna się już przyzwyczaić. Gdyby nie czołgał się w trawie, to pewnie przewróciłby się zupełnie przypadkowo. Walka brudu z czystością zawsze kończy się przegraną czystości, bo wszystkie rzeczy same się brudzą, ale nigdy nie czyszczą same. Dorośli powinni to wiedzieć. Szymek pojął tę nieubłąganą prawidłowość dość dawno.

– Sam upierzesz spodnie. Przekonasz się, ile to wysiłku kosztuje.

Po kilku minutach matka wyniosła miskę napełnioną ciepłą wodą i proszkiem. Początkowo szorował spodnie z pasją, ale wkrótce pranie przeobraziło się w zabawę. Skręcony i pofałdowany materiał przypominał w wodzie węża morskiego, który miota się w pułapce. Szymek chwycił go mocno oburącz, ale ogon węża zatoczył wielki łuk i chlapanął w spienioną wodę. Wielka fala załapała pokład i Szymek poczuł, że ma wodę w butach. Wąż morski wysliznął się i uderzeniem ogona zwałił miskę na ziemię.

– Całkiem nieźle jak na początek – powiedziała mama trochę kwaśno – ale wypłuczę sama. A ty zmień tenisówki i włóż suche majtki.

Piotr siedział pod drzewem na składanym turystycznym fotelu i czytał książkę pod tytułem „Wszystko o UFO”, o czym Szymek nie wiedział, bo w zasadzie czytać już potrafił, ale zdarzało się, że zanim doczytał jakiś wyraz do końca, to zapominał to, co było na początku.

– To książka kucharska? – zapytał.

W pierwszym odruchu Piotrek chciał warknąć, żeby nie przeszkadzał mu w lekturze, ale gdy dotarł do niego sens pytania, zaniemówił, potem niezbyt przytomnie zapytał:

– Dlaczego?

– Myślałem, że może kucharska – odpowiedział mały niechętnie i zamierzał odejść, ale brat przytrzymał go za rękę. Pomyślał, że mężczyzna dwunastoletni może czytać książkę kucharską, wydał mu się nie tylko nedorzeczny, ale i podejrzan.

– Co ty tam znowu majstrujesz? Po co ci książka kucharska?

– Chciałem się czegoś dowiedzieć – odrzekł malec niezbyt głośno. Wzrok wbił przy tym w ziemię.

– Czego? – nie dawał za wygraną starszy brat.

– Chodzi o coś małego – mruknął Szymek wykopując dołek w trawie. Wiedział już mniej więcej, jaki będzie finał tej rozmowy, nie miał więc specjalnej ochoty na jej kontynuowanie.

– Małego? – zdziwił się Piotrek.

– Jak ktoś jest mały, to je małe rzeczy – padła rezolutna odpowiedź, a na twarzy starszego Piotrka pojawił się błysk zrozumienia, więc Szymek zapytał szybko: – A co ja jadłem, jak byłem mały?

– Dopóki nie wyrosły ci zęby, mleko i kaszki. A zresztą, nie zawracaj mi głowy. Widzisz, że czytam.

Szymek odszedł powoli. O zębach nie pomyślał. Jeżeli mają zęby, to pewnie można ich karmić wszystkim, co nadaje się do jedzenia. Mama czytała mu kiedyś o jakichś niebożętach, które jadły okruchy i chleptały mleko. Tak czy owak mleko nie powinno im zaszkodzić. Co do innych potraw miał wątpliwości. Na pewno nie wszystko im będzie smakowało, więc należy przyrządzić parę dań do wyboru. Tylko jak niepostrzeżenie dostać się na strych? Matka wygląda już na przewrażliwioną z powodu strychu i na pewno usłyszy najłżejsze nawet skrzypnięcie, a cóż dopiero walenie młotkiem w zasuwę. Trzeba ich będzie przenieść w jakieś łatwiej dostępne miejsce. A może mama ma rację, że siedzenie na strychu w ładną pogodę jest szkodliwe? Jeżeli oni mieszkają w dziuplach, to pewnie potrzebują świeżego powietrza nie mniej od Szymka. Jemu powietrze na strychu specjalnie nie przeszkadza. Ale co innego o n i. Czuje się za nich odpowiedzialny, tak jak mama jest odpowiedzialna za niego.

Przypomniał sobie szałas, który z pomocą Piotrka wybudował drugiego dnia pobytu. Był to dół, którego ściany wzmocniało kilka wielkich kamieni. Na dnie rosły chwasty, więc przysypali je sianem, a dach sporządzili z przywleczonych z lasu świerkowych gałęzi. O szałasie wiedzieli tylko oni dwaj, ale Piotrek szybko przestał się nim interesować. Szymek spędził tam w sumie parę godzin i byłaby to jego ulubiona kryjówka, gdyby nie komary i szczypawki. Oczywiście, gotów był znieść to niezbyt przyjemne towarzystwo, gdyby ktokolwiek zgodził się dzielić z nim niewygody. We dwóch zawsze różniej. Zielonych ludków (czy może duszków?) było dwóch. W sam raz tyle, żeby zamieszkać w szałasie.

Uznał natychmiast, że wszelkie kłopoty skończą się wraz z przeprowadzką, ale była ona najtrudniejszą częścią całego przedsięwzięcia. Przygotował sobie młotek, bez którego nie mógł marzyć o otwarciu drzwi, i zaczął krążyć w pobliżu domu czyhając na stosowny moment.

Matka tymczasem bez pośpiechu przygotowywała obiad. Krupnik był już gotowy, do zrobienia pozostawały pierogi z jagodami. Szymek sam nie znosił krupniku i nie miał zamiaru karmić nim swoich podopiecznych. Uznał, że wystarczą im pierogi z cukrem i ze śmietaną.

Gdy matka na chwilę opuściła kuchnię, ściągnął ze stołu dwa świeżo ugotowane pierogi i ułożył je na spodeczku. Widelec wepchnął do kieszeni spodni. Po chwili wyjął go jednak i odłożył. Łyżeczka do kawy wydała mu się bardziej poręczna, ale gdy wyobraził sobie któregoś z zielonych ludzików jedzącego pieróg wielkości poduszki łyżką o rozmiarach saperki, ponownie ogarnęły go wątpliwości.

Po obiedzie matka miała zamiar odpocząć pod drzewem. Szymek zaofiarował się przenieść fotelik. Ustawił go możliwie najdalej od domu, by odgłos otwieranych młotkiem drzwi nie zaalarmował wypoczywającej matki. Reszta poszła już gładko.

Wielki ptak spadł na nich zupełnie nieoczekiwanie. Nij, uderzony skrzydłem, stracił na chwilę przytomność. Ote poderwał się na równe nogi, ale silny podmuch odrzucił go w tył. Padając włączył osłonę i nagle uzmysłowił sobie, że jego towarzysz jest bezbronny. Wyłączył ją więc błyskawicznie i sięgnął po broń, w samą porę, żeby dostrzec ptaka, który rozpościerając ogromne

skrzydła umykał przed jasnowłosym olbrzymem. W powietrzu wibrował krzyk. Ote odruchowo przywarł do ziemi i znieruchomiał.

Gdy olbrzym pochylił się, a potem przyklęknął, Ote zaczął pełznąć w jego stronę. Ujrzał Nij a leżącego na ziemi. Przyjaciel nie dawał znaku życia. Postanowił działać. Nie spuszczać z oczu olbrzyma powoli zbliżał się do Nija. Jasnowłosa kolos klęczał nieruchomo. Ote zdecydowany był użyć broni, gdyby dostrzegł jakiś podejrzany ruch. Pochylił się nad przyjacielem, który nadal nie dawał znaku życia. Zielona twarz pożółkła jak zwiędły liść.

Ote sięgnął szybkim ruchem po analizator i przyłożył go do ciała. Odetchnął z ulgą, odczyt brzmiał pociesząco. Lekki wstrząs mózgu. Żadnych obrażeń wewnętrznych. Chory nie potrzebował niczego poza kilkoma dniami wypoczynku. Wibracje analizatora w ciągu kilku sekund przywróciły Nijowi przytomność.

Po kilku godzinach pobytu w ciemnym pomieszczeniu, do którego przeniósł ich olbrzym, ewakuowano ich w pośpiechu. Ote zauważył ze zdziwieniem i ulgą, że w nowym miejscu starannie zamaskowanym gałęziami nie ma żadnych instalacji, które ograniczałyby swobodne poruszanie się. Mogli opuścić je w każdej chwili bez potrzeby forsowania drzwi i ogrodzeń. Czyżby rację miał Nij? Czyżby rzeczywiście zetknęli się z fenomenem bezinteresownej dobroci?

Ich opiekun zjawił się wkrótce ponownie. W rękę trzymał wklęsłą płytę, na której spoczywały jakieś obłe przedmioty polane gęstym białym płynem. Ustawił to na kamieniu. Ote zbliżył się ostrożnie, a Nij uniósł się na posłaniu, żeby lepiej widzieć.

Olbrzym zanurzył palec w białym płynie i oblizał go. Ote zrobił to samo. Jasny kolos przyjął to z wyraźnym ożywieniem. Płyn był słodki i smaczny. Opiekun wyraźnie zachęcał ich do jedzenia. Wbił w białawe poduchy jakiś metalowy przedmiot i podzielił je na mniejsze części. Wnętrze poduch wypełnione było jagodami, którymi obaj rozbitkowie żywili się w lesie. Ote rozpoznał je natychmiast.

Opiekun przykucnął na piętach i patrzył z ciekawością, gdy jedli łączywie. Sprawiał wrażenie zadowolonego.

Nagle pojawiły się owady o przezroczystych skrzydłach. Dwa z nich usiadły na płycie. Ręka olbrzyma świsnęła tuż nad uchem Otego, który przestraszony zatoczył się i padł na ziemię. Owady poderwały się i zaczęły krążyć natarczywie. Opiekun wyglądał na speszonego. Najwidoczniej nie miał zamiaru przestraszyć Otego i chodziło mu jedynie o przepędzenie owadów. Trudno się dziwić Otemu, że na chwilę wpadł w panikę. Każdy, komu nad głową przeleciałyby dłoń wielka jak łyżka koparki, zachowałby się podobnie.

Owady krążyły wokół pożywienia coraz natrętniej. Nij, żeby dać do zrozumienia, że poznał intencje opiekuna, ułamał gałąź i zaczął nią wymachiwać nad płytą. Brzęczące owady rozpięchły się, ale po chwili wróciły. Drobni Dalekowie wykonywali znacznie szybsze ruchy niż ogromni, ale ociążali Ziemianie. Nij pacnął w odwłok najpierw jedną, potem drugą muchę, co wywołało przedziwną reakcję olbrzyma. Zaczął trząść się, wydając jakieś głośnie dźwięki. Rozbitkowie spojrzeli na niego niepewnie.

– Co mu się stało? – zapytał Ote.

– Nie wiem – odpowiedział Nij. – Wygląda dziwnie.

Gdy owady nadleciały, szybkim celnym ruchem zdzielił jednego z nich, nie wyrządzając mu krzywdy. Olbrzym zatrzęsł się ponownie.

– Zdaje się, że wiem, co to jest – szepnął Nij.

Ote przyglądał się z niepokojem opiekunowi.

– On się śmieje. Jestem tego pewien.

Teraz i oni wybuchnęli cienkim piskliwym śmiechem, który przypominał przenikliwy gwizd, i tym razem olbrzym zaczął przyglądać się im podejrzliwie. Ote machnął gałęzią trafiając kolejną muchę i wszyscy trzej wybuchnęli śmiechem i był to prawdziwy początek porozumienia.

Jedynie muchy nie wyglądały na ubawione. Obrażone i rozzłoszczone krążyły nad resztkami pożywienia poza zasięgiem celnej broni Nija.

Gdy dokończyli jedzenia, olbrzym zdjął płytę z kamienia, zamaskował gałęziami wejście i oddalił się. Zostali sami, ale po raz pierwszy od chwili przymusowego lądowania na tej planecie nie czuli się samotni.

Zapadła noc, ale nie zwykła ciemna letnia noc. Ta noc zapadała coraz głębiej, z każdą chwilą ciemności pogłębiały się, aż nie było widać nic, zupełnie nic, nawet tego, że jest ciemno. Wszystko ucichło. I śpiew ptaków, i cykanie owadów, a potem cisza pogłębiła się jeszcze bardziej, wiatr zamarł i wszelkie szelesty ustały. Cisza i ciemność przyczały się, zupełnie jakby na coś czekały. Nie musiały czekać długo. Nagle niebo pękło jak arkusz czarnego papieru i strugi wody zaczęły lać się jak z rozbitego naczynia przyginając do ziemi gałęzie drzew.

– Wyładowania elektryczne – powiedział Ote, gdy kolejna błyskawica rozświetliła wnętrze kryjówek. Wyglądało to zupełnie inaczej niż kontrolowane burze na ich planecie. Rozrzucone hojną ręką przyrody gromy waliły, gdzie popadnie. Woda mlaszcząc spływała strumieniami po ścianach ziemianki, wejście przypominało teraz górski potok, a na dnie pod warstwą siana utworzyła się spora kałuża. Nij czuł się w tej scenerii nieswojo.

– Robi się mokro, niedługo zaczniemy pływać – szepnął. – Powinniśmy się chyba jakoś stąd wydostać.

– Myślisz, że na zewnątrz jest przyjemniej – odpowiedział Ote.

Na wszelki wypadek przycupnęli na kamieniu. Minęły blisko trzy godziny, ale ulewa nie ustawała. Ciałem Nija zaczęły wstrząsać dreszcze. Nie odczuwał chłodu, skafander chronił go przed zimnem, te dreszcze brały się z wnętrza. Zwierzył się z tych dolegliwości towarzyszowi. Ote okazał zaniepokojenie.

– Podwyższona temperatura? To może być reakcja na chorobę. Wiele chorób powoduje takie właśnie objawy.

– Nigdy nie chorowałem.

– Miałeś dziś wypadek. Bariera ochronna mogła zostać osłabiona pod wpływem szoku. Takie przypadki się czasami zdarzają.

Nad ranem stan językoznawcy pogorszył się. Dreszcze nie ustępowały, duże szkliste oczy sprawiały wrażenie półprzytomnych. Ote włączył analizator. Nie miało to wprawdzie większego sensu, bo nie dysponowali żadnym zestawem leków, Ote czując bezradność szukał jednak jakiegoś zajęcia, które dałoby złudzenie, że stara się jakoś pomóc przyjacielowi. Ustawił analizator na diagnozowanie i terapię i po kilku sekundach chemiczny wzór leku pojawił się na małym ekranie. Automatyczne laboratorium na statku wyprodukowałoby go w ciągu kilku minut, ale statek nie istniał. Siedzieli w mokrym dole przykrytym gałęziami, w zapadłym kącie kosmosu, zdani na kaprys przypadku.

Deszcz nie ustawał. Nie był już wprawdzie tak gwałtowny, ale nasiąknięta ziemia nie wchłaniała wody. Kamień, na którym siedzieli, pogrążał się z każdą chwilą. Gdy woda zaczęła omywać im stopy, zdecydowali się opuścić szalas. Ote zabrał ze sobą wilgotny koc. Nie był im do niczego potrzebny, ale gdy siadając na dachu okryli się nim, czuli się bezpieczniej. Po kilkudziesięciu minutach usłyszeli głośnie człapanie i pojawił się ich ziemski opiekun, odziany tym razem w powłóczystą obszerną szatę, która miała zapewne chronić go przed deszczem. Przyniósł żywność w przezroczystym woreczku.

Nij nie zareagował na jego przybycie. Siedział skulony i apatyczny ze szklistymi oczami patrzącymi martwo w przestrzeń. Jego drobnym ciałem wstrząsały dreszcze.

Ote zdawał sobie sprawę, że choroba Nija może się okazać groźna, jeśli nie otrzyma w porę lekarstwa. Szansa, że olbrzym potrafi mu pomóc, była niewielka, ale nie wolno jej było zlekceważyć. Zastanawiał się gorączkowo, jak przekazać olbrzymowi informację na temat choroby przyjaciela.

Opiekun okazał się domyślny. Przyglądał się Nijowi z wyraźnym niepokojem mruczając coś pod nosem, potem wstał i oddalił się szybkim krokiem.

– Co się stało? – zapytał Nij sprawiając wrażenie, jakby ocknął się przed chwilą.

– Wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze – powtarzał Ote z nadzieją. – On zaraz wróci. Zorientował się, że jesteś chory.

Szkliste oczy Nija popatrzyły na niego obojętnie, bez wyrazu.

Szymek wbiegł do domu trzaskając drzwiami. Brat spojrzął na niego z niemym wyrzutem. Kończył właśnie zmywanie naczyń po śniadaniu. Mały miał mu pomóc, ale oczywiście gdzieś zniknął.

– Gdzie mama?

– Pojechała po zakupy. Zostaliśmy sami.

– A kiedy wróci?

Piotr wzruszył ramionami.

– Jeśli zdąży z kolejki na autobus, to będzie koło trzeciej – odpowiedział po chwili wycierając ręce.

Szymek przysiadł na brzegu krzesła i majtał nerwowo nogami. Był bardzo przejęty. Jeden z krasnoludków wyglądał na poważnie chorego. Jeśli nie pomagają nawet czary, to pozostaje tylko mama. Do tej pory nie miał zamiaru zdradzać nikomu ich obecności, chciał ich mieć dla siebie, ale kiedy zaczyna się choroba, to kończy się zabawa.

– Może zdejmiesz tę pelerynę. W domu na razie nie pada – powiedział Piotrek.

Rzeczywiście, w kuchni było ciepło. Szymek przypominał sobie skulonego, drżącego pod mokrym kocem człowieczka. Podszedł do brata i pociągnął go za rękaw.

– Piotrek, muszę ci coś pokazać.

– Co takiego? – zapytał bez entuzjazmu starszy brat.

– Chodź ze mną – pociągnął go w stronę wyjścia.

– Nie mam zamiaru łązić po tym deszczu. Najpierw powiedz, o co chodzi.

– Nie mogę. Musisz to sam zobaczyć.

– O nie. Jest za mokro, żebym chodził w ciemno – odpowiedział Piotrek wyrywając rękę i rozsiadł się na krześle.

Szymek przygryzł wargę. Zastanawiał się.

– Musisz mi pomóc. Z nimi jest niedobrze.

– Z kim?

Szymek milczał.

– No dobra – mruknął Piotrek podnosząc się z krzesła – ale jeśli to jakiś głupi kawał, to będziesz za mnie szorował gary przez cały tydzień.

Włożył „kangurkę” i naciągnął kaptur na głowę. W progu zatrzymał się. Z okapu spływały strugi wody.

– Nie można z tym poczekać, aż trochę przejdzie?

– Nie można! – krzyknął Szymek i szybko zbiegł po schodkach.

Począł więc za nim niechętnie chowając przed deszczem dłonie w rękawach kurtki. Nie przeszedł kilkudziesięciu metrów po mokrej trawie, a spodnie miał już przemoczone do kolan. Powinien włożyć kalosze.

– Ty, daleko jeszcze!?

Szymek zatrzymał się i obejrzał przez ramię.

– To tutaj, ale nie podchodź za blisko, bo mogą się przestraszyć – szepnął.

Piotr założył ręce na piersi i westchnął. Nareszcie rozpoznał to miejsce. Na początku wakacji zbudował tu szafas. Szymek pochylał się i rozgarnął krzaki.

– Teraz zobacz, tylko ich nie przestrasz.



Piotrkowi przemknęło przez myśl, że mały znalazł jakieś pisklęta albo małe zwierzęta i przygotowywał się właśnie do udzielenia mu reprymendy. Pokręcił głową z dezaprobatą i wyciągnął szyję. W pierwszej chwili nie dostrzegł nic nadzwyczajnego. Na dachu szałas leżał szary tobołek. Nagle tobołek drgnął i dwie pary oczu zwróciły się na Piotra. Chłopiec doznał dziwnego uczucia. Dwie gumowe zabawki wpatrywały się w niego pełnym napięcia wzrokiem. Cofnął się odruchowo.

– Oni są żywi – szepnął z niedowierzaniem.

– Ledwie żywi – sprostował Szymek rzeczowo. – Ten – wskazał ręką nieznane stworzenie – wygląda na chorego. Chyba ma gorączkę.

– Skąd się tutaj wzięli? Co to za jedni?

Starszy brat sprawiał wrażenie bardzo poruszonego spotkaniem. Szymek przyglądał mu się ze złośliwą satysfakcją.

– To są leśne duszki. Nie miały gdzie mieszkać. Ja ich karmię. Wczoraj jadły pierogi z jagodami, a dzisiaj ser i masło.

Jedno ze stworzeń stanęło na dwóch nogach przytrzymując się gałęzi. Cienkie, szerokie wargi poruszyły się. Dobiegły ich ciche, przenikliwe dźwięki.

Piotrek patrzył na stojącego z niedowierzaniem. Nagle zrozumiał.

– Szymek, to nie są duszki ani krasnoludki. Oni są nie z tej ziemi. Oni są z UFO!

– Nie – malec zaprotestował łagodnie – mieszkali w lesie, w dziupli, mogę ci ją pokazać. To na pewno są duszki.

Piotr kręcił głową. Wciąż nie dowierzał własnym oczom, a jednak ponad wszelką wątpliwość miał przed sobą dwa filigranowe człekokształtne stworzenia o zielonkawej skórze, jednak o wiele mniejsze od tych, o których czytał w relacjach ze spotkań trzeciego stopnia. Dopiero teraz zauważył, że jedno z nich drży. Jego duże oczy rozpalone były niezdrowym blaskiem. Szymek miał rację. Przybysz z kosmosu – co do tego Piotrek nie miał już najmniejszej wątpliwości – był chory i potrzebował pomocy.

– Nie możemy ich tu zostawić – szepnął do młodszego brata. – Potrafisz się z nimi porozumieć? Trzeba zabrać ich do domu.

– Oni mnie słuchają – powiedział malec z dumą. – Już ich przenosiłem. Mieszkali na strychu, ale tam nie ma świeżego powietrza.

– Szymek, wiesz co ty zrobiłeś?... Nawiązałeś kontakt z nieznaną cywilizacją.

– Nie wiedziałem, że oni są nieznanymi z cywilizacji. Myślałem, że z jakiejś bajki... Czy to coś złego?

– Potem porozmawiamy... Spróbuj ich teraz namówić, żeby z nami poszli.

– Wezmę ich na ręce.

Przykucnął i szybko wyjaśnił na migi, o co mu chodzi. Piotr pokręcił głową z podziwem, gdy przybysze z obcej planety po krótkiej naradzie usadowili się na ramieniu młodszego brata. Sam trzymał się w przyzwoitej odległości, bo przybysze byli wyraźnie zaniepokojeni jego obecnością.

Chłopcy postanowili umieścić ich tymczasem w swoim pokoju. Sprawiali wrażenie załęczonych i podekscytowanych. Szymek z troską przyglądał się choremu, który drżał i szczął zębami.

– Trzeba mu dać lekarstwo – powiedział spoglądając z nadzieją na starszego brata, ale ten był równie bezradny.

– Nie wiem, czy potrafimy mu pomóc. Oni różnią się od nas, nasze lekarstwa mogą ich zabić.

– Zaniesiemy go do lekarza?

– Lekarze leczą ludzi, a oni nie są ludźmi. Ich organizm może być zupełnie inny i pewnie jest.

Szymek przyglądał się bratu z uwagą. Piotr sprawiał wrażenie bezradnego i zagubionego. Wiedział, że należy coś przedsięwziąć, i czuł na sobie ciężar odpowiedzialności.

– Może damy im aspirynę? – powiedział bez przekonania. Aspiryna w niewielkich dawkach jest wprawdzie nieszkodliwa, ale nie ma pewności, czy dla tych dwóch nie okaże się śmiertelną

trucizną. Sięgnął do szuflady, pokruszył tabletkę i napełnił kieliszek przegotowaną wodą. Szymek przyglądał się tym zabiegom w napięciu.

Piotr wręczył bratu łyżeczkę i kieliszek.

– Z tobą są bardziej oswojeni. Daj im to. Ote przyglądał się niepewnie białym okruczem, wydobyl analizator i umieścił jego koniec na łyżeczce.

Chłopcy przykucnęli i przypatrywali się w skupieniu tym czynnościom. Piotrek odetchnął widząc, że kosmita studiuje lekarstwo z niezwykłą ostrożnością. Gdy w jego czteropalczastej dłoni pojawił się analizator, powiedział półgłosem do Szymka:

– To chyba jakiś wykrywacz...

– Czarodziejska pałeczka – wyjaśnił Szymek z wyższością. Znał przecież obu zielonych ludzików o wiele dłużej, uważał się więc za specjalistę w sprawach, które ich dotyczą. Brat o dziwo przyjął to wyjaśnienie z powagą.

– Myślę, że to coś w tym rodzaju – szepnął.

Zielony człowieczek powstał nagle i zaczął mówić szybko w swym piskliwym języku do towarzysza. Ożywienie udzieliło się również choremu. Teraz obaj pochyliłi się nad lekarstwem. Byli tak zaaferowani, że przestali zwracać uwagę na chłopców, którzy wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Chory umieścił na dłoni okrucz aspiryny, przyłożył do niego pałeczkę, po czym dorzucił jeszcze jeden drobny okruszek.

– Co oni robią? – zniecierpliwil się Szymek.

– Nie mam pewności, ale wydaje mi się... – nie dokończył. Dwie pary nieproporcjonalnie dużych, rozumnych oczu wpatrywały się w niego intensywnie. Piotr poczuł się nieswojo.

Chory ujął w palce białe okruczy i szybkim ruchem włożył je do ust. Piotr trącił łokciem młodszego brata i triumfalnym ruchem uniósł w górę kciuk.

– Udało się! – starał się przytłumić okrzyk radości obawiając się, że gwałtowna reakcja może przstraszyć nieznanomych z kosmosu.

Szymek wzruszył ramionami. Nie rozumiał, co tu się mogło nie udać. Wiadomo, że na przeziębienie najlepsza jest aspiryna i herbata z malinami. Dziwił się tylko, dlaczego ten mały zielony człowieczek tak długo wahał się, zanim połknął lekarstwo. Szymek znał znacznie mniej apetyczne leki od aspiryny, nie mówiąc już o zastrzykach.

Piotr wyjaśnił mu, że w przypadku obcej cywilizacji sprawa nie przedstawia się tak prosto. Niewinne leki mogą okazać się truciznami. Piotr nie miał wcale pewności, czy aspiryna im nie zaszkodzi. Na szczęście wszystko wskazuje na to, że oni sami wiedzą, co powinno im pomóc. Wyraził przypuszczenie, że w pałeczce zamontowany jest komputer, który wykrywa, co jest złe, a co dobre.

UFO, kosmici, komputer... Szymkowi nie za bardzo to wszystko odpowiadało. Wolał, żeby nieznanomy pozostali tak jak na początku młodymi krasnoludkami albo leśnymi duszkami. W duchu żywił nadzieję, że ich pochodzenie wyjaśni się i że rozwiązanie tej zagadki potwierdzi jego przypuszczenia.

– Czy oni zostaną w naszym pokoju? – zapytał szeptem, jakby obawiał się, że jego słowa mogą być zrozumiane przez nieznanomych. Zbliżył przy tym twarz do ucha brata i przesłonił usta dłonią.

Piotrek spojrzal na zegarek. Do powrotu matki mieli jeszcze sporo czasu. Ten czas należałoby wykorzystać na zastanowienie się i powzięcie decyzji.

– Musimy się dowiedzieć, czy mają ochotę z nami zostać – powiedział z namysłem przyglądając się kosmitom.

– Oni nie znają polskiego – zauważył Szymek. – Jak się dowiemy, na co mają ochotę?

– A ty jak się z nimi dogadujesz?

– Na migi.

– Zastanówmy się spokojnie, co robić – rozważał na głos Piotrek. – Jeżeli jeden z nich wziął aspirynę po dokładnym przebadaniu...

Wzmianka o badaniu lekarstwa rozśmieszyła Szymka, ale brat skarcił go surowym wzrokiem.

– ...to znaczy, że jest chory, prawdopodobnie przeziębiony – ciągnął po chwili. – Powinien leżeć w łóżku, a przynajmniej pozostawać w ciepłym miejscu. Powinni z nami zostać, ale...

Musiał przerwać, bo Szymek dał upust swej radości tak gwałtownie, że rozbitkowie cofnęli się odruchowo. Radość chłopca ustąpiła jednak szybko miejsca gwałtownym wątpliwościom. Czy mama zgodzi się, żeby z nimi zamieszkali? Na psa przecież nie chciała się zgodzić, na akwarium również.

Piotrek zastanawiał się nad tym samym, ale nie chodziło mu o zgodę matki, lecz o coś więcej. Nie miał pewności, czy wolno mu ujawniać przed rodzicami istnienie tych stworzeń. Być może oni wcale sobie tego nie życzą. To nawet bardzo prawdopodobne. Póki nie ma co do tego pewności, powinni przebywać w ukryciu. Uświadomił sobie nagle, że oto dokonuje się rzecz niezwykła. On, Piotrek, lat dwanaście, nawiązał wraz z młodszym bratem bardzo bliski kontakt trzeciego stopnia z przedstawicielami obcej planety. Być może od nich dwóch zależy teraz przyszłość ludzkości?... Z przejęcia zaczął obgryzać paznokcie, ale zreflektował się szybko. Bądź co bądź był teraz przedstawicielem ludzkiego gatunku... Wydało mu się dziwne, że przybysze zwrócili się o pomoc do nieletniego Szymka, a nie do kogoś dorosłego. Być może był to przypadek, ale niewykluczone, że był to wybór przemyślany. Dorośli mają na swoim koncie wiele wspaniałych wynalazków, ale też wojny i podboje. Przypomnieli mu się Indianie... Jeśli ci dwaj mali faceci znają trochę historię ludzkości, to nic dziwnego, że starali się uniknąć kontaktów ze światem dorosłych. Szymek i on, Piotrek, na pewno nie wyruszą na podbój ich planety.

– A mama? Czy powiemy o nich mamie? – zapytał Szymek.

Mama była wspaniała, ale była też dorosła. Na pewno powiedziała by o tym ojcu. Ojciec był równie fajny, że dorosły i na pewno znał wielu znakomitych ludzi, z którymi chciałby się podzielić niezwykłym odkryciem. Utrzymanie tajemnicy w tych warunkach stałoby się niemożliwością.

– Nie – głos Piotra brzmiał stanowczo. – Nikt poza nami dwoma nie może o nich wiedzieć.

Szymek z powagą skinął głową.

– Pamiętaj, ani słowa nikomu – powiedział starszy z chłopców.

Malec spojrział na brata z wyrzutem. Przecież to, że Piotr dowiedział się o całej sprawie, wynikało z ostatecznej konieczności. Gdyby nie choroba, pewnie nigdy by się o tym nie dowiedział. To on dopuścił brata do tajemnicy.

Piotr spojrział ponownie na zegarek. Czas naglił. Pozostał do rozwiązania najważniejszy problem. Jak przechować małych lokatorów w tajemnicy przed matką. Pokój chłopców był przestronny. Mebli i zakamarków było w nim niewiele. Można by przybyszów urządzić w pudełku po butach, ale istniało ryzyko, że matka może ich znaleźć przypadkiem podczas sprzątania. Piotr podszedł do starej serwantki, która służyła im za szafę, i wysunął szufladę. Był to właściwie górny segment mebla z dorobionymi nogami i szufladami pochodzącymi najwyraźniej z innego kompletu. Szuflady były za krótkie, a spód serwantki nie zabudowany. Piotrek położył się na ziemi.

– Podaj latarkę! – rzucił w stronę brata.

Gdy powstał, na jego twarzy malował się wyraz satysfakcji. Na tylnej ścianie mebla odkrył mocną, szeroką półkę. Można było na niej zmieścić nie dwóch, ale sześciu małych kosmitów i jeszcze pozostałoby trochę wolnego miejsca. Pomiedzy półką a tylną ścianą szuflady była wolna przestrzeń. Można było tam wejść i wyjść swobodnie, jeśli oczywiście wzrost wchodzącego nie przekraczał dwudziestu paru centymetrów. O czymś lepszym trudno było marzyć. Podzielił się z Szymkiem tym odkryciem. Kosmici również wydawali się zainteresowani serwantką. Wskazywali na nią co chwila prowadząc ożywioną rozmowę. Czy to na skutek działania aspiryny, czy może z powodu podniecenia chory przestał drzeć, a jego oczy nabrały przytomniejszego wyrazu. Był jednak wyraźnie osłabiony, bo poruszał się niepewnie.

Piotrek wytarł półkę z kurzu i położył na niej warstwę waty. Szymek tymczasem wziął na swe barki trud przekonania kosmitów, by weszli do kryjówki, nim zjawi się matka. Pantomima trwała dość długo. Rozbitkowie albo nie pojmowali jej znaczenia, albo wahali się, bo co chwila

wymieniali jakieś krótkie uwagi, wreszcie zdrowszy z nich uniósł rękę, podszedł do półki i wspinał się na nią. Piotr włożył szufladę, domknął ją, po czym zastukał trzy razy i wysunął na powrót.

Chory miał trudności z wdrapaniem się na półkę, ale udało mu się to z pomocą towarzysza. Wyglądało na to, że obie strony doszły do porozumienia, a jednak każdy z osobna miał wątpliwości, czy został właściwie zrozumiany.

Nagle zgrzytnął klucz w drzwiach wejściowych, na korytarzu rozległy się kroki. Zanim którykolwiek z chłopców zdołał zareagować, kosmici umknęli w popłochu na półkę.

– Chłopcy, gdzie jesteście? – dobiegł ich głos matki. Szuflada znalazła się na właściwym miejscu, nim ręka wchodzącej nacisnęła klamkę. Chłopcy mrugnęli do siebie porozumiewawczo.

– Nij! – Ote prawie wykrzyknął obracając w dłoni białą grudkę. – To jest lekarstwo na twoją chorobę!

Językoznawca patrzył na wskazania analizatora nie dowierzając własnym oczom. Skład nieznanego leku w nieznanym tylko stopniu odbiegał od wymaganej normy. Należało trochę zwiększyć dawkę. Prognoza była optymistyczna: przy systematycznym zażywaniu leku objawy choroby i wszelkie dolegliwości powinny ustąpić w ciągu kilku dni.

– To coś więcej jak szczęście – szepnął Ote – to wyjątkowe szczęście. Szansa jedna na milion.

Obaj spojrzeli z wdzięcznością na wybawcę.

Gdy ustąpiło zagrożenie, do głosu zaczął dochodzić chłodny, beznamiętny rozsądek. Otego ogarnęły nagle wątpliwości. Krąg istot, przed którymi się ujawnili, poszerzał się, a wraz z tym narastało nowe niebezpieczeństwo: im więcej tubylców wiedziało o nich, tym mniejsze stawały się szanse na bezpieczne przetrwanie. Podzielił się tymi obawami z towarzyszem.

– Jeżeli pozostaniemy tutaj dłużej, dowie się o nas kolejna z tych istot, o ile już o nas nie wie.

Nij uradowany bliską perspektywą powrotu do zdrowia wykazywał jednak niezmacony optymizm.

– Tak nie można – dowodził z pasją. – Oni ratują nas z kolejnej opresji, karmią i – co do tego chyba nie masz wątpliwości – ukrywają!

– Jeżeli wszyscy mieszkańcy tej planety zaczną nas ukrywać, to na pewno nie da się ukryć naszej obecności – stwierdził Ote cierpko, przyglądając się podejrzliwie olbrzymom, którzy nie zwracali na nich uwagi.

– Jak myślisz, co oni robią? – zapytał Nij przyglądając się z ciekawością swojemu wybawcy, który leżąc na brzuchu oświetlał wnękę u podstawy oszklonego mebla.

– To może mieć jakiś związek z nami – stwierdził z niepokojem Ote. – Niewykluczone, że chcą nas tam uwięzić.

– Nie wierzę – powiedział językoznawca z przekonaniem. – Spójrz, ten element jest za krótki, by odciąć nam drogę wyjścia – rzekł wskazując dłonią leżącą obok szufladę. Mimo gorączki nie zatracił jeszcze zdolności logicznego rozumowania.

– Będą starali się go powiększyć – upierał się Ote. Wolał przewidywać najgorsze ewentualności i doznawać przyjemnych rozczarowań. Ale i on zaczynał powoli wierzyć w przyjazne intencje olbrzymów i z nadzieją podsztyła lekkim niepokojem przyglądał się ich zabiegom. – Jeśli chcą nam tu udzielić schronienia, to nie rozumiem, dlaczego chcą nas umieścić w tej wnęce.

– To miejsce ma sporo zalet. Jest niewidoczne z zewnątrz, a po umieszczeniu tego prostopadłościanu nie widać także wejścia do wnęki. Być może w normalnych okolicznościach tego elementu nie wyjmuje się, a tylko wysuwa.

– To tylko przypuszczenia – mruknął Ote.

– Sądzę, że mogłaby to być niezła kryjówka – odpowiedział językoznawca z optymizmem. Czuł się teraz znacznie lepiej. Dreszcze powoli ustępowały.

W kilkadziesiąt sekund później optymizm Nija potwierdził się. Wy tłumaczono im na migi, że ukryta przemyślnie półka ma im służyć za schronienie. Ote wahał się jednak, chciał wiedzieć, jak długo mają tam przebywać i jakie mają gwarancje, że nie dowiedzą się o nich inni Ziemianie.

– Gwarancje?! – obruszył się językoznawca. – O czym ty mówisz? Nie wystarcza ci, że zupełnie bezinteresownie udzielono nam pomocy?

– Skąd mam wiedzieć, że robią to bezinteresownie? Nie znamy przecież ich motywów.

– Nad czym się właściwie zastanawiamy? – niecierpliwił się Nij.

Dowódca wyprawy przyznał mu w duchu rację, ale zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, zza drzwi dobiegł ich metaliczny szczeł i odgłos zbliżających się kroków. W popłochu umknęli pod serwantkę. Uczynili to w samą porę, bo nim znaleźli się na półce, doszedł ich ludzki głos i ogromne drzwi otworzyły się z trzaskiem.

Czekali w napięciu, ale nic się nie działo. Do dwóch znajomych głosów dołączył się trzeci, obcy, rozmowa miała jednak przebieg spokojny. Dalekowie nie rozumieli oczywiście sensu słów, ale z intonacji i spokojnego rytmu zdań wywnioskowali bez trudu, że tymczasem nic im nie grozi.

– Nic z tego nie rozumiem – szepnął Ote mając na myśli sytuację, w której się znaleźli.

– Potrzeba mi kilku dni, żeby opanować ich język w wystarczającym stopniu – odpowiedział Nij, jako że co do sytuacji miał pełną jasność. Był przekonany, że dwaj opiekunowie starają się ukryć ich przed trzecią osobą, obawiając się widocznie, że z jej strony może zagrażać im niebezpieczeństwo.

Nagle podłoga zadygotała pod stopami olbrzymów, skrzypnęły ciężkie drzwi i zaległa cisza. Nij poczuł najpierw kojący spokój, a potem znużenie. Wyciągnął się na puszystym białym posłaniu i prawie natychmiast zasnął. Ote próbował walczyć z ogarniającą go sennością, jednak bez skutku. Poprzedniej nocy prawie nie zmrużył oka. Obudziło go dopiero walenie w szufladę. Trzy mocne uderzenia. Nij również zerwał się na równe nogi. Trzykrotne pukanie stanowiło umówione hasło, jednak obaj mimo woli wstrzymali oddech. Ściana oddaliła się ze zgrzytem i do wnętrza wdarło się światło. W polu widzenia pojawiła się ręka zwrócona dłonią do góry i powoli sunęła w ich stronę. Zatrzymała się, gdy palce dotknęły krawędzi półki. Przyniesiono im posiłek. Na dłoni leżała góra prowiantu.

Ote odruchowo przełknął ślinę, nie ruszył się jednak z miejsca. Ta wielka ręka budziła w nim strach i odrazę, mogłaby zmiażdżyć go bez trudu.

Na szczęście Nij nie odczuwał żadnych obaw. Stał w rozkroku opierając nogę na małym palcu olbrzyma i bez pośpiechu przekazał żywność towarzyszowi. Dłoń zniknęła i w polu widzenia pojawiła się twarz Ziemanina. Niebieskie oczy patrzyły na nich z ciekawością i czymś jeszcze, co później Ote określił jako badawczą dociekliwość, a Nij po prostu jako sympatię.

Szuflada wróciła na dawne miejsce i w kryjówce ponownie zapadły ciemności.

– Myślisz, że dotrzemy w tym mroku do przybycia ekspedycji? – Ote, który zadał to pytanie, bardzo w to wątpił.

Nij, choć jego towarzysz nie mógł tego dostrzec, wcale nie wyglądał na przejętego mrocznymi perspektywami. Jedzenie pochłonęło go bez reszty.

– Śpi?

– Śpi – odpowiedział Szymek szeptem. – Zgasiła światło.

– Poczekajmy jeszcze parę minut.

– A możemy rozmawiać? – zapytał malec.

– Szeptem.

– Będziemy musieli uważać, żeby ich nie rozdeptać przy wchodzeniu.

– Oni są ostrożni.

– Są mądrzy, prawda?

– Myślę, że tak...

– To dziwne... Myślałem, że jak się jest małym, to... – nie dokończył, bo przypomniało mu się, że nie ustalili jeszcze, jak mają nazywać lokatorów serwantki, a przyszedł mu właśnie do głowy pomysł, więc powiedział o tym bratu, żeby nie zapomnieć.

– Jak? Zieludki? – Piotrek skrzywił się z niesmakiem.

– Powiedziałeś, że krasnoludki, nazywają się tak, bo są czerwone, a oni są zieloni – wyjaśnił Szymek.

Po namyśle Piotr doszedł do wniosku, że być może pomysł nie jest najgorszy. Gdyby nawet mały przypadkiem wysypał się przy matce, to ona na pewno nie zorientuje się, o co może chodzić. Brzmiało to jak dziecięca paplanina. Rodzice na takie rzeczy nie zwracają uwagi. Przecież on sam też nie uwierzył Szymkowi, gdy opowiadał o krasnalach i niewidzialnej piłce.

Upewnili się jeszcze raz, że matka śpi, i na wszelki wypadek ustawili w progu jej pokoju blaszane wiadro. Miało ono opóźnić ewentualną interwencję. Potem postawili na podłodze lampkę nocną, tak by jej blask nie oświetlał zbyt jasno okien, i zapukali trzykrotnie w szufladę. Szymek miał ochotę zajrzeć do środka i zobaczyć, jak im się mieszka, ale brat powstrzymał go

– Jeśli chcą się z nami zobaczyć, to na pewno wyjdą. Jak byś się czuł, gdyby ktoś obcy wsadzał ci ciągle głowę do pokoju?

Małec wzruszył ramionami. Po pierwsze wcale by mu to nie przeszkadzało, po drugie nie uważał się za obcego, a na zabawę każda pora jest dobra.

Po kilkunastu sekundach usłyszeli cichy szmer i w chwilę później spod serwantki wyłoniła się zielona łysa głowa. Ciemne oczy przyglądały im się z ciekawością, po czym głowa cofnęła się.

O godzinie dwudziestej drugiej pięć przedstawiciele obu cywilizacji zasiedli w kręgu światła wokół rozłożonych przez Piotra kartek czystego papieru. Spotkanie miało doprowadzić do uzgodnienia istotnych dla obu stron problemów. Najważniejszym był brak wspólnego języka. Bez tego trudno było o jakiegokolwiek porozumienie. Piotrek postanowił narysować to, czego nie uda się pokazać na migi. Pierwszym rysunkiem były pospieszne portrety zgromadzonych w kręgu lampy osób. Zdrowszy z kosmitów – Piotr nauczył się już ich rozróżniać – wykazał żywe zainteresowanie tymi szkicami. Sięgnął po przytroczoną do boku pałeczkę i za jej pomocą wykonał błyskawicznie podobne szkice, z tym że precyzja rysunku bliska była doskonałości. Owa doskonałość nie była jednak artystyczna, ale rzecz by można matematyczna i przypominała szkice wykonywane przez komputer, bezbłędne w proporcjach, lecz pozbawione dynamiki.

Kosmita pochylił się nad autoportretem i końcem pałeczki dotknął rysunku. Piotr otworzył usta ze zdumienia, gdy postać na rysunku zwinęła się w kłębek i została wpisana w okrąg. Jej kontury zatarły się lekko. Ote uderzył mocno pałeczką mierząc w kolistą linię, a ta ugięła się miękko, po czym sama wróciła do dawnego kształtu. Uderzył mocniej i rysunek przesunął się po papierze.

„Niewidzialna piłka”, domyślił się Piotr.

Szybki ruch pałeczki i okrąg zniknął, a rysunek zwiniętego w kłębek przybysza z kosmosu stał się na powrót wyraźny. Nastąpiło kolejne silne uderzenie. Kontury rozsypały się, jakby sporządzone były ze spalonego papieru.

Chłopiec zrozumiał bez trudu. Język rysunków nie był trudniejszy od języka animowanych filmów. Ci dwaj z niewiadomych przyczyn stali się bezbronni i pewnie dlatego zmuszeni byli szukać pomocy u ludzi.

Piotrek i Ote tak byli pochłonięci sobą, że zupełnie przestali zwracać uwagę na pozostałych uczestników spotkania, tymczasem Nij dzięki gadatliwości Szymka w krótkim czasie opanował bez trudu kilkadziesiąt podstawowych słów i jego słownik z każdą chwilą poszerzał się o nowe. W głowie Nija powoli klarował się system gramatyki ziemskiego języka. Fenomenalna zdolność lingwisty do zapamiętywania, kojarzenia i odtwarzania nie wydawała się Szymkowi niczym nadzwyczajnym, tak jak naturalna była jego własna skłonność do poznawania i uczenia się nowych rzeczy. Gdy brakowało słów, żeby wyjaśnić sobie znaczenia kolejnych niezrozumiałych dla przybysza z kosmosu pojęć, sięgali do prostego języka gestów, a gdy i te okazały się niewystarczające, pomagali sobie rysunkami.

Po kwadransie mogli już prowadzić coś w rodzaju rozmowy.

Rozumiem Szymek, rozumiem Piotrek. Nie rozumiem mama – domagał się szczegółowych wyjaśnień lingwista.

Znaczenie mamy przekraczało jednak definicyjne możliwości chłopca, odpowiedział więc, że mama śpi, wskazując przy tym dłonią drzwi. Nij nie rozumiał także, co znaczy śpi, ale z wyjaśnieniem tego nie było kłopotów. Szymek położył się po prostu na podłodze i zamknął oczy.

– Tak – stwierdził krótko językoznawca – rozumiem śpi. – Domyślił się przy okazji, że owo niezrozumiałe słowo stanowiło określenie trzeciej osoby zamieszkującej dom. Chciał dowiedzieć się czegoś bliższego o jej charakterze, ale przy obecnym stopniu znajomości języka Ziemiań było to niemożliwe.

– Piotrek dobry. Szymek dobry. Jedzenie... Lek... Domek – mówił wskazując ręką kryjówkę. – Mama zły?

– Mama jest dobra – w głosie chłopca brzmiała absolutna pewność. – Jedzenie, leki... wszystko.

– Wszystko?

– Dużo – odpowiedział malec.

– Dużo nie rozumiem.

Szymek wyjaśnił rzecz pogładowo za pomocą gestów i przetarł oczy dłońmi. Po pełnym wrażeń dniu chciało mu się spać. Leżąc na boku złożył głowę na zgiętym ramieniu i przymknął powieki.

Piotr z przejściem śledził obrazkową historię pobytu Daleków na Ziemi od chwili katastrofy statku, która rozrastała się pod szybkimi dotknięciami niezwyklej pałeczki, gdy wtem usłyszał cichy głos brata i poczuł lekkie dotknięcie.

– Szymek śpi – powtórzył Nij.

– Ty mówisz?

– Mało – stwierdził skromnie językoznawca.

Chłopiec przyglądał mu się z niedowierzaniem, nie mając pewności, czy nie ulega halucynacjom. Głos, który słyszał, należał bez wątpienia do jego młodszego brata. A więc to, co wydawało mu się monologiem Szymka i na co z tego właśnie powodu nie zwracał najmniejszej uwagi, było rozmową...

Językoznawca przyjął od malca nie tylko same dźwięki, ale i charakterystyczny sposób ich wymawiania.

Gdy Piotrek przenosił śpiącego brata na łóżko, rozbitkowie zainteresowali się nocną lampką. Pokazywali coś sobie i prowadzili ożywioną rozmowę.

Piotrek spojrział na zegarek. Było już po wpół do dwunastej. Nocny chłód wciskał się do pokoju przez szpary w podłodze. Przez chwilę usiłował walczyć z ogarniającą go sennością. W głowie miał chaos i zamęt. Przesławał odróżniać sen od jawy i gotów był uwierzyć, że cała ta historia ma swoje źródło jedynie w jego imaginacji.

– Przepraszam, ale chce mi się spać – wymamrotał.

Nij zrozumiał z tego tylko jedno słowo, ale łatwo domyślił się, że ich gospodarz jest już zmęczony. Ote przesunął pałeczką po papierze i rysunki poznikały jak pod dotknięciem zaczarowanej różdżki.

– Tak – powiedział Nij cichym głosem Szymka – spać.

– Noc – Piotr wskazał ręką ciemność za oknem.

– Nie spać? – zapytał językoznawca wycofując się powoli pod serwantkę.

– Dzień. Jasno – wyjaśnił wsuwając rękę w krąg światła rzucanego przez lampę.

– Dzień rozmawiać dużo. Wszystko.

– Tak. O wszystkim.

Zaczekał, aż znajdą się na półce, po czym wyłączył światło.

Dalekowie, którzy przespałi się w dzień, byli zbyt podekscytowani, żeby szybko zasnąć. Siedzieli w ciemności na posłaniach z waty i długo jeszcze rozmawiali przyciszonymi głosami. Dokonali ważnego odkrycia. Oświetlenie w tym pomieszczeniu zasilane było ze źródła energii.

Wszystko wskazywało na elektryczność. Jeśliby tak było, mogliby bez trudu odtworzyć podręczne zasoby. Staliby się na powrót bezpieczni.

Ote ciekaw był także, czego Nij dowiedział się od swojego rozmówcy.

– To jeszcze nie rozmowa, lecz zaledwie wstęp, ale w ciągu dwóch, trzech dni będę władał ich językiem dość swobodnie. Znam już znaczenie podstawowych kilkudziesięciu słów.

– Ale udało ci się czegoś dowiedzieć? – niecierpliwił się dowódca niefortunnej ekspedycji badawczej.

– Tak. Co prawda niewiele, ale to, co wiem, jest dość zastanawiające. Chciałem dowiedzieć się czegoś o roli trzeciego z mieszkających tu rozumnych stworzeń. Jednego dowiedziałem się z całą pewnością. „Mama” – tak nazywa się to trzecie stworzenie – związane jest z pozostałymi przyjaznymi układami.

– Dlaczego więc nas przed nim ukrywają?

– Na to pytanie będę mógł ci odpowiedzieć jutro albo pojutrze... Niewykluczone, że jest to jakiś inny podgatunek żyjący w symbiozie z naszymi opiekunami, skoro na jego określenie używają osobnej formy gramatycznej – zastanawiał się głośno językoznawca. – A w ogóle im mniejszy jest krąg tych, którzy cokolwiek o nas wiedzą, tym mniej nam grozi.

Co do tego obaj nie mieli wątpliwości. A jednak Ote jako dowódca czuł się odpowiedzialny za obu i gnębiło go, co też może im zagrażać ze strony trzeciego z mieszkańców domu. Na szczęście odkryli energię. Miał nadzieję, że nim dojdzie do jakiegoś nieszczęścia, będą mogli się bronić.

Chłopcy spali w najlepsze, gdy wtem w porannej ciszy przetykanej z rzadka ptasimi piskami rozległ się straszliwy hałas. Zerwali się na równe nogi półprzytomni z przerażenia.

– Co to?! – krzyknął Piotrek i w tej samej chwili uświadomił sobie, co się stało. Wiadro. Zapomnieli o wiadrze. Ostrożnie uchylili drzwi prowadzące do kuchni.

Matka krzywiąc się z bólu rozcierała stłuczone biodro.

– Co to za głupie kawały? Który z was to zrobił?

– Ja – odpowiedzieli chórem.

Zbiorowe przyznanie się do winy wydało się matce podejrzane. Zmarszczyła brwi.

– Myślałem... – zaczął Szymek i przerwał. Gdyby myślał, to pewnie coś by wymyślił.

Na szczęście Piotrek przygotował sobie zawnazas odpowiedni wykręt.

– Szymkowi wpadła latarka. Przetawiałem wiadro i zapomniałem postawić na miejsce.

Brzmiało to nawet dość prawdopodobnie, więc matka przeszła nad zajściem do porządku dziennego, tym bardziej, że chłopcy z niespotykaną raczej gorliwością zaczęli jej pomagać przy śniadaniu. Sądziła, że wynika to z poczucia winy z powodu wiadra, i gotowa była potykać się nie o jedno, lecz o kilka wiader, byle tylko codziennie synowie wykazywali tyle dobrych chęci. Obserwowała ich ukradkiem i odnosiła wrażenie, że między braćmi pomimo tak znacznej różnicy wieku nawiązała się nić porozumienia. Wymieniali między sobą jakieś ciche uwagi i porozumiewawcze spojrzenia. W Warszawie coś takiego raczej się nie zdarzało. Piotrek traktował młodszego brata protekcyjnalnie, często okazywał znużenie albo nawet zniecierpliwienie. Ową zmianę ich wzajemnego stosunku przypisywała brakowi towarzysztwa. W sumie bardzo była zadowolona z takiego obrotu sprawy.

Po śniadaniu bracia zapakowali swoich podopiecznych do chlebaka i przenieśli się z nimi do ogrodu w poblizze szalasu. Woleliby wprawdzie zostać w domu, ale w zapadłym kącie ogrodu czuli się znacznie swobodniej, a poza tym matka miała wyraźną obsesję świeżego powietrza i nie pozwoliłaby im na przesiadywanie w zamkniętym pomieszczeniu. Zresztą w ogrodzie było zupełnie przyjemnie. Ulewnie deszcze szybko wchłonęła rozgrzana lipcowymi upałami ziemia, a słońce wysuszyło trawę.



Rozbitkowie wyglądali na przerażonych kolejną ewakuacją, którą kojarzyli z przerażającymi odgłosami słyszanych przed godziną, ale Szymek przekonał ich, nie bez trudu zresztą, że poranny rumor nie miał z nimi nic wspólnego.

Goście z odległej planety wykazywali żywe zainteresowanie nauką polskiego, postanowili więc podzielić się na dwie grupy. Szymek zajął się Nijem, który po zażyciu kolejnej dawki aspiryny czuł się już zupełnie dobrze, a Piotrek wziął na swoje barki trud nauczania drugiego z przybyszów.

Piotr dziwił się w duchu bezprzykładnemu pędowi do wiedzy, ale w gruncie rzeczy był z tego bardzo zadowolony. Liczył na to, że może w niedalekiej przyszłości będą się mogli porozumiewać bez trudu i wówczas on sam dowie się wielu interesujących rzeczy o dalekiej planecie.

Szybkość, z jaką obaj początkujący bądź co bądź uczniowie chłonęli wiadomości, była zdumiewająca. Ote uczył się wprawdzie o wiele wolniej od swojego towarzysza, a przeszkodę stanowił nie tylko język, ale i nowe, nieznanne rzeczy, które należało nazywać, a mimo tego już po pierwszym dniu intensywnej nauki kosmita umiał tyle, co średnio zdolny uczeń po roku intensywnych studiów.

Nij radził sobie nie gorzej od Szymka, a nawet parę razy usiłował go poprawiać. Wystarczyło nazwać cokolwiek, żeby zapamiętał to od razu. Nie zdarzało mu się też dwukrotnie popełniać tego samego błędu. Nauka trwałaby znacznie szybciej, gdyby chłopcy nie musieli tłumaczyć nie tylko słów, ale i znaczenia przedmiotów, obyczajów i związków pomiędzy sferami rzeczywistości, o których przybysze nie mieli pojęcia. Szymek miał z tym sporo kłopotów.

– Tego nie wiem – odpowiedział na kolejne skomplikowane pytanie i dodał po chwili: – Nie jestem jeszcze dorosły.

– Kto to jest dorosły? – zapytał Nij.

– Ktoś duży, kto żyje długo i nie musi już być dzieckiem.

– Dorosły... rosnąć – głośno zastanawiał się językoznawca. – Czy dorosły to ten, kto urósł? Tak jak drzewo, które jest małe, a potem staje się duże?

Malec skinął głową.

– Więc ty to dziecko, niedorosły?

– Tak – przyznał Szymek ze wstydem.

– Czy Piotrek jest dorosły?

– Jeszcze nie. Językoznawca położył dłoń na ramieniu towarzysza i zaszczebotał w swoim melodyjnym języku.

– Miałeś rację, Ote – powiedział. – Nasi przyjaciele są młodymi, niedojrzałymi osobnikami tego samego gatunku, z którym mieliśmy już do czynienia.

Na Otem, choć wcześniej przewidywał taką ewentualność, wiadomość ta zrobiła duże wrażenie. Mrugał szybko powiekami i rozglądał się niepewnie

– Co się stało? – zaniepokoił się Piotrek.

– Sądziliśmy, że jesteś dorosły – wyjaśnił Nij spokojnym tonem. On również był zaskoczony tą rewelacją, ale nie dawał tego po sobie poznać.

– Czy to ma dla was jakieś znaczenie? – spytał Piotrek marszcząc brwi. Zaczynał się obawiać, że rozbitkowie z kosmicznego statku, przekonawszy się, że mają do czynienia z dziećmi, zaczną ich lekceważyć i poszukają sobie odpowiedniejszych partnerów do bliskich kontaktów trzeciego stopnia.

– To nie jest bez znaczenia – włączył się do rozmowy Ote. – Czy to, że nie jesteście jeszcze dorośli, ma jakiś związek z tym, że pomagacie się nam ukrywać? – Było to najdłuższe zdanie, jakie udało mu się dotąd wymówić w tym języku.

Chłopcy popatrzyli na siebie.

– Myślisz, że oni będą woleli dorosłych? – zaniepokoił się Szymek, ale Piotrek zignorował to pytanie.

– Pomagaliśmy wam, bo potrzebowaliście pomocy. Mój brat nie wiedział, kim jesteście. Byliście głodni, więc przynosił wam jedzenie. Nie mieliście gdzie mieszkać, więc znalazł wam ten szałas... Jeśli chcecie odejść, możecie to zrobić. Nie mamy prawa was zatrzymywać.

– Źle nas rozumiałeś – powiedział pospiesznie Nij. – Nie szukaliśmy kontaktu z waszą cywilizacją. Nie chcemy odchodzić. Potrzebujemy waszej pomocy, ale nie możemy wam dać niczego w zamian. Chcemy wiedzieć, czy przez nas nie narażacie się na jakieś niebezpieczeństwo ze strony dorosłych.

Szymek przynosił niespokojny wzrok to na jednego, to na drugiego. Nie wszystko było dla niego zrozumiałe, czuł jednak, że ta rozmowa jest ważna. Jednego był pewien: nie chciał rozstawać się z nowymi przyjaciółmi, którzy wyglądali może dziwnie, ale których towarzystwo było na pewno ciekawsze od wszystkiego, co zdarzyło się dotąd w jego niedługim życiu.

Jego starszy brat zwlekał tymczasem z odpowiedzią i dopiero po dłuższym namyśle zdecydował się powiedzieć prawdę.

– Nam nic nie grozi, ale gdyby dorośli dowiedzieli się, że tu jesteście, na pewno by was zabrali.

– Zabrać to znaczy przenieść w inne miejsce? – upewnił się Nij.

– Tak. Myślę, że nie zrobiliby wam nic złego, ale wszyscy zaczęliby się wami interesować, wypytywać was, badać...

– Nie rozumiem słowa badać – przerwał Nij.

– Myślę o naukowcach... – nowe słowo wymagało kolejnego wyjaśnienia, na szczęście kosmici w lot zrozumieli, o co chodzi. Występowanie w charakterze przedmiotu ogólnego zainteresowania i badań naukowych najwyraźniej im nie odpowiadało. Piotrek co prawda zapewnił ich, że z tego, co wie, jego kraj nie ma nic przeciwko innym planetom, ale że obowiązuje prawo, które zabrania przekraczać granicę bez pozwolenia, i na pewno znalazłaby się setka innych szczegółowych przepisów, które można by odnieść do ich sytuacji, więc dorośli zrobiliby wszystko, żeby trzymać ich w zamknięciu jak najdłużej.

Taka perspektywa również nie odpowiadała rozbitkom. Rozmowa z chłopcami uspokoiła ich jednak. Wynikało z niej bowiem, że mieszkańcy planety, a przynajmniej tej części, w której znaleźli schronienie, nie są krwiożerczymi bestiami.

– Czy to znaczy, że zostanieie z nami? – zapytał Szymek, który przysłuchiwał się rozmowie z rosnącym niepokojem.

Trzy pary oczu zwróciły się na Piotra.

– Co tak na mnie patrzycie? Sami decydujcie. To przecież wy jesteście dorośli! – powiedział z przekąsem.

Dwie twarze o zdrowym odcieniu dojrzałej sałaty wykrzywiły się dziwnie, a z ust kosmitów zaczął wydobywać się przenikliwy dźwięk przypominający świst.

– Co wam się stało? – zaniepokoił się Piotrek.

Kosmici popiskiwali nadal krzywiąc się niemiłosiernie, a ich usta mimo wysiłków nie potrafiły wydać żadnego artykułowanego dźwięku.

Szymek uśmiechnął się.

– Ja wiem, co to jest – stwierdził z wyraźną wyższością.

– Co ty możesz wiedzieć!... – zachnął się starszy z chłopców przypatrując się nieufnie dziwnemu zachowaniu gości.

– Oni się śmieją.

– Co takiego? – Piotrek spojrzął na brata z niedowierzaniem.

– Śmieją się, ty też się śmiejesz, jak jest ci wesoło – wyjaśnił malec spokojnie.

– Nie rozumiem, co was tak rozśmieszyło.

Piotr nadał się i wytrzeszczył oczy, co miało oznaczać, że on jeden z całego towarzystwa postanowił zachować powagę i godność w obliczu spraw wagi międzyplanetarnej. Ruszał przy tym szczęką żując źdźbło trawy i marszczył brwi, co upodobiło go do starego pawiana, którego

Szymek widział w zoo. To podobieństwo i ulga, że to jeszcze nie koniec wakacyjnej przygody, sprawiły, że malec także wybuchnął śmiechem.

Trzy kolejne dni były do siebie podobne. Cała czwórka przesiadywała w kącie ogrodu otoczonym jak linią zasieków zdziczałymi krzewami malin i porzeczek i prowadziła nie kończące się rozmowy. Bariery językowe i trudności w porozumiewaniu zostały przełamane, z czego szczególnie dumny był Ote, który do tej pory poznał dopiero kilkanaście podstawowych w kosmosie języków.

Obaj rozbitkowie okazali się wybornymi słuchaczami, z czego zadowolony był Szymek. Po raz pierwszy jego gadatliwość nikogo nie nudziła i nie powodowała zniecierpliwienia. Wszystko, co mówił, było dla jego słuchaczy interesujące i godne uwagi. Piotrek w tym czasie zdołał im przekazać całą swoją wiedzę o Ziemi i jej mieszkańcach. Jak się okazało, nie było tych wiadomości zbyt wiele.

- Jeśli chcesz porobić sobie jakieś notatki, to mogę podarować ci notes – zaproponował Otemu.
- Chodzi o pisanie? – domyślił się kosmita.

Piotrek skinął głową.

– To nie jest potrzebne – wyjaśnił Ote – to, czego się tutaj dowiaduję, zapisuje się w mojej pamięci trwale, mamy sposoby, żeby to wszystko odtworzyć. Zresztą nie jest tego dużo.

Końcowa uwaga nasunęła chłopcu pewien pomysł. W letniskowym domku profesora było niewiele książek, ale wśród nich znajdował się egzemplarz jednotomowej encyklopedii, niezbyt stary, ale zużyty od ciągłego używania. Obaj wędrowcy potrafili już czytać. Piotr podrzucił więc im do szalasu opasłe tomisko. Sądził, że znajdą tu wyjaśnienie wielu pytań, na które on sam nie potrafił dać odpowiedzi, nie przypuszczał jednak, że w krótkim czasie przeczytają książkę od deski do deski.

Piotrek wyręczając się encyklopedią nie zdawał sobie sprawy, że spowoduje to sporo zamieszania we wzajemnych kontaktach, przybysze zaczęli bowiem używać swobodnie trudnych, obco brzmiących wyrazów i dziwili się niezmiernie, że chłopcy nie znają ich znaczenia, skoro należą do języka, którym posługują się na co dzień.

Na noc przenoszono ich do schowka w serwantce.

Któregoś pochmurnego i chłodnego dnia matka wybrała się po zakupy do odległego miasteczka i cała czwórka została sama w domu. Wtedy to właśnie Ote zaczął majstrować przy kontaktach.

– Nie dotykaj tego! – krzyknął ostrzegawczo Szymek. – To prąd. Nawet mnie nie wolno tego ruszać, chociaż jestem większy od ciebie.

– To elektryczność, tu jest mnóstwo energii, którą moglibyśmy przetworzyć – podnieconym głosem usiłował wytłumaczyć chłopcu, na czym polegać ma próba. Szymek nic z tego nie rozumiał, bał się natomiast, że może stać się coś złego.

– Piotrek, Ote wsadza palec do kontaktu!

Starszy brat zjawił się w pokoju prawie natychmiast.

– Uważaj! – krzyknął widząc, że Ote wygiął pałeczkę i usiłuje wprowadzić ją jednocześnie do obu otworów.

Ote cofnął się spłoszony.

– Nastąpi spięcie, porażenie prądem! To niebezpieczne! – tłumaczył gorączkowo, na czym polega zagrożenie.

– On wie, co robi – wtrącił się Nij, a Ote wyjaśnił, że wie, na czym polega działanie prądu elektrycznego. Jeśli próba się powiedzie, zobaczą coś niezwykłego. Przyłożył pałeczkę do kontaktu.

Szymek sapiąc z przejścia przykucnął na podłodze i przyglądał się z ciekawością. Po chwili Nij podszedł do towarzysza, zbliżył do instalacji własny analizator, po czym odwrócił do chłopców uśmiechniętą twarz i mrugnął. Nauczył go tego Szymek. Zadowolenie nie trwało jednak długo. Z korytarza dobiegł ich cichy trzask.

– Coś się stało, nie ma prądu – zameldował Ote.

– Wywaliło korki. Daliście za duże obciążenie – powiedział Piotrek spokojnie podnosząc się z ziemi. Całe szczęście, że w domu zainstalowano automatyczne bezpieczniki. Z wymianą byłyby kłopoty. Wyjaśnił gościom z kosmosu, na czym polega działanie bezpieczników. Twarz Otego rozpromieniła się.

– To znaczy, że powinno się udać! – wykrzyknął z triumfem. – Będzie to jednak trwało dłużej, niż sądziłem – dodał majstrując przy instalacji.

Korki zostały włączone. Przystąpiono do kolejnej próby. Licznik wirował jak oszalały, ale tym razem korki wytrzymały natężenie.

– Aż się wierzyć nie chce, że coś takiego zużywa tyle prądu – zauważył Piotrek.

– To dopiero początek – stwierdził Ote. – Żeby uzupełnić zapasy potrzeba nam kilku dni.

– Robicie zapasy prądu? – zdziwił się Szymek.

– Materia jest stanem skupienia energii. Potrafimy za pomocą tego rodzaju urządzeń akumulować energię w postaci materialnej – wyjaśnił Ote.

Piotrek zastanawiał się, ile wyniesie rachunek za światło, ale nie powiedział tego głośno. Po dwóch godzinach do kontaktu włączono pałeczkę Nija, Ote tymczasem stanął na środku pokoju, po czym nagle zwinął się w kłębek i zniknął z oczu.

– Czarodziejska różdżka – szepnął Szymek, który wciąż jeszcze wierzył, że goście są krasnoludkami. To, że przybyli z innej planety, wcale mu nie przeszkadzało. O pochodzeniu krasnoludków nie wiadomo nic pewnego. Bajki powstawały przecież w czasach, gdy ludzie nie przypuszczali, że istnieją inne planety i że mogą żyć na nich jakieś stworzenia.

Tymczasem Ote stał się na powrót widzialny. Kazał stanąć chłopcom przy drzwiach i skierował koniec pałeczki na serwantkę, która nagle uniosła się pod sufit.

Szymek aż krzyknął z wrażenia.

– Ja też. Ja też chcę spróbować.

Ote wahał się, ale Piotr stanowczo zaprotestował.

– Nie wolno mu tego dawać do ręki, bo rozwali chałupę!

Szymek zrobił obrażoną minę, ale nie nalegał dłużej, przypomniawszy mu się bowiem bajka o uczniu czarnoksiężnika, a poza tym liczył, że w przyszłości uda mu się namówić Nij a, by nauczył go jakiejś z łatwiejszych sztuk czarnoksięskich.

Odtąd przy każdej okazji odbywał się potajemny pobór mocy, co Piotrek nazywał „wampiowaniem”. Dzięki pozyskanej tym sposobem energii czuli się w pokoju znacznie bezpieczniej. Gdy jeden z kosmitów pobierał prąd, drugi przytrzymywał drzwi, na wypadek gdyby matka chłopców usiłowała wtargnąć do pokoju niespodziewanie. Umówiony sygnał stanowiło szybkie stukanie paznokciami. Zdarzyło się raz, że matka zwróciła uwagę na gwałtowne ewolucje licznika. Na szczęście Piotrek był w pobliżu i zdołał ostrzec przyjaciół. Odtąd wampiowanie odbywało się w późnych godzinach nocnych.

Po kilku chłodniejszych dniach wróciły upały. W ogrodzie trudno było wytrzymać, zaczęli więc odbywać długie wycieczki w cieniście lasie albo przesiadywali nad jeziorem, gdzie mogli znaleźć ochłodę brodząc w płytkiej wodzie.

Matkę początkowo niepokoiły te eskapady, ale że chłopcy wracali zawsze punktualnie i nie zdarzyło im się zabłądzić, z czasem nabrała do nich zaufania. Nie minęły jeszcze dwa tygodnie, odkąd tu przybyli, a ona odpoczęła jak nigdy w życiu.

„Całe szczęście, że nie ma wiatru”, pomyślał Piotrek odbijając od brzegu. Kajak był lekki, a ich dwuosobowa załoga stanowiła niewielki balast. Wiatr na pewno rzuciłby ich na trzciny. Po wielodniowym molestowaniu udało się wreszcie namówić matkę, aby pozwoliła chłopcom na samodzielną wyprawę składakiem. Piotrek miał kartę pływacką i nieźle radził sobie z wiosłem. Dla Szymka udało im się pożyczyć kamizelkę ratunkową. Musieli obiecać, że będą płynęli tuż przy brzegu i że wrócą punktualnie na obiad.

Kajak należał do profesora i cały poprzedni sezon przeleżał złożony na strychu. Chłopcy uznali to za przejaw niezwykłego marnotrawstwa. Potencjał przygód i sportowych emocji tkwił bezużytecznie okrywając się kurzem. Dobrze, że profesor wspomniał, że mogą z niego korzystać.

Płynęli wzdłuż rozległego pasa trzciny. Mieli zamiar dotrzeć na przeciwległy lesisty brzeg i tam urządzić sobie na polanie coś w rodzaju pikniku. Przez środek jeziora było znacznie krócej, ale Piotr postanowił skrupulatnie wypełnić dane matce przyrzeczenie. Zresztą przy trzcinach było znacznie ciekawiej. W płytkiej wodzie pływały ławice ryb, a w szuwarach spotykali leśne ptactwo.

Kosmici usadowili się wygodnie na kamizelce Szymka, której miękkie prostokątne komory znakomicie nadawały się dla nich do siedzenia. Od brzegu byli niewidoczni, przesłaniały ich trzciny, od żeglujących po jeziorze jachtów dzieliła ich spora odległość, nie musieli więc ukrywać się i rozglądali się z ciekawością zadając przy tym wiele pytań.

Kajak sunął cicho po gładkiej tafli wody, słychać było tylko spadające z wiosła krople. Spłoszone łyski zmykały przed dziobem śmiesznie przebierając łapami po wodzie, nad łąką majestatycznie krążył jastrząb.

Gdy przepłynęli kilkaset metrów, powierzchnia jeziora zmarszczyła się. Żagle odległej dotąd omegi wypełnił wiatr i jacht zaczął zbliżać się do nich nabierając szybkości. Drobne fale postukiwały o burtę kajaka.

– Złazić, zieludki! – zakomenderował Szymek. – I nie wystawiać nosa! Powiem wam, jak odpłyną.

Nie trzeba im było tego powtarzać dwa razy. Ukryli się w dziobowej części kajaka i czekali cierpliwie. Gdy jacht przemknął obok nich i zaczął oddalać się, Szymek pozwolił im wyjść z ukrycia.

Wiatr rozkołysał powierzchnię jeziora. Płynęli teraz pod wiatr i dziób składaka opadał co chwila na wodę z głośnym klapnięciem. Kosmici trzymali się kurczowo pasków kamizelki, żeby nie wypaść za burtę. Piotr coraz częściej przerywał wiosłowanie, żeby odpocząć.

– Daleko jeszcze? – zapytał Ote.

– A co, znudziło ci się?

– Wyglądasz na zmęczonego – zauważył Nij wychylając się zza głowy Szymka.

– Macie może ochotę mi pomóc? – chłopiec uniósł wiosło, którego średnica w najcieńszym miejscu wynosiła tyle, ile średnica Nija w najszerszym.

Kosmici wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

Piotrek zanurzył wiosło, pochylił ciało i dwoma silnymi pociągnięciami rozpędził kajak. Potem wydawało mu się przez chwilę, że woda stawia coraz słabszy opór. Spojrzał na brzeg i włosy zjeżyły mu się na głowie. Mknęli teraz z szybkością motorówki. Siedzący z przodu Szymek krztusił się ze śmiechu, a Nij i Ote wtórowali mu piskliwie.

– Powariowaliście?! – wrzasnął Piotrek. – Wyłączcie to szybko! Chcecie, żeby się zrobiło zbiegowisko na środku jeziora?!

Językoznawca nie mógł zrozumieć, o co chodzi. Przecież łódka, która ich mijiała, poruszała się niewiele wolniej.

– To jest kajak, a nie jacht ani motorówka! Żaden kajak nie pływa z taką szybkością!

Składak tymczasem zwolnił. Piotrek spojrział przez ramię. Zostawili za sobą kilkusetmetrowy pas spienionej wody. Na łące po przeciwległej stronie jeziora stał jakiś człowiek oparty na grabiach i patrzył w ich stronę przesłaniając oczy dłonią.

– Ale numer – już spokojnie mruknął pod nosem Piotrek. – Szkoda, że chłopaki z mojej klasy nie mogą tego zobaczyć.

Wierzbem dłoni przetarł spocone czoło.

– Zaraz dobijamy – rzucił w stronę kosmitów, którzy wyglądali teraz na speszonych. – Przesiadka do chlebaka.

Szymek wygramolił się na brzeg niezdarnie, przytrzymując zwisających nad wodą gałęzi. Piotrek ułożył wiosło na dnie i przycumował do drzewa, którego pochylony pień przeglądał się w wodzie. Wspięli się po skarpie porośniętej poziomkami. Trwało to dość długo, bo co kilka kroków stawali i objadali co dorodniejsze owoce.

Potem minęli młodnik i postanowili odpocząć na niewielkiej porębie. Dokoła nie słychać było żywej duszy. Nij wylazł z chlebaka i przeciągnął się.

– Jestem głodny – powiedział Szymek rozwijając kanapki.

Było ich dwóch. Młodszy mógł mieć około dwudziestu lat. Drzemał oganiając się przez sen od natrętnych owadów. Kilkudniowy zarost na jego twarzy wyglądał na dłuższy od włosów na głowie. Na powiekach i policzkach miał więzienny tatuaż. Ubrany był w przykrótkie spodnie i damską, zapinaną na lewą stronę koszulę, krótką i za obszerną.

Starszy z mężczyzn nie spał. Siedział w ponurym zamyśleniu żując źdźbło trawy. W dłoniach trzymał czapkę, na dnie której spoczywał jakiś niewielki, ciężki przedmiot.

Na dźwięk ludzkich głosów starszy z mężczyzn drgnął, po czym uniósł się szybkim miękkim ruchem i ostrożnie rozgarnął gęste krzaki. Jego twarz również pokrywał parodniowy zarost. Prawy policzek przecinała pionowa blizna. Mrużąc oczy obserwował polanę przez dłuższą chwilę. Gdy zanurzył dłoń w czapce, rozległ się cichy metaliczny szcęk.

– Schowaj to, Szrama. To przecież szczeniaki – szepnął za jego plecami młodszy, który podniósł się bez szelestu.

– Może nie przyszli tu sami – warknął Szrama. Głos miał chrapliwy i szorstki. – Trzeba się rozejrzeć.

– Mają szamunek – powiedział półgłosem młodszy przełykając ślinę. Od dwóch dni nie miał nic w ustach i na widok jedzących poczuł ssanie w żołądku.

– Jeszcze nie pora na obiad – powiedział Szrama spoglądając na elektroniczny zegarek, który ściągnął przerażonemu właścicielowi samochodu. – Nie ruszaj się stąd, a j a zobaczę, co tu jest grane. Miej ich na oku.

Gdy odchodził, słychać było cichy trzask gałązek. Po kilku minutach zjawił się bezszelestnie.

– No jak? – spytał lakonicznie młodszego kompana.

– Trzeba się pospieszyć, bo wszystko zjedzą. Mają gnojki spust.

– Sami są?

– Na to wygląda... Poczęstujemy się?

– Nie ma czasu.

– Jak to? Mam śrubę w bebechach od głodu! – zaprotestował szeptem młodszy. Syknął z bólu, gdy palce Szramy zacisnęły się na jego obojczyku.

– Jak się nie pospieszymy, to następny posiłek czeka na nas w Sztumie – wycodził przez zęby. – Na brzegu stoi kajak. Zanim znajdą samochód, trzeba stąd odskoczyć jak najdalej. Trochę czasu upłynie, zanim wpadnie im do łba, że możemy być po drugiej stronie.

– Może by ich powiązać? – zaproponował młodszy, który wciąż jeszcze miał ochotę na pozostałe kanapki.

Szrama spojrział na niego z politowaniem, po czym szybkim ruchem uderzył go otwartą dłonią w czoło.

– Musiałem to zrobić, bo widzę, że sam się nie potrafisz puknąć w łeb – wyjaśnił uprzejmie. – Mało masz świadków?... Gdyby ktokolwiek znalazł w lesie powiązane dzieciaki, poleciałby z tym na milicję. A co zrobiłaby milicja?

Młodszy nie wiedział, bo nigdy nie był milicjantem. Wręcz przeciwnie.

– W krótkim czasie miałyby rysopisy dwóch facetów, którzy wyglądają dokładnie tak jak my. Jak myślisz, gdzie by nas wtedy szukali?

Młodszy albo nie myślał, albo nie wiedział, bo nie odrzekł ani słowa.

– ...Dokładnie tam, gdzie będziemy.

– Ty masz łeb jak sklep – stwierdził młodszy z szacunkiem.

Zanim zeszli nad jezioro, rzucili po raz ostatni okiem na polanę. Nic nie wskazywało na to, że smarkacze zabierają się do odejścia. Rozmawiali o czymś z ożywieniem.

– A wiosła? – zaniepokoił się młodszy, gdy doszli do brzegu.

Szrama posłał mu pełne politowania spojrzenie. Nie zabierał się do niczego bez planu i dokładnego rozpoznania. Dzięki temu przez długi czas mógł działać bezkarnie. Wpadł tylko raz z powodu głupoty współnika. Za to na wiele lat. Głupota i brak wyobraźni działały mu odtąd na nerwy.

– Wiosło leży na dnie – mruknął.

Młodszy zaczął manipulować przy lince zawiązanej na mocny potrójny węzeł.

– Zostaw to, szkoda czasu – warknął Szrama. W jego rękę błysnął nóż. Wprawnym ruchem uciął linkę tuż przy dziobie. – Pomyślą, że sam się odwiązał – wyjaśnił.

Po kilku minutach minęli cypel, ale wciąż jeszcze trzymali się brzegu.

– Mieliliśmy płynąć na drugą stronę – zdziwił się młodszy.

– Nadłożymy trochę drogi.

– Strata czasu.

– Po pierwsze, zza cypla nie będzie nas widać – zachrypiał Szrama. – A po drugie, rozejrzyj się uważnie... Co widzisz przed sobą?

– Jakiś dom.

– No właśnie.

– Tam też są domy – zauważył wskazując w lewo.

– To jest ta drobna różnica, o jaką nam chodzi – tłumaczył Szrama. Sam dziwił się własnej cierpliwości. Że też musi pracować z takimi ludźmi.

Młodszy nie pojmował drobnej różnicy pomiędzy liczbą pojedynczą i mnogą, więc nie odzywał się. W kajaku było tylko jedno wiosło, wiosłowali więc na zmianę. Gdy osiągnęli przeciwległy brzeg. Szramę ogarnęły wątpliwości. Łąkę oddzielał od jeziora kilkudziesięciometrowy pas trzciny. Naprzeciwko domu nie widać było żadnej przystani. Zaklął cicho pod nosem. Czekająca ich męcząca przeprawa po mulistym dnie. Wpłynęli do zatoczki i wtedy ich oczom ukazał się zbawczy pomost, zbita z desek platforma na sześciu palach, ledwo widoczna od jeziora. Prowadziła do niej wąska kręta kładka.

– Co z łajbą? Może ją zatopić? – zapytał młodszy.

Szrama rzucił okiem na dno i krzywiąc się pokręcił głową.

– Za płytko. Lepiej nie zostawiać wyraźnych śladów. Odetnij resztę tego sznurka i zepchnij kajak na wodę. Może prąd zniesie go na środek.

Wetknął za pas czapkę wraz z jej ciężką zawartością i z zadowoleniem rozglądał się po okolicy. Dom stał na skraju lasu, mniej więcej pół kilometra od wsi.

Młodszy klęcząc na pomoście mocnym ruchem zepchnął kajak na wodę. Przez chwilę stali patrząc, jak odpływa powoli, podskakując na falach.

Na brzegu Szrama zarządził chwilowy postój. Usiedli w cieniu wikliny i przez kilkanaście minut obserwowali otoczenie. Drzwi domu zwróconego frontem do jeziora były otwarte, ale w pobliżu nie było widać nikogo z domowników. Wreszcie w progu ukazała się kobieta w kostiumie kąpielowym. W rękę trzymała dwa wiadra. Podeszła do studni. Po chwili zazgrzytał kołowrót.

– Mhm – Szrama mruknął z satysfakcją, a towarzysz spojrzął na niego pytająco.

– Ucz się wyciągać wnioski. Dentysta...

Młodszy zawdzięczał swój pseudonim częstemu udziałowi w napadach rabunkowych, przy których jego ofiary zazwyczaj traciły zęby. Za swoją działalność otrzymał wyrok pięciu lat pozbawienia wolności.

– Przed chwilą widzieliśmy kobietę, która wyciąga wodę ze studni – ciągnął Szrama tonem wykładowcy. – O czym to może świadczyć?

– Potrzebna jej do czegoś woda – odpowiedział Dentysta marszcząc brwi z wysiłku myślowego. Szrama spojrzął na niego z niesmakiem.

– Przyjrzałeś się tej kobiecie? Nie rzuciło ci się nic w oczy?

– Blondynka.

– Miała na sobie kostium kąpielowy... Kobiety na wsi nie wkładają do roboty kostiumów kąpielowych. O czym to świadczy?

– Pewnie ta nie ma nic do roboty – odpowiedział Dentysta.

– Albo jest z miasta – powiedział Szrama. – Jeśli sama musi targać ciężkie wiadra, to znaczy, że nie ma jej kto przynieść.

Na coś takiego Dentysta nigdy nie wpadłby o własnych siłach umysłowych. O wyręczaniu kobiet miał blade pojęcie, ponieważ sam tego nigdy nie robił.

– Bardzo prawdopodobne, że ta kobieta jest w domu sama – ciągnął powoli Szrama. – Złożymy jej wizytę, a niewykluczone, że zatrzymamy się w jej domu przez pewien czas.

Podniósł się i otrzepał z trawy spodnie.

Podeszli pod dom. Z wnętrza dobiegały odgłosy ustawiania talerzy i rozkładania sztućców. Nie słyhać było żadnych rozmów. Wyglądało na to, że Szrama miał rację.

Trzymał w ręku koniec mokrej linki i wpatrywał się weń bezradnie. Że też nie sprawdził drugiego węzła!

– Co teraz zrobimy? – Szymek wpatrywał się w brata przerażonymi oczami.

– Jeśli się odwiązał, to nie odpłynął daleko – odpowiedział Piotrek ściągając koszulę. – Przepłynę kawałek wzdłuż brzegu.

Rzucił na wodę kawałek gałęzi. Prąd zaczął znosić ją powoli w stronę cypla. Kierunek wiatru nie zmienił się, odkąd tu przyплыnęli. Nagle na jego twarzy pojawił się cień niepokoju. Ujął linkę i jeszcze raz obejrzał uważnie jej koniec, a potem porównał z drugim, przywiązanym do drzewa. Tamten koniec był brudny i przykurzony, ten natomiast w miejscu przecięcia był prawie biały. Poza tym linka powinna być w tym miejscu poskręcana, tymczasem nie widać było żadnego śladu po węzłach. Teraz nie miał już wątpliwości, że kajak został ukradzony. Spojrzął na zegarek. Od chwili, kiedy tu przyплыnęli, upłynęło nie więcej jak pół godziny. Pięć, a może dziesięć minut zbierali poziomki na stoku i kajak wtedy był jeszcze przy brzegu. W ciągu dwudziestu, dwudziestu pięciu minut można było przepłynąć na drugi brzeg. Pośpiesznie wyjaśnił Szymkowi, o co chodzi, wziął od niego kamizelkę na wszelki wypadek i wypłynął około pięćdziesięciu metrów od brzegu. Przebierając nogami w wodzie rozglądał się dokoła. Daleko, w okolicach przesmyku połyskiwały białe żagle jachtów. Nagle drgnął. Na środku jeziora, po lewej stronie dostrzegł kajak. Odległość i kierunek zgadzały się mniej więcej z jego przypuszczeniami, ale uderzyło go, że dwuosobowa załoga wiosłuje leniwie, bez pośpiechu, a poza tym jest zaopatrzona w dwa wiosła. W ich kajaku było natomiast tylko jedno. Spojrzął w prawo. Za cyplem, w niewielkiej odległości od przeciwnego brzegu dojrzał coś, co w perspektywnym skrócie przypominało pełznącego po wodzie pajaka. Po chwili chłopiec był już na brzegu.



– Idźcie brzegiem – rzucił do Szymka i kosmitów wciągając tenisówki na mokre stopy. – Ja was dogonię.

– Popłynęli w stronę naszego domu – wyjaśnił, gdy zrównał się z bratem. Z trudem łapał powietrze. – Byli koło naszej przystani. Jeżeli nie zobaczymy ich po drodze, to znaczy, że tam przybili. Chyba że popłyną do wsi, w lewo.

– Co wtedy zrobimy? – zapytał Szymek. Wyglądał śmiesznie drecząc za bratem. Przez jedno ramię miał przerzucony chlebak, z którego wystawały dwie zielone głowy o dużych ciemnych oczach. Na drugim ramieniu wisiała mokra kamizelka ratunkowa, na szyi natomiast zwój linki. Istny pan Maluśkiewicz – brakowało tylko strzelby i korkowego hełmu.

– Daj, poniosę – powiedział Piotrek uwalniając malca od części ekwipunku.

Dalekowie czuli się niekompetentni w tej sprawie, więc prawie nie zabierali głosu. Cichymi głosami wymieniali między sobą jakieś uwagi.

– Mama pewnie się martwi, że nas nie ma – rzekł Szymek płaczącym głosem. Był już bardzo zmęczony, a mimo to starał się dotrzymać kroku starszemu bratu.

– Daj zegarek – rozkazał Piotrek.

Malec nie zatrzymując się wydobyl zegarek z kieszeni spodni.

– Do obiadu jeszcze pół godziny – stwierdził starszy chłopiec. – Powinniśmy zdążyć. Najważniejsze to znaleźć kajak.

– A jak nie znajdziemy?

– Kosztował prawie pięćdziesiąt tysięcy... Cztery pensje ojca i matki...

Skóra cierpła mu na myśl, co będzie, gdy kajak się nie znajdzie.

We wsi zastali na kładce znajomego wędkarza. Siedział od dwóch godzin, ale nie widział składanego kajaka. Ryby nie brały, więc pewnie by zauważył.

Ruszyli w dalszą drogę. Szymek zaczął zostawać z tyłu.

– Idź powoli – zaproponował Piotrek. – Spotkamy się koło naszej kładki. Malec kiwnął głową. Twarz miał czerwoną z wysiłku i ciężko dyszał.

Piotrek zacisnął zęby i ruszył biegiem przed siebie. Pot zalewał mu oczy. Gdy wszedł na chybotałe deski, nogi uginały się pod nim ze zmęczenia i emocji. Przed oczami wirowały mu czerwone plamy. Zanim jeszcze dojrzał zza zakrętu zbitą z desek platformę prowizorycznej przystani, do jego uszu dobiegł znajomy głuchy odgłos. Nie wierzył własnym oczom. Kajak stał oparty burtą o pomost. Od jeziora wiał lekki wiatr i drobne fale miarowo postukiwały o jego burtę. Chłopiec poczuł przyływ gwałtownej ulgi. Klęknął na deskach i przez chwilę śmiał się bezgłośnie. Biegł tu wiedziony bezsensowną nadzieją, gorączkową potrzebą działania. W głębi duszy nie wierzył w tę szansę. A jednak.

Wciągnął kajak w trzciny i wyjął wiosło. Zmęczenie po długim marszu minęło bez śladu. Wymachując włosiem nad głową wybiegł na spotkanie Szymka, który szedł w jego stronę zataczając się ze znużenia. Objawy gwałtownej radości, które nastąpiły po chwili, o mało nie skończyły się tragicznie dla ukrytych w chlebaku Daleków. Zanim jednak Piotrek zmiażdżył ich w uścisku usiłując podnieść w górę brata, Ote krzyknął ostrzegawczo i to ich prawdopodobnie uratowało.

Piotrek spojrział uważnie na brata.

– Nie możesz się pokazać matce. Wyglądasz jak ugotowany pomidor. Idź do szafasu i odpocznij. Zawołam cię na obiad.

Zerknął w stronę domu. Drzwi były zamknięte.

– Aha, jeszcze jedno. Lepiej, żeby mama nie wiedziała, że zginął nam kajak.

Szymek rozchylił usta, jakby chciał o coś zapytać, ale rozmyślił się. Piotrek miał rację. Wprawdzie to nie oni ukradli, tylko im ukradziono, ale mama zaczęłaby się obawiać, że znowu przydarzy im się coś podobnego, i na pewno nie pozwoliłaby pływać samodzielnie. A poza tym kajak szczęśliwie się odnalazł. Nie muszą przy tym wcale kłamać. Wystarczy, że nie powiedzą całej prawdy. Zdążyli wrócić o wyznaczonej porze, więc nie powinna niczego zauważyć.

Bracia rozstali się na rogu domu. W ogrodzie Szymek uwolnił Daleków z chlebaka i wyciągnął się na trawie w cieniu drzewa. Znużenie i emocje ostatniej godziny zrobiły swoje – zasnął prawie natychmiast.

Nij i Ote przykucnęli pod krzakiem i szeptem rozmawiali o tym, co się zdarzyło. Nie wszystko dla nich było jasne. Samo pojęcie kradzieży nie było im obce. Coś takiego zdarzało się w przeszłości także na ich planecie, ale od wielu lat elektroniczne systemy zabezpieczeń i kontroli skutecznie uniemożliwiały kradzieże.

Szymek ocknął się po godzinie, gdy słońce schowało się za dachem domu. Zbudził go chłód i uczucie głodu. Wydało mu się dziwne, że nie wołano go na obiad. Mama skrupulatnie przestrzegła godzin posiłków.

Drzwi zamknęły się z głośnym trzaskiem za plecami Piotrka. Ogarnął go chłodny półmrok korytarza. Zdążył pomyśleć, że matka nie znosi trzaskania drzwiami, gdy czyjaś szorstka ręka zamknęła mu usta. Szarpnął się gwałtownie, ale silne żylaste ramię obezwładniło go bez trudu. Zawleczono go do kuchni. Matka siedziała na krześle wyprostowana w nienaturalny sposób. W pierwszej chwili wydawało mu się, że jej usta są szeroko otwarte, zupełnie jakby krzyczała, ale nie słyszał żadnego dźwięku. Dopiero po chwili zorientował się, że to, co brał za otwarte usta, to wzór na chustce, którą obwiązana była twarz matki. Za stołem siedział mężczyzna o śniadej, zarośniętej twarzy i jasnych, obojętnych oczach. Jadł coś bez pośpiechu.

– Cwana gapa, już nas znalazł – odezwał się głos za plecami Piotrka.

Matka poruszyła się gwałtownie. Niewiele brakowało, żeby upadła z krzesłem, ale siedzący mężczyzna przytrzymał je w ostatniej chwili.

– Jednak nas wypatrzyli – Dentysta wymówił te słowa z respektem i obawą.

– Oni tu mieszkają. Prawda, proszę pani? – Starszy mężczyzna zwrócił się do matki z ironicznym uśmiechem, ale ta siedziała nieporuszona.

– Skąd wiesz? – zdziwił się Dentysta.

– Wszedł bez pukania.

Dentysta skrzywił się. On sam nigdy nie pukał, chyba że chodziło o sprawdzenie, czy w miejscu planowanego włamania nie ma lokatorów.

– To synek naszej miłej gospodyni. Podobny.

Mężczyzna, który trzymał Piotra, rozchylił mu brutalnie szczęki i zakneblował ścierką do naczyń. Dopiero teraz zauważył przewieszoną przez ramię linkę. Rozbawiło go to wyraźnie.

– Szkoda, żeś się sam nie związał. Miałbym mniej roboty – rechotał zaciskając na ciele chłopca ciasne zwoje liny. Podobnie jak matkę przywiązał go do oparcia krzesła.

– Może poszukać tego małego? – zaproponował po chwili.

Szrama wzruszył ramionami.

– Sam tu przyjdzie – mruknął i wydobyl z za pasa zawiniątko. Rozchylił czapkę i wyjął z niej pistolet.

Piotrek spojrział w rozszerzone strachem oczy matki.

Dentysta siadł za stołem i zaczął jeść łapczywie. Szrama przyglądał mu się przez chwilę z niesmakiem, po czym włączył stojące na parapecie radio. Spiker kończył właśnie odczytywanie popołudniowych wiadomości – potem nastąpiła chwila ciszy i padły słowa: „komunikat MO”. Dentysta przestał jeść i nastawił ucha.

– W dniu... z zakładu karnego w... zbiegli raniąc dwóch strażników niebezpieczni przestępcy kryminalni... Podajemy rysopisy poszukiwanych... Przestępcy są uzbrojeni i poruszają się skradzionym samochodem marki Polonez w kolorze białym o numerach rejestracyjnych...

– Znaleźli samochód! – syknął Dentysta.

- Jeszcze nie.
- Znają numery.
- Od kierowcy.

„Szymek! Nie przychodź tu! Szymek!”, powtarzał w myślach chłopiec. Minuty upływały, a malec wciąż się nie zjawiał i w serce Piotrka zaczęła wstępować otucha. Może zajrzy przez okno, zobaczy, co się dzieje, i pobiegnie do wsi. Być może już to zrobił? Niepostrzeżenie minęła godzina od chwili, gdy przestąpił próg domu. Drzwi były zamknięte, choć na dworze panował upał. To powinno mu dać do myślenia.

Nagle na schodach rozległy się kroki. Dentysta jednym susem znalazł się pod drzwiami. Szrama nie drgnął nawet.

Rozległ się gwałtowny łoskot. To Piotrek runął na ziemię z krzesłem. To była ostatnia szansa, żeby ostrzec brata. Stojący przy drzwiach położył rękę na klamce, ale Szrama powstrzymał go gestem. Potem drzwi otworzyły się i Szymek wbiegł do korytarza.

– Co to tak wal... – ostatnie słowo zamarło mu na ustach. Rozchylił usta i patrzył na nich szeroko otwartymi oczami, w których nie było jeszcze lęku, a tylko zdumienie.

– Zatkanąć go? – rzeczowo spytał Dentysta.

– On będzie grzeczny. Nie jest taki głupi jak jego braciszek – powiedział Szrama pogryzając kartkową kiełbasę.

– Może narobić hurkotu – zauważył młodszy.

– Nikt go nie usłyszy. Do wsi daleko.

– Mamo! – krzyknął Szymek. – Mamo, co oni ci zrobili! Puśćcie ją!

– Dać mu po łbie?

Szrama skrzywił się. Nie uznawał bicia dzieci bez specjalnej potrzeby.

– Ugryzł mnie! – wrzasnął Dentysta.

– Trzeba było uważać – powiedział starszy lekceważąco, po czym zwrócił się do Szymka: – Podobasz mi się. Nie chcesz, żeby mamusi stało się coś złego, prawda?

Malec skinął głową.

– Jeśli mamusia będzie grzeczna, to ją rozwiążemy.

Podszedł do kobiety i delikatnie uwolnił ją od knebla. Matka głęboko wciągnęła powietrze i potrząsnęła głową.

– Błagam, pan jest rozsądny. Proszę nie robić krzywdy dzieciom! Zrobię wszystko, co chcecie.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział Szrama kładąc jej rękę na ramieniu. – Macie tu piwnicę?

– W pokoju obok. Wejście przez podłogę – odpowiedziała matka.

Nie spiesząc się ruszył we wskazanym kierunku. Po chwili wrócił. Na jego twarzy malował się wyraz zadowolenia.

– Istny loch. Są nawet kraty w oknach – mruknął podchodząc do matki. Metodycznie zabrał się do rozluźniania więzów.

– Zwariowałaś?! – zaprotestował Dentysta.

– Rozwiąż chłopaka.

– Dlaczego? Co ci się stało, Szrama? Co się nagle zrobiłeś taki wrażliwy?

– Przestań margać i rób, co mówię – warknął Szrama.

Dentysta kłął pod nosem, ale posłusznie wykonał polecenie. Chłopak zacisnął zęby na kneblu, żeby nie jęknąć z bólu. Potłukł się w czasie upadku. Twarda lina wbiła się głęboko w ciało. Ręce miał zdrętwiałe. Czuł mrowienie w końcach palców.

– Zejdziecie do piwnicy – Szrama zwrócił się do chłopców. – Ty zostajesz na górze – marszcząc brwi skierował sękaty palec na matkę.

– W piwnicy jest zimno – zaprotestowała matka chłopców.

– Nic im nie będzie, mogą wziąć koce.

Popchnął Piotrka w stronę otwartego wjazdu.

Dentysta wzruszył ramionami.

– Nie lepiej mieć ich na oku? – zapytał niezbyt głośno.

– Gdyby ktoś zjawił się przypadkiem, to pani powie, że nie ma nas w domu. Nam mógłby nie uwierzyć na słowo – wyjaśnił Szrama.

Dentysta podrapał się w niskie czoło. Miał wątpliwości.

– A jak nie powie?

– Nie znasz się na tym, Dentysta. Nigdy nie byłeś matką... W razie czego będę stał koło pani przy drzwiach. Nie będę musiał podpowiadać. Wystarczy, że pani na mnie spojrzy, żeby sobie przypomnieć, co trzeba mówić. Mój kolega zajmie się w tym czasie dziećmi. Nie jest wprawdzie dobrą niańką, ale nie mam pod ręką nikogo lepszego.

– A jak narobią rabanu? – Dentysta nie mógł opędzić się od wątpliwości. Wierzył w skuteczność prostych, prymitywnych i brutalnych środków. – Ten gnojek – wskazał na Szymka – gryzie jak wilk. Założę się, że zacznie wyc.

– Z tobą będą spokojni. Zasłoń okna w pokoju. Lepiej, żeby nas tu nikt nie zobaczył. Zrobiliśmy się sławni.

Dzień był upalny, ale w piwnicy panował przenikliwy chłód. Szymek zawinął się w koc, a mimo to drżał na całym ciele. Piotrek znalazł kawałek deski. Ułożył ją na dwóch kamieniach, które wysunęły się z fundamentu. Objął brata, który zaczął cicho pochlipywać.

Około szóstej rozbitkowie poczęli się niepokoić. Zwykle, nawet jeśli zdarzało się coś nieprzewidzianego, jeden albo drugi chłopiec zjawiali się przynajmniej na chwilę i przynosili coś do jedzenia. Przyzwyczaili się już do regularnych i obfitych posiłków.

Nij zaczął myskwować w malinach. Znalazł kilka owoców, ale tylko dwa nadawały się do jedzenia.

– Coś się stało – stwierdził Nij.

– Pewnie mama nie pozwala im wychodzić. Być może ma to związek z zaginięciem kajaka.

– Przecież kajak się znalazł.

Po chwili Nij wypatrzył wiśnię na samym wierzchołku drzewa. Wycelował analizator i skierował strumień skoncentrowanej energii. Uderzenie było niezbyt precyzyjne posypały się liście i gałązki. Ote skarcił przyjaciela wzrokiem. Wiśnia okazała się pomarszczona i niemalże pozbawiona soku.

– Coś się musiało stać – powtórzył Nij, gdy minęła kolejna godzina.

Po kilkunastu dniach bliskich spotkań trzeciego, a może nawet czwartego stopnia Dalekowicie przywykli do obecności chłopców i żyli się z nimi. Zdawali się niekiedy zapominać, że ich nowi przyjaciele są stworzeniami innego gatunku, a do tego dziećmi. Byli ich opiekunami i przewodnikami po nowym świecie. Nij, który nie miał jeszcze potomstwa, lubił bawić się z Szymkiem. Opowiadał mu o niezwykłych mieszkańcach innych planet oraz o ich zwyczajach. Ote, który miał dwóch synów, z ciekawością obserwował ziemskiego nastolatka. Dzięki chłopcom przymusowy pobyt na Ziemi stał się nagle przyjemny i zabawny. Pierwsze dni po lądowaniu, które jeszcze niedawno wydawały im się koszmarem, wspominali teraz z rozbawieniem. Mieli też inne powody do zadowolenia. Udało im się zebrać mnóstwo cennych informacji o mieszkańcach mało znanej planety, co w innych warunkach byłoby niemożliwe. Owszem, istniało na ten temat wiele opisów i filmów, ale interpretacje i hipotezy, jakimi były one uzupełniane, były najczęściej błędne. Wyobrażali sobie wrażenie, jakie w świecie naukowym ich galaktyki wywołają rewelacje. O ile uda im się wrócić szczęśliwie.

Wszystko wskazywało na to, że przez najbliższe kilkadziesiąt dni nic im nie grozi. Potem czekał ich samotny pobyt w pustym domu. Chłopcy mieli zająć się nagromadzeniem odpowiednich

zapasów żywności. Nijowi świeża już jednak w głowie nowy ryzykowny pomysł. Miał ochotę poznać z bliska życie wielkiego miasta. Ciekawość była w tym wypadku impulsem równie silnym jak to, że nie miał ochoty rozstawać się z chłopcami.

Zapał już zmierzch, a w domu wciąż panowała niezmacona cisza. Zapaliło się tylko jedno światło. W kuchni. Ptaki przycichły. W ciszy słychać było odległy warkot samochodowego silnika. Odgłos przybliżał się wyraźnie, wreszcie po ogrodzie prześliznęła się smuga światła. Kosmici wskoczyli do szałasów i nakryli się sianem.

Szrama siedział w progu zaciemnionego pokoju nie wypuszczając z ręki pistoletu. Prowadził cichą rozmowę z matką chłopców. Dentysta stał przy uchylonym oknie i nasłuchiwał. Gdyby ktoś przechodził przypadkiem i zajrzał w okna domu, zobaczyłby tylko samotną kobietę siedzącą w jasno oświetlonej kuchni.

– Przygotuj nam coś do zjedzenia na drogę. O świcie wyruszamy.

Kobieta uchyliła drzwi starej lodówki i wyjęła dwa opakowania konserw. Drżącymi palcami ominęła zawiniętą w papier kielbasę.

– Chcesz zaoszczędzić na życiu? – zapytał Szrama podnosząc lufę pistoletu i przybierając grymas, który tylko ktoś całkowicie pozbawiony wymagań w tym względzie mógłby określić jako uśmiech.

– Trzeba to będzie ładnie zapakować – zauważył, gdy na stole uzbierało się parę kilo prowiantu. Był to kartkowy przydział wędlin na dwie osoby.

– Włóż to do tego koszyka – zakomenderował Szrama wskazując kosz lufą pistoletu – wygląda na poręczny.

Pakując wędliny zawahała się.

– Czy mogę odkroić kawałek? – spytała drżącym głosem. – Tylko dla chłopców.

– Nie – odpowiedział Szrama twardo. – Martw się, żeby nie przydarzyło im się coś gorszego od postu.

Matka przygryzła wargę.

– W porządku – stwierdził Szrama łaskawie. – Teraz weź torebkę i wysyp na stół. Otwórz portmonetkę... To wszystko?

– Ile mamy szmalu? – zainteresował się Dentysta.

– Sześć pięćset.

– Ostatnio zapudłowali mnie za półtora. Nie licząc oczywiście pobicia. Wtedy można było za to coś kupić – wspominał z rozrzewnieniem Dentysta.

Szrama złożył banknoty i schował je do kieszeni spodni. Siadł na krześle i zaczął przyglądać się dłoniom kobiety. Poczuli się nieswojo, więc zdjęła ręce ze stołu.

– Gdzie obrączka?

– Obrączka? – starała się nadać głosowi naturalne brzmienie.

– Jeszcze dzisiaj musiałaś ją mieć na palcu. Widzę po opaleniznie.

– Zdjęłam ją do zmywania.

Wyciągnął dłoń i trzymał ją w powietrzu, póki nie znalazła się w niej obrączka. Przez chwilę obracał ją w palcach.

– Zapomniałaś o czymś jeszcze.

– Zapomniałam? – udawała zdziwioną.

– Był jeszcze pierścionek.

Drżącymi palcami przeszukała torebkę. Znalazła go w bocznej, ciasno przylegającej kieszonce.

Przestępca obejrzał z niesmakiem skromny zaręczynowy pierścionek.

– Szajs – mruknął pod nosem chowając go do kieszeni.

Poczuła, że się rumieni. Przypomniała sobie swoją radość, gdy jej przyszły mąż, wówczas jeszcze student piątego roku matematyki, włożył jej na palec delikatny złoty pierścionek. Żeby go kupić pracował ciężko przy geologicznych wierceniach prawie dwa miesiące. Przez długi czas miała wyrzuty sumienia, że nosi na palcu coś tak kosztownego i bezużytecznego.

– Cisza! – syknął Dentysta uchylając firankę.

Od drogi słychać było narastający warkot samochodowego silnika. Gdy wóz skręcał, smuga reflektorów przesunęła się po oknach.

– Zejdź do piwnicy i pilnuj szczeniaków! – zakomenderował Szrama. Zaczekał, aż Dentysta zejdzie, i starannie położył klapę wjazdu przykrywając ją chodnikiem. Samochód toczył się cicho na wygaszonym silniku. Szrama odbezpieczył pistolet i ukrył się na schodach prowadzących na strych. Mógł stąd słyszeć i widzieć, co dzieje się na progu domu.

– Wiesz, co masz mówić! – warknął stłumionym głosem pod adresem kobiety. Rozległ się trzask samochodowych drzwiczek, potem ciche kroki na schodach i energiczne pukanie.

– Kto tam? – zapytała drżącym głosem.

– Milicja, proszę otworzyć.

W progu stał barczysty milicjant w stopniu sierżanta.

– Nie widziała pani w pobliżu nikogo podejrzanego? Szukamy dwóch przestępców.

– Wiem, słyszałam komunikat... Nie widziałam nikogo.

– Mało prawdopodobne, żeby dotarli aż tutaj. Zgubiliśmy ich ślad po drugiej stronie jeziora.

– Chce pan wejść do środka? – spytała z nadzieją w głosie.

– Nie mamy czasu. Na wszelki wypadek niech pani nikomu nie otwiera.

Poczuła, że blednie.

– Źle się pani czuje?

– Nie, to nic takiego.

– W razie czego telefon jest w leśniczówce. Dobranoc – zsalutował i szybkim krokiem zbiegł po schodach.

Stała w progu patrząc, jak radiowóz zakręca koło studni i oddala się na pełnym gazie. Drgnęła, gdy skrzypnęły drzwi strychu.

– Ta gościnność mogła was sporo kosztować – syknął kryminalista. Zamknął drzwi wejściowe na zasuwę.

– Co to może znaczyć? – głośno zastanawiał się Nij patrząc za oddalającymi się światłami samochodu. – Dzieje się coś dziwnego...

– Spróbujmy dostać się do środka – zaproponował Ote.

– Jak?

– Przez piwnicę. Wejście do niej prowadzi przez pokój chłopców. Wystarczy podnieść klapę.

Przedtem jednak trzeba było upewnić się, czy w pokoju poza chłopcami nie ma nikogo, potem pokonać w ciemnościach stromą ścianę i wspiać się po drabinie. Dom wyglądał podejrzanie. Panowała w nim cisza, nie słychać było rozmów ani krzątaniny. W kuchni wciąż paliło się światło. Okna w pokoju chłopców były zasłonięte, nie mogli więc sprawdzić, co dzieje się wewnątrz. Nij wspiał się po murze i zajrzał do kuchni.

Kobieta siedziała nieruchomo na krześle ze spuszczoną głową. Początkowo sądził, że jest sama. Nagle dostrzegł spoczywające na stole dłonie. Nie należały one z pewnością do Piotra ani do Szymka. Były to ręce dorosłego człowieka. Jedna z dłoni dotykała przedmiotu, którego kształt wydał się Nijowi znajomy. Matka podniosła głowę i spojrzała w okno. Kosmita cofnął się odruchowo i ostrożnie zszedł na dół. Odeszli kilka kroków i zaczęli się naradzać. Chłopcy nie wspominali o gościach, ich ojciec miał przybyć dopiero za kilka dni.

– Już wiem – przypomniał sobie Nij. – Ten przedmiot wygląda jak jedna z zabawek Szymka. Pistolet. Ale to, nie jest zabawka.

Ote wzdrygnął się na myśl o przeznaczeniu pistoletu.

Podeszli bezszelestnie pod okienko piwnicy.

– Teraz ja pójde pierwszy – szepnął Ote. Nie zdążył zrobić kroku, gdy do środka wdarł się snop światła latarki. Nim cofnął się, zobaczył schodzącego po schodach człowieka i siedzących na zaimprovizowanej ławce chłopców. Na twarzy młodszego połyskiwały łzy.

– Co to wszystko znaczy? – zapytał Nij, gdy znaleźli się w przyzwoitej odległości od piwnicznych okien. Nie miał już wątpliwości, że dzieje się coś niedobrego. Najpierw ginie kajak, potem chłopcy znikają, by odnaleźć się w ciemnej i zimnej piwnicy, pojawiają się jacyś obcy ludzie, z których jeden ma w ręku śmiertelny przedmiot.

– To może mieć jakiś związek z nami – wyraził przypuszczenie dowódca niefortunnej wyprawy. – Może dowiedzieli się o naszej obecności i urządzili w pokoju pułapkę.

Postanowili nie wracać na wszelki wypadek do szałasu, lecz ukryć się przy drodze i czekać na dalszy rozwój wydarzeń. Nij miał ciągle przed oczyma zapłakaną twarz Szymka.

Blisko kwadrans spędził Szrama nad rozłożoną mapą. Przed świtem miał już gotowy plan działania, a także wytyczoną trasę dalszej ucieczki. Chciał przejść lasem do szosy na Biskupiec i tam zdobyć jakiś środek lokomocji. Ogolił się i kazał Dentyście zrobić to samo. Szczęście, że znalazł w tym domu starą maszynkę do golenia. Ogoleni, z wiklinowym koszem w ręku, będą wyglądali na amatorów grzybobrania. Nie powinni mieć trudności z zatrzymaniem jakiegoś pojazdu.

Po wizycie milicji Szrama wspaniałomyślnie pozwolił wejść chłopcom na górę.

Ciemność za oknem zbladła i dały się słyszeć pierwsze, nieśmiałe jeszcze głosy ptaków. Szrama spojrzął na zegarek.

– Zbieramy się – zarządził krótko.

– A co z tymi? – Dentysta wskazał na domowników. – Małego i matkę związać. Drugiego szczeniaka weźmiemy ze sobą.

– Po co? – zdziwił się Dentysta.

– Nie! – krzyknęła matka.

Chłodne oczy Szramy popatrzyły na nią bez wyrazu.

– Po pierwsze, szukają dwóch kryminalistów, a nie trójki zbieraczy leśnego runa. Po drugie, potrzebny jest ktoś, kto zna drogę przez las. Po trzecie, to będzie nasz fant, na wypadek, gdyby coś się miało przytrafić.

Dentysta spojrzął na towarzysza z podziwem. Że też nie poznał go wcześniej! Dopiero przy nim zaczynał doceniać wartość umysłu. Może nie musiałyby ciężko pracować fizycznie przy okładaniu byle kogo za byle jakie pieniądze.

Chłopcy zostali brutalnie obudzeni. Szymek spoglądał na prześladowców zaspanymi i nic nie rozumiejącymi oczami, ale już nie płakał. Czuł się tak, jakby zużył zapas łez na dobrych kilka lat. Matka siedziała w kuchni przywiązana do krzesła. W jej zmęczonych, podkrążonych oczach tliła się cicha rozpacz.

Szrama wepchnął do kosza zwój liny. Pomyślał o wszystkim. Wyszli z domu, gdy pierwsze promienie słońca zaczęły prześwitywać pomiędzy drzewami. Nad łąką unosiły się pasma mgły postrzępionej jak bandaże.

Piotrek spojrzął z żalem w stronę szałasu. Siedząc w piwnicy wpatrywał się w okno czekając, aż usłyszy cichy odgłos leciutkich kroków. Zasypiał ze znużenia i budził się z zimna. Przez krótką chwilę wydawało mu się, że widzi w oknie znajomy cień, ale w tej chwili Dentysta zszedł do

piwnicy. Nie powinien mieć do nich pretensji, sam przecież kazał im zachowywać ostrożność w przypadku pojawienia się kogokolwiek obcego.

Gdy wyszli z domu, przestał odczuwać dławiący strach. Matka i brat byli tymczasem bezpieczni. Może uda im się uwolnić? Teraz był odpowiedzialny tylko za siebie. Zdecydował, że przy pierwszej okazji spróbuje ucieczki. Poprowadzi ich drogą przebiegającą obok bagna. Pamiętał wzniesienie, gwałtowny uskok i wąską ścieżynę wydeptaną przez zwierzęta. Nigdy nią nie szedł do tej pory, za to przyjrzał jej się dokładnie.

Szrama jakby czytał w jego myślach.

– Nie próbuj uciekać – powiedział trącając go w plecy lufą pistoletu owiniętego w czapkę. – Pamiętaj, że to cię dogoni.

Chłopiec przygryzł wargę.

Po przejściu kilku kilometrów wszyscy trzej byli zmęczeni. Piotrek zaprawiony w długich marszach odczuwał skutki niewyspania i głodu, obaj przestępcy najwidoczniej odwykli od forsownych spacerów. Zatrzymali się na polanie, którą od drogi oddzielał pas młodnika. Zbiegowie usiedli na pieńkach i nie spiesząc się żuli kielbasę. Piotrek oparł się o zwalone drzewo i przymknął oczy.

– Uważaj na niego – mruknął Szrama.

– Zmachał się. Pewnie śpi... Co chcesz z nim zrobić?

Szrama odpowiedział coś tak cicho, że chłopiec nie zrozumiał ani słowa. Dentysta zaklął.

Po kilku minutach podszedł do niego starszy i trącił go nogą.

– Idziemy – rzucił.

Od bagna dzieliło ich kilkaset metrów. Piotrek wysilał pamięć aż do bólu, żeby przypomnieć sobie wszystkie szczegóły tego miejsca. Gdy zaczęli wspinać się na niewielkie wzniesienie, serce zaczęło walić mu jak młotem. Nieco wcześniej zauważył, że Szrama wetknął pistolet za pasek spodni. Była to okoliczność sprzyjająca – dodatkowe dwie, trzy sekundy na pokonanie kilkunastu metrów dzielących go od bagna. Liczył na to, że zanim użyją broni, będą usiłowali go złapać. Był lżejszy, na grząskim gruncie powinien poruszać się znacznie szybciej od swoich prześladowców.

Rzucił się w dół po stromym zboczu między kępy krzewów prawie nie dotykając nogami ziemi. Zanim znalazł się na dole, zaczepił o jakiś korzeń i przekoziółkował kilka razy, na szczęście krzaki zamortyzowały upadek.

– Na co czekasz?! – usłyszał za plecami głos Szramy.

Dentysta skoczył za nim.

Klucząc jak ścigany zając dobiegł do kępy drzew. Od ścieżki dzieliło go kilkanaście kroków. Kątem oka dostrzegł kłęzącego na wzniesieniu Szramę, który trzymając oburącz pistolet mierzył w jego kierunku. Dentysta klnąc szamotał się w zaroślach. Chłopiec nabrał powietrza i rzucił się do przodu. Wtem poczuł gwałtowne szarpnięcie. Jakaś siła osadziła go w miejscu. Próbował się uwolnić, ale bez skutku. Poczuł gwałtowny ucisk na krtani i pociemniało mu w oczach. Zanim zorientował się, że to po prostu kołnierz swetra zaczepił o złamaną gałąź, było już za późno. Usłyszał za plecami głošny oddech i ujrzał wzniesioną do ciosu rękę.

Przez kilka godzin nic się nie działo, więc Ote uciął sobie drzemkę leżąc w trawie. Nij nie mógł zasnąć. Dręczyły go niedobre przecucia. Tuż przed świtem z wnętrza domu dobiegły go podniesione głosy. Po chwili wszystko ucichło. Ote słyszał to również, bo uniósł głowę i otworzył oczy. Czekali w napięciu. Po kilkunastu minutach skrzypnęły drzwi i na drodze ukazał się Piotrek idący ze zwieszoną głową w towarzystwie dwóch nieznanymi ludzi. Miał opuchniętą twarz, podkrążone oczy i zmierzwiłone włosy. Gdy zwolnił, młodszy z mężczyzn popchnął go brutalnie. Chłopiec zatoczył się.



Gdy przechodzili obok, Nijowi wydawało się, że wyczuwa aurę zła, która emanowała od tych dwóch nieznanym.

– Idziemy za nimi – szepnął językoznawca. – Trzeba mu jakoś pomóc.

Ote wahał się.

– Kodeks kosmiczny zabrania... – zaczął niepewnie, ale Nij machnął niecierpliwie swoją czteropalczystą dłonią.

– Gdybyśmy trzymali się ściśle postanowień tego twojego kodeksu, to już dawno zostalibyśmy zjedzeni. Tu, na Ziemi też mają swoje prawa, które ci dwaj chłopcy złamali, żeby nas ratować.

– Nie mamy pewności, czy rzeczywiście...

– Gdy będziemy mieli pewność, może już być za późno!

Ten argument zadecydował. W gruncie rzeczy Ote był podobnego zdania, ale uważał, że jego obowiązkiem jako dowódcy jest ściśle trzymanie się instrukcji. Poczuli, nie bez ulgi, że determinacja Nija zwolniła go z tego obowiązku.

Ruszyli biegiem za odchodzącymi. Nie było im łatwo dotrzymać kroku, po kilku minutach stracili ich z oczu. Wtedy Nij wpadł na pomysł, żeby staczać się z góry w osłonach. Tempo marszu wzrosło i nim upłynął kwadrans, dogonili trójkę ludzi. Obaj byli jednak całkowicie wyczerpani i dystans znowu zaczynał się powiększać. Na domiar złego na drodze pojawił się bury kot, uniósł łapę i stał nieruchomo wytrzeszczając na nich żółte ślepie. Nij sięgnął po analizator, ale Ote powstrzymał go ruchem ręki.

– Co chcesz zrobić? – szepem spytał Nij.

– Już raz udało mi się wprawić go w trans – odpowiedział koncentrując wolę.

– Teraz chcesz się bawić w zoohipnozę? Nie mamy chwili do stracenia!

– Mamy sporo do zyskania... Możesz ustawić swój analizator na wzmacnianie efektu. Kot reaguje.

Kot początkowo tylko zaskoczony obecnością dziwnych stworzeń doznawał teraz dziwnych sensacji. Zesztywniał i lekko kołysał się na łapach. Kręciło mu się we łbie. Miał ochotę dać nura w krzaki, ale łapy odmówiły mu posłuszeństwa. Ogarnęła go całkowita obojętność. Widział przed sobą tylko dwa ciemne gorejące punkty.

– Wystarczy – stwierdził Ote. – Jest do naszej dyspozycji przez najbliższe pół godziny.

– Po co nam kot? – zdziwił się Nij.

– Ma cztery łapy i porusza się znacznie szybciej od nas. Poza tym za pomocą wzmacniacza możemy zwiększyć jego szybkość nawet do dziesięciu razy. Grzbiet kota okazał się niezbyt wygodny, luźne futro przesuwano się przy każdym gwałtowniejszym ruchu, musieli więc trzymać się z całych sił. Buras mknął drogą z szybkością hondy. W niespełną minutę odzyskali stracony dystans i musieli gwałtownie wyhamować kota, bo inaczej doszłoby do zderzenia.

– Mam nadzieję, że nic mu nie będzie – powiedział Nij, gdy zwolnili.

– Straci nieco na wadze, ale to mu nie zaszkodzi. Jest za tłusty – odrzekł Ote klepiąc kocura po lśniącej sierści.

– Nagle jeden z mężczyzn obejrzał się i zmarszczył brwi. Prowadzony przez Otego kocur dał susa w krzaki. Nij, który nie spodziewał się tak gwałtownego manewru, cudem niemal utrzymał się na grzbiecie.

– Co to było? – dobiegł ich chrapliwy głos.

– Jakiś kot – padła obojętna odpowiedź. Ote odetchnął z ulgą. Wyglądało na to, że ich nie zauważono. Widocznie dosiadający kota kosmici byli ledwie widoczni na tle liści i trawy. Potem usłyszeli, jak ten sam chrapliwy, nieprzyjemny głos zarządził przerwę na krótki odpoczynek. Ukryli wierzchowca w krzakach i korzystając z ich osłony podeszli do siedzących na pieńkach mężczyzn.

– Uważaj na niego – mruknął starszy żując kielbasę.

– Zmachał się. Pewnie śpi... Co chcesz z nim zrobić? – spytał ten drugi o włosach krótszych niż sierść kota.

Starszy, z pionową blizną na twarzy, zniżył głos do szeptu:

– To zależy od okoliczności. Ten smarkacz może narobić nam kłopotów, jeśli puścimy go wolno.

Młodszy wycedził kilka słów, których znaczenia kosmici nie rozumieli, potem wstał i trącił nogą chłopca. Nij i Ote wycofali się bezszelestnie. Spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Słowa, które przed chwilą słyszeli, nie wróżyły nic dobrego.

Tropieni i tropiący posuwali się teraz drogą w odległości kilkunastu kroków od siebie. Ote nie spuszczał mężczyzn z oka. Szli pod górę. Kot przemykał bezszelestnie pod zwisającymi nisko gałęziami świerków. Nagle powstało zamieszanie. Chłopiec zniknął i rozległ się trzask łamanych gałęzi, a potem schrypnięty głos wydał szybką komendę. W ciągu sekundy kot znalazł się za plecami klęczącego mężczyzny, w którego dłoniach pojawił się ciemny, połyskujący pistolet. Nij nie namyślając się dłużej wymierzył w klęczącego analizator. Ciało uniosło się w powietrze i opadło bezgłośnie na ziemię.

Ote zeskoczył z kociego wierzchowca i spojrzał w dół. Zaczepiony o gałąź Piotrek miotał się bezradnie. Drugi z mężczyzn był tuż przy nim. Ote ujrzał wzniesioną do ciosu pięść. Nim spadła na głowę chłopca, krótkowłosa uniósł się w powietrze. Wyglądało to jak odtwarzany wstecz skok na filmie.

Piotrek zamknął oczy odruchowo. Spodziewał się bólu, tymczasem nic nie nastąpiło. Dokoła panowała sielska cisza. Obejrzał się. Nie było nikogo. Dopiero, gdy stanął na nogi, ujrzał leżącego na ziemi Dentystę, który wyglądał, jakby spał. Dwa kroki od niego w podobnej pozycji leżał Szrama. Obaj nie dawali znaku życia. Nagle dobiegł go z góry znajomy piskliwy głosik.

– Hej, Piotrek! Tu jesteśmy!

To krzyczał Ote.

Chłopiec wspiął się po stromym zboczu czepiając się krzaków. Spojrzał z niedowierzaniem na uśmiechnięte twarze przyjaciół, a potem popatrzył w dół na leżące nieruchomo ciała.

– Czy oni nie żyją? – w jego głosie można było wyczuć zgrozę.

– To tylko lekki szok – pośpiesznie wyjaśnił Nij. – Za kilkanaście minut obudzą się. Nic im nie będzie.

Chłopiec odetchnął z ulgą, ale nagle uświadomił sobie, że za kilkanaście minut znowu może znaleźć się w niebezpieczeństwie. Przypomniał sobie o lince.

– Muszę ich związać.

– Czy to konieczne? – zapytał Nij.

– To bardzo źli ludzie – wyjaśnił pośpiesznie rozglądając się za koszykiem. – Uciekli z więzienia. Trzeba zawiadomić milicję.

– Czy milicja to coś miłego? – chciał wiedzieć Ote, który najwidoczniej niezbyt dokładnie przestudiował literę „m” w encyklopedii.

Piotrek i językoznawca wybuchnęli śmiechem.

– Dla nich będą pewnie niezbyt mili – wyjaśnił chłopiec wyciągając sznur z koszyka. – Czy oni się nie obudzą? – zapytał z obawą. Ote zapewnił go, że może działać spokojnie.

Zbiegli w dół. Piotrek przerzucił sznur przez gruby konar i do obu jego końców przywiązał kryminalistów za ręce i nogi. Węzły prezentowały się solidnie, ale chłopcu skóra cierpła na myśl, co będzie, jeśli zdołają się uwolnić. Przypomniał sobie o pistolecie.

– Po co ci pistolet? – zdziwił się Nij.

Piotrek podzielił się swoimi obawami. Na szczęście broń leżała przy drodze. Ułożył ją ostrożnie na dnie kosza. Dopiero teraz dostrzegł nieruchomego, dziwnie wyglądającego kota.

– Co on tu robi? – zdziwił się głośno.

– Och, zapomnieliśmy o biedaku. Bardzo nam pomógł. Bez niego nie zdążylibyśmy na czas – wyjaśnił Ote.

– Trzeba go zwolnić – zawyrokował Nij.

Kot powoli przychodził do siebie. Chwilę stał wytrzeszczając na nich półprzytomne ślepie, potem wygiął się w pałąk, miauknął przeraźliwie i rzucił się na oślepa w krzaki.

– Wracamy do domu. Po drodze trzeba jeszcze wpaść do leśniczówki i zadzwonić. Wskakujcie do kosza – powiedział Piotrek podnosząc pokrywkę.

– Nie mam ochoty tłuc się w jednym pomieszczeniu z tym paskudztwem – odpowiedział językoznawca mając na myśli pistolet.

– Dobrze – zgodził się chłopiec. – Myślę, że nie spotkamy po drodze nikogo. Jest jeszcze bardzo wcześnie. Siadajcie mi na ramiona i łapcie się za uszy. W razie czego – pod sweter.

Do leśniczówki dotarli w pół godziny. Piotrek ukrył w przydrożnych krzakach koszyk i przyjaciół i z pistoletem w dłoni ruszył w stronę zabudowań. Obawiał się, że leśniczy nie uwierzy mu, dopóki nie zobaczy jakiegoś dowodu.

W domu panowała cisza. Mieszkańcy najprawdopodobniej jeszcze spali. Piotr pukał najpierw dość delikatnie, ale gdy nie odniosło to żadnego skutku, zaczął walić w drzwi kolbą pistoletu. Po kilkunastu sekundach za drzwiami dało się słyszeć człapanie i pokasywanie.

– Kto tam? – burknął niski zaspany głos.

– Niech pan otworzy! To bardzo poważna sprawa! Trzeba zawiadomić milicję!

Drzwi uchyliły się i ukazał się w nich leśniczy w mundurze, ale w spodniach od piżamy. Był to postawny starzec o siwych gęstych włosach i sumiastych wąsach. Już od dawna powinien być na emeryturze, ale że zdrowie mu dopisywało, a na jego miejsce nie kwapił się młodszy, pracował nadal.

– Co to znowu za pomysły? – spytał surowo marszcząc brwi, ale w tej samej chwili dostrzegł pistolet w ręku chłopca i odruchowo podniósł ręce do góry. Lufa skierowana była prosto w jego pierś.

Piotrek spojrział na pistolet i natychmiast opuścił rękę.

Leśniczy oprzytomniał i wpuścił go do środka. Nie miał już wątpliwości, że sprawa jest rzeczywiście poważna. W pokoju, w którym stało jedynie biurko i regał z książkami, pokręcił korbką telefonu i czekając na połączenie jednym uchem słuchał chaotycznej i dość nieprawdopodobnej opowieści. Co pewien czas zerkał na leżącą przed nim broń, żeby upewnić się, że coś w tym jest. Wreszcie udało mu się uzyskać połączenie z komisariatem. Chrząknął, łypnął okiem i dość pokrętnie zaczął tłumaczyć, o co chodzi.

– Więźniowie, których szukacie, są w lesie koło bagna w rejonie mojej leśniczówki... Skąd wiem?... Ano, chłopak przyleciał. Co tam robią?... Co oni tam robią? – zwrócił się do Piotrka. – Mówi, że leżą. Zostawił ich związanych... Kto ich związał? A diabli go wiedzą... Skąd mam wiedzieć, czy mówi prawdę?!..., Wiem tylko, że chłopak przyszedł do mnie z bronią w ręku... Tak, z bronią. To ten nowy wzór. Mogę wam podać numer serii, tylko wezmę okulary...

Chłopiec zaczął wycofywać się ku drzwiom.

– To ja już pójdę – bąknął odwracając się na pięcie.

– Kazali mi ciebie zatrzymać – powiedział leśniczy wkładając okulary. – Będą za kilkanaście minut, radiowóz już w drodze. Chcą, żebyś im pokazał to miejsce.

– Nie mogę. Matka i brat są związani od paru godzin.

Był już jedną nogą w korytarzu, gdy leśniczy zawołał za nim:

– Powiedz przynajmniej, jak się nazywasz?

Rzucił nazwisko i dodał, że mieszka w starym domu nad jeziorem. Leśniczy patrzył za nim drapiąc się w brodę i kręcąc głową.

Całą drogę powrotną przebył biegiem. Kosmici na dnie kosza przeżywali emocje jak na małym żaglowcu w czasie sztormu. Wiklinową gondolę opuścili z wyraźną ulgą.

– Przyniosę wam zaraz coś do jedzenia – powiedział Piotrek pospiesznie zegnając się z nimi w ogrodzie.

Nij skrzywił się.

– Nie musisz się spieszyć. Chwilowo nie mam apetytu.

Piotrek dwoma susami pokonał schodki i wpadł na korytarz. Trzaśnięcie drzwi zabrzmiało jak karabinowy strzał.

Zdażył pomyśleć, że matka tego nie lubi.

Doskoczył do matki i drżącymi z emocji palcami rozwiązał knebel. Wciągnęła głęboko powietrze. Gdy schylił się, by uwolnić jej ręce, powiedziała pospiesznie:

– Szymek. Najpierw Szymka...

Węzły zacisnęły się i głęboko wbiły w ciało. Piotrek sięgnął po nóż i przeciął sznur od bielizny. Po chwili matka dotykała go zdrętwiałymi dłońmi, jakby nie mogła uwierzyć, że jest cały i zdrowy.

– Wypuścili cię? Nic ci się nie stało? – i nie czekając na odpowiedź przeniosła wzrok na drugiego syna. – Trzeba się nim zająć. Rozmasuj mu ręce.

– Nie trzeba – zachnął się mały. – Jak się bawiliśmy w Indian, to byłem związany jeszcze bardziej i sam się rozwiązałem.

Krzywiąc się z bólu próbował podskoczyć na jednej nodze.

– Trzeba zawiadomić milicję – przypomniała sobie matka.

– Już to zrobiłem.

Opowiedział w miarę dokładnie, co się stało. Nie wspomniał oczywiście o udziale kosmitów, przez co historia nabrała cech jaskrawego nieprawdopodobieństwa. Na szczęście dla matki była to sprawa drugorzędna, liczyło się jedynie to, że chłopakowi zagrażało śmiertelne niebezpieczeństwo, którego cudem uniknął. Oczywiście, w cuda można nie wierzyć, ale trudno nie odczuwać dla nich wdzięczności. Była zbyt szczęśliwa i oszołomiona przeżyciami ostatniej doby, żeby myśleć trzeźwo.

– Czy oni na pewno są mocno przywiązani? – zainteresował się Szymek, a matka złapała się za głowę.

– O, Boże! Musimy uciekać! Oni gotowi są tu wrócić!

Nie bez trudności udało się Piotrkowi zapewnić matkę, że nic im nie grozi. Nie obyłoby się pewnie bez ewakuacji, gdyby nie Szymek, który przypomniał, że od wielu godzin nie miał nic w ustach.

Radiowóz dotarł do leśniczówki w kilkanaście minut po wyjściu chłopaka. Leśniczy czekał przy drodze. Lewa kieszeń munduru wyciągnięta była pod ciężarem pistoletu. Sprawdził, że w magazynku brakuje trzech naboí. Dwa z nich zraniły strażników.

Samochód przyhamował, drzwiczki uchyliły się i leśniczy wskoczył do środka nie czekając, aż zatrzyma się na dobre.

– Prosto tą drogą, a potem w lewo! – krzyknął odkładając na później uprzejmości.

Za kierownicą siedział podoficer w stopniu sierżanta, a obok niego młody porucznik. Samochód pruł po leśnej drodze z rajdową szybkością.

– To gdzie tutaj – stwierdził leśniczy, gdy wóz pokonał wzniesienie. Gwałtowne hamowanie uniosło go z siedzenia.

– Niech pan zostanie w wozie – rozkazującym tonem zwrócił się do niego porucznik, ale zaraz dodał łagodniej: – Może być niebezpiecznie.

– E, co tam mnie, staremu – mruknął leśniczy gramoląc się z samochodu. Wyprostował się i poklepał po kieszeni: – Mam broń.

– To dowód rzeczowy – uśmiechnął się sierżant wyjmując kajdanki.

Leśniczy zgodził się zostać przy drodze, w czasie gdy dwaj milicjanci ostrożnie przeszukiwali okoliczne zarośla. Po kilku minutach wrócili zawiedzeni.

– Chłopak nas nabrał albo udało im się uwolnić – stwierdził porucznik z kwaśną miną.

Leśniczy mruknął coś pod nosem i pochylił się. Potem przeszedł kawałek drogą i wrócił w poprzednie miejsce.

– Po mojemu, powinni być gdzieś tutaj – powiedział wskazując dłonią w dół.

Milicjanci spojrzeli po sobie porozumiewawczo.

– Sprawdzimy, obywatelu tropicielu – odpowiedział sierżant i zaczął schodzić po stromym zboczu. Po chwili dotarł do nich jego głos i wszyscy trzej znaleźli się na dole.

– Macie oko, panie leśniczy! – stwierdził sierżant z podziwem.

– Ano, panie, do czytania w lesie okularów jeszcze nie zakładam – mruknął starzec.

– Jak wam się to podoba, poruczniku?

Oficer pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Prezent. Do tego ładnie zapakowany.

Kryminaliści siedzieli w milczeniu patrząc na nich spode łba. Szczęknęły kajdanki. Sierżant przeszukał kieszenie Dentysty i wydobyl sprężynowy nóż.

– Trzeba chyba te pęta poprzecinać. Takich węzłów w życiu nie rozwiązywałem.

Porucznik pochylił się.

– Widzę, że chłopak chce zostać żeglarzem. Solidna robota.

Nim ruszyli w powrotną drogę, sierżant wydobyl zmiętą paczkę papierosów.

– Należy się przerwa na papierosa po akcji – powiedział częstując leśniczego.

– Tu palenia nie będzie – burknął leśnik. – Las suchy, zaproszyć łatwo.

Przyznali mu rację.

– Odwieziemy pana do domu – zaproponował oficer, starzec jednak odmówił. Wolał spacer niż towarzystwo przestępców.

– No, to dziękujemy za obywatelską postawę – padła sakramentalna formuła.

– Co tam ja, chłopakowi dziękujcie – odpowiedział wręczając oficerowi pistolet.

Oddalił się pewnym, niespiesznym krokiem człowieka nawykłego do chodzenia po lesie.

Droga była wąska i nie sposób było na niej wykręcić samochodem, więc do najbliższego skrzyżowania sierżant prowadził wóz na wstecznym biegu. W lusterku widział ponurą, zaciętą twarz Szramy.

– Chciałbym to zobaczyć – powiedział kręcąc głową z podziwem.

– Co macie na myśli? – zapytał porucznik wyjmując mocnego ze schowka pod przednią szybą.

Przypomniął sobie o wyschniętym lesie i machnął ręką.

– Jak ten chłopak wiąże tych dwóch bandytów... Obywatel porucznik w to wierzy? – spojrział z ciekawością na przełożonego.

– Ja w ogóle jestem niewierzący – odpowiedział oficer i przybrał obojętny wyraz twarzy. – Najważniejsze, że już ich mamy. Pomyślcie tylko, dwie osoby ranne, jedna ciężko pobita, skradziony samochód, sterroryzowana rodzina – wszystko w ciągu dwóch dni. Miesiąc na wolności i zabrakłoby dla nich paragrafów.

„Ktoś nas przekreślił, ale jak?“, to pytanie kołatało się w tępej głowie Dentysty, odkąd tylko odzyskał przytomność. Nawet Szrama nie potrafił wyjaśnić, co się stało. Był związany jak baleron. Początkowo łudzili się, że uda im się wyswobodzić, ale powiązani zostali fachowo. Nogi mieli ugięte w kolanach i także spętane liną, która wpijała się w ciało przy próbie gwałtowniejszego ruchu. Obaj leżeli na brzuchu. W takiej pozycji trudno było marzyć o zrobieniu czegokolwiek. Mogli rozmawiać, ale po co. No bo o czym? O przyszłości? O najbliższych latach lepiej było nie myśleć, nie miały się one różnić niczym od kilku poprzednich.

W czasie wstępnego przesłuchania, które nastąpiło po kilku godzinach, Szrama uśmiechając się cynicznie utrzymywał, że dobrowolnie oddał się w ręce sprawiedliwości, żeby otrzymać łagodniejszy wyrok, i własnoręcznie związał Dentystę, a potem siebie działając pod wpływem szoku wywołanego wyrzutami sumienia. Dlaczego związał siebie samego?... Z powodu braku zaufania i złych skłonności.

Dentysta wybrał bardziej prymitywną linię obrony. Szedł „na zaparte”. Stwierdził, że stracił pamięć na skutek wystrzału i nie pamięta nawet, jak się nazywa i do którego więzienia „uczęszczał” ostatnio.

Chłopiec, który przekazał broń leśniczemu i obezwładnił przestępców, nie potrafił dać jasnej odpowiedzi, jak do tego doszło. Wyraził przypuszczenie, że prześladowcy goniąc go zderzyli się głowami i stracili przytomność, co pozwoliło mu na ich związanie. Badanie lekarskie nie wykazało u żadnego z pojmanych obrażeń głowy, co wykluczało w zasadzie przedstawioną przez świadka hipotezę. Na pytanie, dlaczego nie uciekał, odpowiedział, że działał pod wpływem strachu, że przestępcy po odzyskaniu przytomności będą usiłowali go schwytać.

W podziękowaniu za obywatelską postawę chłopiec otrzymał z rąk komendanta pamiątkowy puchar, a w rubrykach codziennych gazet zajmujących się aferami kryminalnymi pojawiły się sensacyjne tytuły: „Dwunastolatek obezwładnił dwóch groźnych bandytów”, „Uczeń szóstej klasy schwytał dwóch kryminalistów”. Okoliczności zajścia przedstawiano w sposób dość nieścisły koncentrując się na szczęśliwym dla społeczeństwa rozwiązaniu.

Owe niejasne okoliczności gnębiły jedynie sierżanta, ale i on dał wkrótce za wygraną. Doszedł do wniosku, że być może głowy notorycznych przestępców są odporne na badania lekarskie i jeszcze twardsze niż ich serca.

Piotrek nie czuł się wcale dobrze w roli bohatera. W ogóle nie chciał mówić na temat swoich dramatycznych, przejść w lesie. Mdlilo go od powtarzania kłamstw, a jedyną osobą, której mógł powierzyć całą prawdę, był Szymek.

Przez dwa dni po domu kręciła się milicja i jacyś dziennikarze. Nij i Ote byli bardzo zaniepokojeni. Obawiali się, że ktoś może przypadkiem wpaść na ich trop. Z tego powodu stali się przewrażliwieni i prawie nie opuszczali szafasu. O nocowaniu w domu nie chcieli nawet słyszeć, mimo zapewnień Piotrka, że na półce nic im nie grozi.

Po dwóch dniach obcy ludzie zniknęli, ale przyjechał zaalarmowany telegramem ojciec chłopców. Zawiadomił o tym kosmitów Szymek, gdy zjawił się z kolacją później niż zwykle.

– Nie mogłem wcześniej, bo przyjechał tato.

Nie mieli nawet czasu porozmawiać, bo dobiegł ich obcy męski głos wołający chłopca po imieniu.

– To właśnie on. Muszę wracać.

Chłopiec mówił zawsze o ojcu z podziwem i przypisywał mu niezwykle przymioty, więc obaj rozbitkowie, a szczególnie Nij, byli ciekawi, jak też wygląda ów legendarny ojciec. Gdy zapadł zmierzch, zostawili na kamieniu nie dojeżdżoną kolację i udali się pod dom, żeby zajrzeć przez okno.

Nij pierwszy wspiął się po murze i przycupnął na parapecie. Zerknął ostrożnie do środka, ale niewiele zobaczył. Mama (obaj kosmici polubili to słowo i nigdy nie mówili o matce inaczej) krzątała się po kuchni, podniecona i uśmiechnięta, a na krześle zwrócony tyłem do okna siedział szczupły mężczyzna o lekko siwiejących włosach.

Nij chciał przyjrzeć mu się dokładniej, ale stojący na dole Ote zaczął się niecierpliwić. Dawał mu znaki rękami, żeby się pospieszył.

Otemu udało się zobaczyć twarz ojca z profilu. Kilka razy włązili na zmianę i przywierając do framugi przyglądali się człowiekowi, o którym tyle słyszeli od chłopców.

– Docent jest podobny do Piotrka – autorytatywnie stwierdził Nij, gdy po godzinie, zmęczeni wdrapywaniem się po pionowej ścianie, dali wreszcie spokój podglądaniu. O ojcu przyjaciół mówili docent, odkąd dowiedzieli się, że jest naukowcem i zajmuje się matematyką. Specjalność ojca przypadła do gustu Otemu, który sam poza nawigacją i astronomią studiował matematykę.

– Mnie osobiście mama podoba się bardziej – zwierzył się Nij, a Ote po namyśle przyznał mu rację.

Początkowo wszyscy ludzie wydawali się podobni. Stopniowo zaczęli ich odróżniać. W świecie odrażających olbrzymów zaczęli dostrzegać całą gamę typów.

– Mama jest okrąglejsza, te krągłości emanują łagodnością i ciepłem. Natomiast docent jest kanciasty – powiedział Nij.

– O tak, kula jest kształtem doskonalszym od prostopadłościanu – zgodził się Ote.

– Głos też ma przyjemniejszy – dodał językoznawca, a Ote skwapliwie przyznał mu rację.

Szli przez ogród spacerkiem po wydeptanej przez chłopców ścieżce. W trawie cykały pasikoniki. Byli o dwa kroki od szafasu, gdy zaalarmował ich jakiś podejrzany, dobiegający z wnętrza szelest.

– Tam ktoś jest – szepnął Ote.

Ominęli wejście i ostrożnie rozgarniając gałęzie, które tworzyły strop, zajrzeli do środka. Na dole panował mrok, ale obaj znakomicie widzieli w ciemnościach.

– To kocur – mruknął Nij.

– Zeżarł całą naszą kolację – oburzonym tonem stwierdził Ote.

Kot oblizywał się właśnie leniwie mrużąc ślepią, gdy dobiegły go ciche znajome głosy. Poruszył niespokojnie ogonem, zjeżył się i jednym susem wypadł z szafasu.

– Znowu nic nie będziemy jedli aż do rana – zauważył Ote smętnym głosem. Organizmy Daleków przystosowane były do częstych posiłków. Kilkunastogodzinny post powodował lekkie osłabienie i ubytek wagi.

– Myślę, że temu kotu należała się jakaś rekompensata. Gdyby nie on, to nie tylko Piotrek, ale i my mielibyśmy kłopoty – pocieszał się językoznawca, rozglądając się jednocześnie, czy dzielny wierzchowiec nie zostawił jakichś resztek.

Nie pozostawało im nic innego, jak zasnąć możliwie najszybciej, zagrzebali się więc w sianie. Zbawczy sen nie przychodził jednak przez długi czas, wiercili się przez kilka godzin.

Zwykle budzili się o świcie. Tym razem, choć minęły dwie godziny od wschodu słońca, spali w najlepsze głębokim, spóźnionym snem.

Otego zbudził głos. Należał on niewątpliwie do kogoś obcego. Sens wypowiedzianych słów dotarł do niego z pewnym opóźnieniem.

– Więc to jest ta ich kryjówka – tak brzmiały słowa, które zaalarmowały Otego. Zanim zdołał cokolwiek przedsięwziąć, ukazały się dwie ogromne stopy. Na ucieczkę było już za późno. Błyskawicznym ruchem naciągnął sobie i śpiącemu Nijowi koc na głowę i znieruchomiał. Usłyszał zupełnie wyraźnie chrzęst w stawach, gdy człowiek przykucnął tuż obok nich, jego głośny oddech, chrząknięcie. Potem zaszleściło siano, Ote odruchowo cofnął nogę w samą porę, bo na miejsce, gdzie się przed chwilą znajdowała, zważyło się coś potwornie ciężkiego. Ote z trudem stłumił okrzyk zgrozy. Potem zaległa długa cisza, która była – nie do zniesienia, więc Ote powodowany determinacją uchylił rąbek postrzępionego koca i spojrzął. Zobaczył niewiele, bo całe pole widzenia przesłaniało coś zielonego. Dopiero, gdy zdobył się na odwagę, żeby spojrzeć po raz drugi, dostrzegł, że owa zielona płaszczyzna zwieńczona jest ludzką głową i że głowa ta bez wątplenia należy do ojca chłopców. Siedział zwrócony do rozbitków tyłem. Niewiele brakowało, a rozgniótłby ich ciężarem własnego ciała.

Ote leżał wstrzymując oddech, podczas gdy jego towarzysz najspokojniej w świecie spał głębokim błogim snem. Trwało to wszystko bardzo długo. Wprawdzie nie tak długo, jak to się wydawało Otemu, ale wystarczająco długo, by w wyobraźni wydłużyć się w dwójnasób. Potem docent wstał i wygramolił się z szafasu, po czym odszedł spokojnym krokiem. Ote, który od pewnego czasu wstrzymywał oddech, zasyczał jak przedziurawiona piłka i dopiero wówczas Nij przeciągnął się, ziewnął i otworzył oczy. Dziwny wyraz twarzy towarzysza musiał zwrócić jego uwagę, bo powiedział niezbyt wyraźnie:

– Wyglądasz, jakby przyśniło ci się coś straszego.

– To tobie się śniło – zachnął się Ote – kiedy ja widziałem to na własne oczy!  
– Co widziałeś? – zapytał Nij sennie.  
– Docent odkrył szałas.  
– Skąd wiesz? – zdziwił się językoznawca.  
– Widziałem. Był tutaj.  
– Kto? Docent? Jesteś pewny, że ci się to nie przyśniło?  
– Powiadam, że to tobie się śniło, kiedy on tu wszedł i prawie usiadł na nas! – niecierpliwił się Ote, zły, że porcja strachu przeznaczona dla nich obu tylko jemu przypadła w udziale.  
– A ty, zamiast mnie obudzić...  
– Narobiłbyś wrzasku i zostalibyśmy odkryci – przerwał mu Ote.  
– To straszne. – Językoznawca nareszcie uświadomił sobie grozę sytuacji. – Masz pewność, że nas nie widział?

Ote miał taką pewność.

– Jeśli nas nie widział, to...

– To i tak musimy opuścić to miejsce – dokończył za niego Ote.

Ukryli się w krzakach przy drodze, aby poczekać, aż pojawi się któryś z chłopców. Po kilkunastu minutach ujrzeli Szymka niosącego śniadanie. Po chwili przybiegł Piotrek. Obaj wiedzieli już, że ojciec odkrył szałas. Piotrek zapewniał ich, że ryzyko jest niewielkie i że ojciec nie wejdzie tam najprawdopodobniej po raz drugi, ale kosmici nie chcieli słyszeć o pozostaniu w miejscu, o którym wie ktokolwiek spoza ścisłego grona wtajemniczonych.

– Najlepiej było, jak mieszkaliście w naszym pokoju – stwierdził Szymek.

Piotrek pokręcił głową. Odkąd pojawił się ojciec, przechodni pokój chłopców przestał być bezpieczny. Ojciec zabrał ze sobą jakąś pracę, którą miał zamiar wykonywać w sąsiednim pomieszczeniu. Musieliby pilnować dwóch par drzwi, przez które w każdej chwili może wejść ktoś niepowołany. Z równym skutkiem można by ukrywać się w uczęszczanym korytarzu.

Dalekowie przypomnieli sobie o dziupli. Nie mieli oczywiście zamiaru wracać do lasu, ale chętnie zamieszkaliby w pobliżu w czymś w rodzaju dziupli. Obejrzeliby więc wszystkie drzewa, ale żadne z nich nie nadawało się do zamieszkania. Szymek odkrył wprawdzie przestronną jamę pod korzeniami starego klonu, ale jak się okazało, była już przez kogoś zajęta. Gdy Nij wpęłzył do środka, w głębi błysnęły dwie pary wystraszonych oczu.

Ustalili wreszcie, że najbliższą noc kosmici spędzą w kępie bzu pod zaimprovizowanym namiotem ze starego koca, a potem przeniosą się na strych, który chłopcy odpowiednio urządują na ich przyjęcie, o ile matka wyrazi zgodę na zabawy na strychu. Piotrek liczył trochę na poparcie ojca, który zawsze przejawiał więcej tolerancji w takich sprawach. Przygotował też odpowiedni argument dla matki: poradzili sobie jakoś z kryminalistami, więc dziury w podłodze nie przedstawiają chyba aż tak wielkiego niebezpieczeństwa.

Pomysł przyszedł w samą porę, bo pogoda psuła się najwyraźniej. Od wschodu powiał chłodny wiatr i nagonił szarych chmur, które zasnuły horyzont. Zaczął też siąpić deszcz. Wycieczki stały się coraz krótsze i chłopcy wracali z nich przemoczeni, a po dwóch nocach w ogrodzie kosmici zaczęły zdradzać objawy przeziębienia.

Na szczęście strych był już gotów na przyjęcie lokatorów. Chłopcy wyszorowali podłogi, zdjęli pajęczyny i usunęli śmieci. Rodzice byli zdumieni tym wybuchem pracowitości, ale że pogoda się popsuła, nie protestowali przeciwko przesiadywaniu na strychu.

Za kufrem wymoszczono rozbitkom wygodne legowisko i opracowano system ostrzegania. Najważniejszą rolę odgrywały w tym systemie schody, strome i skrzypiące. Dalekowie z łatwością nauczyli się odróżniać kroki rodziców, którzy zresztą bywali na strychu bardzo rzadko. Stałymi gośćmi była natomiast para nietoperzy, jeśli nie liczyć mieszkających pod okapem jerzyków. Nij przestraszył się nie na żarty, gdy po raz pierwszy nietoperz z piskiem przemknął mu tuż koło ucha, ale szybko się ze sobą oswoili. Kosmici mieli nawet owym małym ssakom trochę do zawdzięczenia. Wadą strychu były roje ciem, ogłupiałych i natrętnych, które z wyraźnym



upodobaniem postukiwały w głowy kosmitów. Nie jest przyjemne, jeśli latające stworzenie wielkości kury niespodziewanie ląduje z impetem na głowie. Otóż nietoperze okazały się sprzymierzeńcami w walce z ósmową plagą. Polowały na owady z pasją, a obtłuczeni przez nocne motyle Dalekowie, choć obce im były mordercze instynkty, przyjmowali to z cichą wstydliwą satysfakcją.

Upłynęło już trzydzieści dni, odkąd łazik z planety Dalek eksplodował w przestrzeni kosmicznej. Gdy po odejściu chłopców rozbitkowie zostali w ciemnościach sami, ogarnęła ich tęsknota za odległą ojczyzną.

– Chciałbym popatrzeć na gwiazdy – powiedział Nij.

Podeszli do okna, ale niewiele było przez nie widać, bo niebo zasłaniały gałęzie lipy.

– Spróbuj my dostać się na dach – zaproponował językoznawca.

– Ciekawe, jak – mruknął Ote.

– Nietoperze jakoś dostały się do środka, chociaż okna były zamknięte.

Przez szpary w dachu wdzierały się do środka wąskie smugi księżycowego światła. Mimo dżdżystej pogody zdarzały się gwiazdziste noce. Po kwadransie poszukiwań odkryli pękniętą dachówkę i dziurę w poszyciu, przez którą można się było od biedy precyzyjnie. Znajdowała się na szczęście tuż przy ścianie. Wspinaczka po wewnętrznej stronie dachu byłaby przedsięwzięciem zbyt karkołomnym. Wspięli się po murze. Ote zmieścił się w szparze bez trudu, natomiast Nij, który ostatnio wyraźnie przytył, ugrzązł w połowie i przedostał się na drugą stronę dopiero z pomocą Otego. Wdrapali się po dachówkach na sam szczyt i usiedli pod kominem.

Noc była bezwietrzna i jasna. Odnaleźli swoją odległą planetę i patrzyli na nią w milczeniu. Po Drodze Mlecznej mknął już pojazd ekspedycji ratunkowej, wysyłając w przestrzeń międzygwiazdową ostrzegawcze sygnały, i nawet transgalaktyczne kolosy ustępowały mu z drogi. Trzecią część podróży miał już za sobą. Trzydziestego września w godzinę po zachodzie słońca nad łąką pojawi się biała kula, miękko spłynie między drzewa dokładnie w tym samym miejscu, w którym oni wylądowali przed miesiącem.

– Po powrocie czekają nas kłopoty – westchnął Ote. – Prawdopodobnie staniemy przed sądem do spraw wykroczeń międzyplanetarnych. Wszystkie nasze sprawki wyjdą na jaw, gdy zostanie odtworzone to, co zarejestrowała pamięć. Grozi nam dyskwalifikacja i odebranie prawa podróży.

– Niczego nie żałuję. Nie zapominaj, że jeszcze niedawno groziła nam dożywotnia utrata wszystkiego... Z życiem włącznie – zachnął się Nij.

– Może wezmą pod uwagę okoliczności łagodzące i otrzymamy wyrok w zawieszeniu. Wszystko byłoby proste, gdyby Ziemia należała do Organizacji Zjednoczonych Planet.

– Gdyby ciotka miała wąsy, toby była wujkiem – odpowiedział po polsku językoznawca.

– Nie rozumiem – Ote odruchowo wyraził swoje wątpliwości w tym samym języku. Roześmieli się obaj. Następnie Nij wyjaśnił przyjacielowi, co to jest przysłowie, oraz że słowo „ciotka” oznacza pokrewieństwo drugiego stopnia, podobnie zresztą jak „wuj”, i że ciotka jest rodzajem wuja pozbawionego zarostu. Miał zamiar wygłosić krótki wykład na temat stosunków rodzinnych na Ziemi, gdy nagle poczuł silne uderzenie w głowę, a ramię przeniknął mu ostry ból. Spadzisty dach zachybotał i oddalił się. Nogi wisały w powietrzu bezskutecznie szukając punktu oparcia.

Doznanie to było tak gwałtowne i niespodziewane, że Nij nie miał przez dłuższą chwilę pojęcia, co się z nim właściwie dzieje. Drzewa i krzaki przesuwają się pod jego nogami, nie mógł unieść głowy, bo przyciskała ją do dołu jakaś piekąca, bolesna obręcz. W ciągu dwóch, może trzech sekund poszybował nad polem, ziemia przybliżała się coraz bardziej, zza drzew błysnęła księżyc i Nij ujrzał u swoich stóp cień wielkich skrzydeł. Dopiero teraz uświadomił sobie, że został porwany przez jakiegoś potężnego ptaka. Na szczęście prawe ramię było wolne. Przycisk osłony udało mu się wcisnąć w ostatniej chwili. Zanim opadł na ziemię, stracił przytomność.

Młody puchacz, który był sprawcą porwania, poczuł nagle, że jego szpony rozchyła potężna siła i łatwa zdobycz wymyka się, nim zdołał jej dosięgnąć uderzeniem potężnego dzioba. Rzucił się za nią w dół i ciężko opadł na rzysko. Jego bystre ślepia uważnie penetrowały okolice, ale na próżno.

Wielkogłowe stworzenie zniknęło w identyczny sposób, jak przy pierwszym spotkaniu. Chociaż nie. Poprzednio zniknęło, nim zdołał się do niego zbliżyć.

Teraz wyparowało z jego łap w sposób jeszcze bardziej zdumiewający. Stał z lekko rozpostartymi skrzydłami ogłupiały i zgorzony, i łypał ślepiem rozglądając się z niedowierzaniem dokoła.

Nawet jeśli, zgodnie z tym, co twierdzą naukowcy, zwierzęta, a tym bardziej ptaki, nie myślą, to bez wątplenia w nastroszonym łbie puchacza zachodziły jakieś skomplikowane procesy, bo sterczał na rzysku kilka dobrych minut, choć nie działo się tam nic interesującego. Dopiero gdy upewnił się, że nie ma co liczyć na pożywienie i zaspokojenie własnej ciekawości, rozpostarł szeroko skrzydła i wzbił się w powietrze, żeby sprawdzić, czy na dachu nie ma drugiego wielkogłowca. Doświadczenie podpowiadało mu wprawdzie, że jeśli istnieją dwie potencjalne ofiary i jedna pada łupem drapieżnika, to druga ma czas, żeby się schronić w bezpieczne miejsce, ale doświadczenie uczyło także, że jeśli puchacz ma coś w szponach, to nie wypuszcza tego łatwo. Doświadczenie miało więc niewielkie zastosowanie w tym nietypowym przypadku.

Ote, zamroczony na chwilę uderzeniem skrzydła, przekoziółkował na drugą stronę dachu, zjechał kilka metrów po stromiznie i cudem niemal uniknął upadku zaczepiając dłońmi o krawędź zsuniętej dachówki. On także nie miał najmniejszego pojęcia, co się stało. Puchacz atakujący z tyłu lotem ślizgowym był prawie niesłyszalny.

Ote wspiął się na szczyt dachu, po czym ostrożnie na czworakach zsunął się aż do okapu i rozejrzał uważnie, ale nie znalazł oczywiście ani śladu towarzysza. Zajrzał na strych, ale tam również nie było Nija. Przycupnął więc między dachówkami a poszyciem i czekał. Nie trwało to długo. Po dwóch mniej więcej minutach nad świerkami przemknął ciemny kształt, zatoczył koło wokół domu i cicho przemknął nad dachem. Ote, chociaż był bezpieczny w swojej kryjówce, cofnął się odruchowo. Nagle z całą jasnością zrozumiał, co zaszło. To, co wziął początkowo za gwałtowne uderzenie wiatru, było po prostu łopotem wielkich skrzydeł. Na myśl o tym, co mogło się stać z Ni jem, ogarnęła go panika. Czuł, że musi coś zrobić. Zerwał się na równe nogi, zsunął się jak pajak po pionowym murze i biegiem ruszył na schody. Dopiero teraz pojął, że jego spóźnione działanie nie ma już znaczenia. Pozostawało tylko czekać i mieć nadzieję.

Tymczasem Nij powoli wracał do przytomności. Tkwił ciągle jeszcze w przezroczystej kuli. Ból głowy wydawał mu się w tej pozycji łatwiejszy do zniesienia. Wreszcie wyłączył osłonę i na chwiejących się nogach powlókł się przez rzysko w stronę domu. Co kilkanaście kroków przystawał i rozcierał obolałą czaszkę.

Był już w ogrodzie, gdy nagle na drodze wyrosło mu dziwne czworonożne stworzenie. Nij trzymał w dłoni analizator przygotowany do ewentualnej obrony, mógł więc przyjrzeć się zwierzęciu w miarę spokojnie. Stworzenie także go dostrzegło, bo znieruchomiało i spoglądało na niego bystrymi czarnymi ślepkami. Nagle spiczasty pysk zniknął i zwierzę przybrało kształt najeżonej ostrymi kolcami kuli.

„Ach, więc to jest jeż”, przypomniał sobie językoznawca. Podszedł bliżej i obejrzał zwierzaka, o którego zwyczajach zdążył się już co nieco dowiedzieć. „Radzi sobie z niebezpieczeństwem nie gorzej ode mnie”, stwierdził z satysfakcją i nawet dotknął jednego z kolców. Z wnętrza kuli dobiegło opryskliwe fuknięcie.

Gdy odszedł kilkanaście kroków, jeż wytknął pyszczek, po czym rozprostował się i tupnął.

Światło paliło się jedynie w pokoju docenta. Nij usiadł na trawie, tuż przy krawędzi oświetlonego prostokąta, i zaczął się zastanawiać, co robić dalej. Drzwi były zamknięte. Najprostsza droga na strych prowadziła po pionowym murze, ale na ścianie pozostała jeszcze warstwa starego tynku, która uniemożliwiała wspinaczkę. Od biedy można się było dostać przez

piwnicę, podnosząc klapę strumieniem energii, ale drzwi łączące pokój chłopców z pomieszczeniem, w którym pracował ich ojciec, były uchylone, postanowił więc najpierw sprawdzić, co dzieje się w oświetlonym pokoju.

Pod oknami tynk był odbity, bo wymieniając okna powiększono otwory, i wspinanie się nie nastęczało większych trudności. W kilka sekund językoznawca znalazł się na parapecie. Przez chwilę leżał nieruchomo nasłuchując w napięciu. W pokoju panowała zupełna cisza. Podczołgał się do framugi, uniósł na klęczki i ostrożnie zajrzał do środka.

Docent siedział, a właściwie półleżał na krześle, głowa opadła mu na piersi, powieki miał zamknięte. Przed nim, na stole leżały rozłożone papiery, książki i skrypty. Okno było lekko uchylone. Nijowi przyszło do głowy, że w ciągu kilku sekund może przebiec po stole przed nosem śpiącego docenta, bęcnąć w osłonie na podłogę i w niespełna minutę znaleźć się na strychu, gdzie biedny Ote umiera z niepokoju od godziny. Było to oczywiście ryzykowne i niezbyt rozsądne, ale Nij zapewne z powodu kontuzji głowy miał dziwną ochotę na pewną porcję ryzyka.

Wszystko szło jak z płatka. Prawie bez szelestu klucząc pomiędzy książkami dotarł do krawędzi stołu i właśnie miał wcisnąć osłonę, kiedy podkusiło go, żeby jeszcze raz spojrzeć na śpiącego docenta, który nie zdaje sobie sprawy, że tuż przed jego nosem przechadza się przedstawiciel odległej cywilizacji. Dostrzegł szeroko otwarte, rozszerzone zdumieniem oczy i nie namyślając się dłużej skoczył w przepaść. Niewidoczna kula bezgłośnie opadła na drewnianą podłogę, przetoczyła się kilkadziesiąt centymetrów i znieruchomiała.

Kilka minut upłynęło w zupełnej ciszy i Nij nabrał przekonania, że padł ofiarą przywidzenia na skutek emocji. Był tuż przy drzwiach. Od zbawczej ciemności dzieliło go zaledwie kilka kroków. Wyzwolił się z osłony i dwoma susami dopadł progu. Za plecami usłyszał łomot przewracanego krzesła. Teraz już nie miał wątpliwości, że został zauważony. Mógł ukryć się ponownie w przezroczystej kuli, ale w panice stracił zdolność podejmowania właściwych decyzji. Uciekał na łeb na szyję, ile sił w nogach. Za plecami słyszał ciężkie kroki ścigającego. Nim przebiegł przez kuchnię, rozbłysło światło. Ostatkiem sił wbiegł po schodach na strych, a właściwie nie tyle po schodach, bo pokonywanie wysokich stopni zajęłoby zbyt wiele czasu, co po listwie odgradzającej schody od ściany. Gdy pokonał ostatni stopień, z dołu rozbłysło światło latarki. Dopiero teraz przypomniał sobie, że powinien użyć osłony.

Mężczyzna przez chwilę kręcił się na górze mrużąc niewyraźnie pod nosem. Z dołu dochodziły głosy rozbudzonych domowników. Wreszcie rozległo się skrzypienie schodów i trzaśnięcie zasuw. Po chwili drzwi wejściowe otworzono z głuchym stęknieniem i dały się słyszeć cichnące kroki.

Zza kufra wyszedł wystraszony Ote. Na widok Nija żywego i całego odetchnął z ulgą. Nie na długo jednak. To, co usłyszał z ust przyjaciela, wprawiło go w osłupienie i przerażenie.

– Więc widział cię? Nie masz co do tego wątpliwości? – pytał gorączkowo.

– Ścigał mnie aż na górę – odpowiedział smętnie językoznawca. Gnębiły go wyrzuty sumienia z powodu własnej niefrasobliwości.

Ote zwiesił głowę i rozmyślał gorączkowo. Docent wpadł na strych, po czym wycofał się i zamknął za sobą drzwi. Następnie, mimo późnej pory, wyszedł z domu. Prawdopodobnie miał zamiar zaalarmować innych ludzi. Być może zauważył, że w domu dzieje się coś dziwnego. Nie było czasu do stracenia.

– Musimy uciekać.

– Dokąd? – Nij spojrzał bezradnie na przyjaciela.

– Ukrywanie się w ogrodzie pociąga za sobą zbyt wielkie ryzyko. Na pewno będą nas tam szukali. Ukryjemy się na łące w sianie. Stamtąd będziemy mogli obserwować, co się dzieje w pobliżu domu. Musimy stąd zniknąć, zanim przystąpią do przeszukiwania strychu.

– A może zaczekać, aż Szymek z Piotrkim...

– Nie zapominaj, że oni są dziećmi, a tutaj o wszystkim decydują dorośli – uciął Ote.

– Jak się stąd wydostaniemy, przecież drzwi są zamknięte?

Ote zastanawiał się chwilę. Najprościej byłoby skoczyć z dachu w osłonie, ale w nowej sytuacji należało oszczędzać energię. Nie wiadomo przecież, czy jeszcze kiedykolwiek będą mieli okazję uzupełnić zapasy. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

– W kącie po prawej stronie leży kłębek sznurka – krzyknął do Nij a wdrapując się po murze. – Przynieś go tutaj!

Językoznawca znalazł sznurek i wspiął się za nim. Ręce miał zajęte, więc trzymał sznurek w zębach.

Ote jeden koniec przywiązał mocno do krokwi, a drugi przeciągnął przez dziurę w dachu. Do ziemi brakowało około metra, ale sznur znalazł się nad krzakiem bzu. Wystarczyło wyciągnąć rękę i uchwycić się gałęzi.

Przemknęli pod ciemnymi oknami i po chwili znaleźli się na łące. W świetle księżyca trawa wyglądała jak posypana popiołem.

Docent rzeczywiście uciął sobie krótką drzemkę. Pracował od dwóch godzin bardzo intensywnie i poczuł, że ogarnia go senność. Gdy otworzył na chwilę oczy, by przemóc znużenie, ujrzał na skraju stołu, tuż przed nosem, człekokształtne filigranowe stworzenie wyraźnie szykujące się do skoku. Gdy zamknął oczy i otworzył je powtórnie, po homunkulusie nie było ani śladu. Rozejrzał się po pokoju i nagle zobaczył go umykającego przez uchylone drzwi. Zerwał się na nogi przewracając krzesło. Szymek poruszył się w swoim łóżku niespokojnie, a Piotrek zapytał, co się stało, niewyraźnym sennym głosem. Docent wpadł do kuchni i zapalił światło. Kątem oka dostrzegł, że coś zmyka do ciemnego korytarza w stronę strychu. Chwycił leżącą na stole latarkę i popędził na schody.

Snop silnego światła omiatał wszystkie zakamarki strychu. Docent ochłonął nieco. Zaczynał mieć wątpliwości, czy należy ufać otępiałym z przepracowania zmysłom. Zdarzyło się to przecież w półśnie.

Schodząc po schodach zastanawiał się. „Jeśli człowiek widzi coś, o czym doświadczenie poucza, że nie istnieje, to znaczy, że albo to coś mimo wszystko istnieje, albo że nie widzi tego w rzeczywistości, a jedynie ulega halucynacjom”, pomyślał, a precyzja rozumowania uspokoiła go nieco. Postanowił przejść się chwilę po świeżym powietrzu.

Po kilkunastu minutach spaceru zdecydował wrócić do domu i położyć się. Rozebrał się nie zapalając światła, żeby nie budzić żony, ale kładąc się usłyszał jej cichy, pełen z troskania głos:

– Nie powinienesz tyle pracować po nocach. Przyjechałeś tu odpocząć.

Chyba masz rację, kochanie – odrzekł gładząc ją po włosach. O halucynacjach nie wspomniał ani słowem, a mimo to żona zapytała, czy coś się stało. Słyszała hałas wywołany upadającym krzesłem.

– Ach, to... – mruknął. – Coś mi się przywidziało. Zdrzemnąłem się przy stole.

Tej nocy śniło mu się, że ulicami miasta ucieka przed gromadą karzełków. Gdy obudził się, przywidzenie z poprzedniego wieczora wydawało mu się śmieszne. Wkrótce o nim zapomniał.

Szymek zderzył się z bratem w korytarzu. Zawinięte w folię śniadanie dla kosmitów wypadło mu z dłoni i rozsypało się na podłodze.

– Nie ma ich na strychu!

– Kogo? – zapytał Piotrek niezbyt przytomnie. Obudził się niedawno i kojarzył powoli.

– Naszych zieludków! – szepnął Szymek.

Weszli na górę. W kufrze było pusto. Szybko wyczerpali cały repertuar haseł i umówionych sygnałów, ale nie przyniosło to najmniejszego skutku.

Szymek spoglądał na brata z niepokojem.

– Przecież mieli bez nas nigdzie nie wychodzić.

Piotrek podrapał się za uchem.

– Chodź, rozejrzemy się koło domu – rzucił przez ramię kierując się ku schodom.

Nie było ich w szałasie ani w krzakach malin. Uwagę Piotrka przyciągnął zwisający z dachu kawałek sznurka.

– Ty to przywiązałeś? – zwrócił się do młodszego brata, ale malec pokręcił głową i wzruszył ramionami.

Weszli na strych i bez trudu znaleźli drugi koniec sznurka przywiązany do krokwi.

– Tędy uciekli – stwierdził Piotr pokazując dziurę w dachu.

– Ale dlaczego? I nic nie powiedzieli.

– Musieli się czegoś przestraszyć.

– Nij powiedział, że tym małym przestraszakiem można przewrócić nawet słonia. Może tu są duchy... – wyraził przypuszczenie malec i niepewnie rozejrzał się po mrocznym strychu.

– Głupi jesteś. Duchy są tylko w horrorach – zachnął się Piotrek.

– No tak, ale jak nie grają w filmie, to mogły przyjechać na Mazury – powiedział Szymek, który przypomniał sobie, że w Biskupcu widział kiedyś Klossa po cywilnemu jedzącego zwyczajnego loda. Szymek wprawdzie sam lubił lody, ale nie wiedzieć czemu, wydało mu się to niestosowne.

Wielogodzinne poszukiwania nie przyniosły żadnego rezultatu. Kosmitów nie było ani w ogrodzie, ani nawet w leśnej dziupli. Zaniepokojonym i zasmuconym chłopcom nie pozostawało nic innego, jak czekać cierpliwie.

Wczesnym rankiem obudził ich głośny warkot traktora. Hałas narastał z każdą chwilą. Ote wytknął głowę ze stogu i stwierdził z przerażeniem, że pojazd zmierza prosto na nich. Na ucieczkę po niedawno skoszonej trawie było już za późno. Mężczyzna w gumowych butach i berecie obszedł stóg. Sapiąc wsunął dłonie do środka, jakby szukał czegoś. Potem dał się słyszeć łomot spadającej kłapy. Nagle warstwa siana nad głową rozbitków uniosła się w górę i kosmici w ostatniej chwili zdolali ukryć się w osłonach. Widły uniosły kolejną porcję. Nij poczuł, że leci w powietrzu. Mężczyzna pracował w wyraźnym pośpiechu.

Gdy językoznawca usłyszał warkot silnika, zdecydował się na wyłączenie osłony. Znajdował się na samym dnie przyczepy, pod kilkumetrową warstwą pachnącej i szeleszczącej trawy. Otaczał go zupełny mrok.

– Ote! – krzyknął najgłośniejszym głosem, jak potrafił, ale wydawało mu się, że jego głos utonął w warkocie silnika. Po kilku sekundach odpowiedział mu stłumiony głos przyjaciela. Z trudem precyzyjnie się przez zwały siana. Odnaleźli się po omacku i stwierdzili z ulgą, że obaj są cali i zdrowi.

Podróż nie trwała długo. Po kilkunastu minutach przyczepa wypełniona sianem przestała dygotać, a przygniatający ich ciężar zaczął się zmniejszać z każdą chwilą. Kosmici ukryli się w osłonach i czekali cierpliwie na dalszy bieg wydarzeń. Zrezygnowali z ukrycia dopiero wówczas, gdy wokół zapanowała niezmacona cisza. Znajdowali się w obszernym pomieszczeniu wypełnionym sianem.

– Co to wszystko znaczy? – szepnął Nij rozglądając się dokoła.

– Prawdopodobnie urządzili obławę. Na szczęście jesteśmy zbyt mali, żeby nas mogli łatwo znaleźć – wyraził przypuszczenie dowódcy.

Rzeczywiście, wykrycie osłony w stercie siana nie było łatwiejsze niż znalezienie igły w stogu. Sytuacja była trudna, ale nie beznadziejna. Zostali wprawdzie porwani, ale nie udało się ich

zdemaskować. Zamknięto ich, ale nie odkryto i szansa ucieczki z tego miejsca wydawała się jeszcze realna. Gdy upewnili się, że nikt ich nie śledzi, przystąpili do oględzin. Wrota stodoły były nieszczelne, przez szparę między deskami mogli wymknąć się bez trudu. Czekają ich jednak przykre rozczarowanie. Ote wyjrzał ostrożnie i dostrzegł puszysty ogon wiejskiego kundla poruszający się miarowo. Na szczęście zwierzę odwrócone było do niego tyłem. Wycofał się wstrzymując oddech i wyjaśnił Nijowi, że są pilnowani przez psa.

– Możemy go przecież sparaliżować – zaproponował Nij, ale Ote uznał, że tego rodzaju środki zastosują dopiero w ostateczności. Należało znaleźć jakieś inne wyjście.

Zaczęli z trudem gramolić się na górę. Siano ugięło się i osuwało pod ich stopami. W połowie drogi Nij przypomniał sobie, że od dłuższego czasu nie mieli nic w ustach.

– Nie musisz tego w kółko powtarzać – syknął ze złością Ote, chociaż Nij powiedział to dopiero po raz pierwszy. On sam myślał o tym bez przerwy i właśnie od pewnego czasu starał się zapomnieć o doskwierającym mu głodzie.

Nij poczuł się urażony tą cierpką uwagą i dalszą drogę odbyli w milczeniu. Językoznawca znalazł się na górze pierwszy. Na krótko jednak. Nagle nad jego głową pojawiła się pstrokata, łopocząca i rozgładana chmura piór. Podmuchał powietrze zrzucił go kilka metrów w dół. Po drodze pociągnął za sobą Otego. Nastąpiło to tak niespodziewanie, że żaden z nich nie zdążył nawet pomyśleć o włączeniu osłony.

– To tylko kura – odetchnął z ulgą Nij zauważając ze zdumieniem, że oburącz trzyma kurczowo nogę towarzysza.

Ptak, gdacząc przeraźliwie, przecisnął się przez szparę pod dachem i niezdarnie łopocząc krótkimi skrzydłami wylądował za ścianą stodoły. Kosmici spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Jeżeli czegoś takiego dokonała zwykła kura, to powinno się także udać zdobywcom kosmosu. Nadzieja dodała im sił. Wspięli się na górę. Czepiając się eternitu wyjrżeli przez szparę w dachu i natychmiast wycofali do wnętrza. W pobliżu byli ludzie. Dwóch mężczyzn i kobieta.

– Musimy czekać – stwierdził Ote z westchnieniem, a Nij pokiwał smętnie głową.

Wspinaczka zmęczyła ich nieco i właśnie mieli zamiar uciąć sobie krótką drzemkę, gdy Nij dostrzegł leżący w zagłębieniu biały, owalny przedmiot. Dłuższą chwilę oglądał go w skupieniu, po czym stwierdził autorytatywnie:

– Z tego się robi jajecznicę.

Ote przełknął ślinę.

– Jajecznicę wygląda inaczej – powiedział, patrząc niepewnie na jajko.

Nij jednak upierał się, że oglądał z Szymkiem zgromadzone w lodówce jajka i poznał ich przeznaczenie.

– Trzeba czymś rozbić skorupę – rzekł rozglądając się dokoła. Przypomniał sobie leżący na legarze zardzewiały gwóźdź. Wrócił po chwili trzymając go oburącz jak włócznię.

– Zdaje się, że w środku coś się rusza – zauważył Ote, ale językoznawca spojrział na niego z lekceważeniem. Uderzenie gwoździa pozostawiło na powierzchni lekkie wgniecenie. Nij miał właśnie zamiar ostrożnie usunąć odłamki, żeby nie uronić niczego z apetycznej zawartości, gdy poczuł lekkie puknięcie od spodu. Odskokzył przerażony.

– Co to może być?

– Musiałeś się pomylić – stwierdził cierpko Ote.

Skorupa pękła i z jajka wyłonił się popiskujący kurczak. Kosmici wycofali się powoli, ale nowo wyklute stworzenie podążyło ich śladem.

– Zdaje się, że ta twoja jajecznicę ma na nas ochotę – mruknął Ote.

Kurczak gramolił się za nimi niezmordowanie, popiskując bez przerwy.

– Dlaczego to stworzenie nas ściga? – zastanawiał się Nij spoglądając niepewnie przez ramię.

– Uszkodziłeś osłonę. Chce się pewnie zemścić.

Pisklak, żółty i puchaty, wyglądał niegroźnie, ale determinacja, z jaką ich ścigał, wydawała się podejrzana. Zatrzymali się. Stworzenie przydreptało do nich natychmiast.

- O co mu chodzi? – dziwił się Nij.
- Może też jest głodne.

Usiedli zrezygnowani. Kurczak nie ruszał się z miejsca, przestępował tylko z nogi na nogę i wyciągając szyję popiskiwał z regularnością syreny alarmowej. Dalekowie wrażliwi na wysokie tony wzдрыgali się przy każdym piśnięciu.

– Mógłbyś coś zrobić, żeby zamknął wreszcie dziób – powiedział Ote patrząc ze złością na językoznawcę, który pomógł kurczakowi wkroczyć w nowy etap życia.

Dwa okrągłe błyszczące ślepka spoglądały na Nij a z takim wyrazem, jakby spodziewały się po nim nie wiadomo czego – ufnie i wyczekująco. Językoznawca poczuł się nieswojo. Powoli sięgnął do boku i ujął w dłoń analizator. Początkująca kura nie miała zamiaru uciekać. Dziobnęła pałeczkę i pisnęła rozczarowana. Nij dotknął palcem przycisku.

- O! – w jednej samogłosce wyraził bezmiar zdumienia.
- Co się stało? – zainteresował się Ote.

Językoznawca spojrzał na niego niepewnie i dłuższą chwilę wahał się z odpowiedzią.

- To niemożliwe – szepnął i jeszcze raz rzucił okiem na ekranik. Nie, to nie było przywidzenie.
- Mógłbyś mnie nareszcie poinformować, co się stało – syknął Ote niecierpliwym tonem.
- To stworzenie uważa mnie za swoją matkę – wydukał Nij.
- Kurza matka! – Ote parsknął śmiechem. – Jak mogło do tego dojść?

Wyjął pałeczkę z rąk przyjaciela i zażądał stosownych wyjaśnień. Analizator wyjaśnił przejrzysto efekt wdrukowania. Świeżo wyklute pisklą po opuszczeniu skorupki zdolne jest od razu do samodzielnego ruchu, ale wymaga jeszcze przez długi czas opieki rodzicielskiej. Jego związek z matką utrwała natychmiast efekt wdrukowania w umyśle pisklęcia pierwszego ujrzanego stworzenia. Jego obraz uznaje natychmiast za wizerunek rodzicielki i podąża za nim wydając przy tym odgłosy, które pozwalają matce zlokalizować je i odnaleźć w razie potrzeby. W przypadku kurczenia pierwszym ujrzanym stworzeniem jest na ogół kura.

– Ładna historia – mruknął Ote, a kurczak pisnął, jakby chciał potwierdzić diagnozę analizatora, przysunął się do osłupiałego językoznawcy. – Dobrze sobie! Jajecznicza. Jesteś teraz matką jajeczniczy.

- Nie mogę być matką. Nie mam żadnych kwalifikacji – protestował głośno Nij gorączkowo wymachując rękami.
- Trzeba było uważać – stwierdził Ote oziębło – teraz jest już za późno.

Nij usiadł zrezygnowany, a kurczak przydreptał do niego, wsunął mu łepkę pod pachę i natychmiast zasnął. Uganianie się za wyrodną rodzicielką najwyraźniej go wyczerpało. Nij miał zamiar skorzystać z tej okazji, aby uwolnić się od natrętnego stworzenia, ale Ote powstrzymał go ruchem ręki.

– Siedź spokojnie, bo on znowu zacznie wydawać te przeraźliwe dźwięki i ściągnie nam na kark ludzi – wyjaśnił.

Nij westchnął i z rezygnacją pogładził palcem żółty łepkę. Po kilku minutach Dalekowie oraz ich ziemski podopieczny spali przytuleni do siebie.

Nijowi śniły się pękające jaja i tysiące natrętnych kurcząt tropiących go w stertach siana przy akompaniamencie przeraźliwych popiskiwań. Obudziły go wyrzuty sumienia z powodu niechcianego macierzyństwa. Na wszelki wypadek leżał w bezruchu czując u swego boku ciepło ufnego, puszystego stworzenia. Ote również otworzył oczy.

- Trzeba się go jakoś pozbyć – powiedział półgłosem spoglądając na żółtego prześladowcę.
- Pozbyć się? – Nij wyglądał na poruszonego tymi słowami. – On potrzebuje opieki. Nie możemy go tak zostawić.
- Nie zamierzasz chyba brać go na wychowanie – zachnął się Ote. – Nie mamy warunków.

Nij przyznał mu rację w milczeniu. Sami głodowali od pewnego czasu i nie mieli ani środków, ani możliwości, żeby zapewnić młodej kurze odpowiedni standard.

Tymczasem zapadł wieczór i w stodole pojawiły się chmary komarów, które bezskutecznie usiłowały przebić powłoki kombinezonów. Nasunęło to Nijowi pewien pomysł. Obserwował kiedyś w ogrodzie czyżyka karmiącego małe i przypomniał sobie, że w skład pożywienia wchodziły drobne owady. Nie namyślając się długo błyskawicznym ruchem dłoni schwytał w locie komara i wepchnął go kurczęciu do dzioba. Przyjęte to zostało z wyraźnym ukontentowaniem, więc Nij polował, dopóki ręce nie opadły mu ze zmęczenia.

Kurczak uspokoił się i sprawiał wrażenie zadowolonego. Gdy zapadł mrok, zasnął u boku głodnego i zmęczonego Nija.

O świcie pojawiła się w stodole kwoka. Był to ten sam ptak, którego spłoszyli poprzedniego dnia. Nij szepnął towarzyszowi, żeby ukrył się w sianie. Sam zrobił to samo ku wyraźnej rozpaczycy kurczęcia. Po chwili kura zbliżyła się do nich ostrożnie, wydając pełne zgorzienia gdakanie. Zachowywała się jak matka, która zauważyła pozostawione bez opieki dziecko, i sprawiał a wrażenie, że gotowa jest zająć się małym. Nij odetchnął z ulgą. Na razie wszystko przebiegało po jego myśli. Kurczak nie przejawiał jednak specjalnego zainteresowania swoją naturalną matką.

– Co masz zamiar zrobić? – szepnął Ote.

– Spróbuję hipnozy. Może uda mi się usunąć w transie ten fatalny efekt. Ty zajmij się kurą, żeby nie zwała nam za wcześniej.

Minęło kilka minut, zanim udało uwolnić się od niepożądanego towarzystwa. Ukryli się na krokwi pod dachem i stamtąd obserwowali dalszy przebieg wydarzeń.

Kwoka otrząsnęła się z odrętwienia i prawie natychmiast zajęła się kurczęciem, które wciąż jednak sprawiało wrażenie, jakby szukało przybranej matki. Kosmici mieli jednak własne, daleko poważniejsze kłopoty. Mimo wczesnej pory po podwórku kręcili się już ludzie.

Postanowili czekać na odpowiedni moment, żeby niepostrzeżenie wykonać szybki desant z dachu stodoły i zniknąć wśród zarośli. Kobieta myła pod studnią aluminiową bańkę i płukała wiadro. Wkrótce zniknęła w drzwiach obory. Mężczyzna, ten sam, który zgarnął ich z łąki, rąbał drzewo. Nie musieli wyglądać, żeby upewnić się, że jest w pobliżu. Co chwila dobiegały ich miarowe uderzenia siekiery. Czekali cierpliwie. Mężczyzna zniknął wreszcie w domu, ale na podwórku pojawiła się kobieta z dwoma wiadrami. Słychać było skrzypienie łańcucha u studni, potem dał się słyszeć warkot uruchamianego silnika. Przez szeroko otwarte wrota wyjechał się na drogę traktor. Gdy zaległa cisza, wyjrzeni ostrożnie. W pobliżu nie było nikogo. Przygotowali się do skoku na stertę starej zleżalej słomy, gdy po raz kolejny na podwórku pojawiła się kobieta. Chwilę krzątała się po obejściu i miała właśnie zamiar wejść do domu, gdy uwagę jej zatrzymał jakiś ruch na drodze. Przysłoniła dłonią oczy i popatrzyła w tę stronę.

Dalekowie, których pole widzenia ograniczał skraj dachu nie widzieli, co się tam dzieje. Kobieta tymczasem zeszła ze schodów wycierając dłonie w zapaskę.

Nij wymamrotał pod nosem jakieś galaktyczne przekleństwo. Kobieta podeszła do studni i powoli zaczęła obracać korbę. Łańcuch zgrzytał przeraźliwie. Na podwórko wtoczył się rower.

Nij spojrzał w dół ciekawie i nagle wykonał gwałtowny ruch, po którym niechybnie straciłby równowagę i runął w dół, gdyby nie pomoc Otego.

– Mógłbyś zachowywać się ostrożniej – skarcił go nawigator.

– Popatrz – szepnął Nij z dziwnym wyrazem oczu.

Spojrzał w dół i sam o mało nie stracił równowagi. Obok kobiety, trzymając w dłoni niewielkie plastikowe wiaderko, stał Piotrek.

– To przecież Piotrek – wyszeptał Ote z niedowierzaniem. – Co on tu robi? – Nagle przyszło mu na myśl, że może chłopiec ich zdradził i przyłączył się do prześladowców, ale sam zawstydził się własnych podejrzeń. To niemożliwe. Nie miałyby to najmniejszego sensu.

Z głębi studni wyłoniła się bańka, pokrywka podskoczyła ze szczękiem i strumień białego płynu zabulgotał w wiaderku.

– To mleko – przypomniał sobie Nij. – Przyjeżdża tu po mleko! Szybciej! Skaczemy!



Tym razem nie wahali się ani chwili. Wylądowali w osłonach na słomie i korzystając z tego, że kobieta była odwrócona do nich plecami przebiegli kilka metrów dzielących ich od niewysokich zarośli. Tu zawahali się moment.

– Dokąd? – zapytał Nij.

– Zaraz będzie wracał. Musimy mu przeciąć drogę! – krzyknął Ote i ruszył biegiem po kartoflanej bruździe. Obawa, że rower przetoczy się tuż obok, zanim znajdą się przy drodze, dodała im sił. Biegli, padali, podnosili się i dalej pędzili przed siebie smagani przez kartoflaną nać. Do drogi dobiegli jednak za późno. Rower zabrzączał tuż nad ich głowami i plecy Piotrka zaczęły się oddalać.

– Piotreeek! – wrzasnął Nij na całe gardło nie dbając już o zachowanie środków ostrożności. Rower pędził dalej, ale po przejechaniu kilkunastu metrów nagle zahamował. Wiadro zachwiało się i struga mleka prysnęła spod pokrywy. Chłopiec rozglądał się niepewnie.

Kosmici krzyżąc i machając rękami wypadli z kartofliska. Chłopiec chciał rzucić rower, ale w porę przypomniał sobie o mleku. Zakręcił gwałtownie w miejscu i ruszył pędem w stronę przyjaciół.

– Szybciej! Włóżcie pod koszulę! Tu może was ktoś zobaczyć – zakomenderował przytomnie. Gdy posłusznie wykonali polecenie, mocno nacisnął na pedały. Po kilku minutach znaleźli się w wysokim lesie. Piotrek zjechał w boczną, rzadko używaną drogę i zatrzymał się na skraju młodnika. Oparł rower o drzewo i przykleknął. Kosmici zsunęli się z ręcznic po jego udach i wszyscy trzej przekrzykując się nawzajem zaczęli wyrażać radość z niespodziewanego spotkania.

– Dlaczego uciekliście? – zapytał chłopiec, gdy ochłonęli nieco. Nij opowiedział pokrótce przygodę z docentem. Piotrek sprawiał wrażenie zdumionego.

– Ojciec na pewno cię nie zauważył. Musiało ci się wydawać, Nij.

– Widział mnie na pewno – upierał się językoznawca.

– Dziwne – stwierdził chłopiec – nie wspomniał o tym ani słowa... Zaraz, zaraz – przypomniał sobie po chwili – matka mówiła, że ojciec jest przemęczony i ma jakieś halucynacje, ale nie myślałem, że to chodzi o was.

– Jak to – zdziwił się Ote – przecież szukano nas na łące. Skąd byśmy się tutaj wzięli... Twój ojciec musiał ich zawiadomić, że ukrywamy się prawdopodobnie w którymś stogu.

Teraz z kolei Piotr przestał cokolwiek rozumieć i dopiero po szczegółowych wyjaśnieniach zrozumiał, co się zdarzyło. – Zwózka siana nie miała z wami nic wspólnego. Zabrano was przypadkiem. Zanosilo się na deszcze i siano nie mogło zostać na łące – oznajmił ze śmiechem. – Możecie wracać do nas bez obawy. Nikt nic nie wie o tym, że tu jesteście.

Naradzali się chwilę w swoim języku, a Piotrek patrzył z niepokojem na ich blade i wymęczone po dwudniowej tułaczce twarze.

– Jesteście pewnie głodni – powiedział marszcząc brwi.

Przyznali, że przeżyli dwa ostatnie dni bez przerwy na posiłek.

– Mam przecież mleko! – ucieszył się Piotrek.

Pojenie Daleków z wiadra było równie trudne, jak picie kompotu z wanny. Na szczęście w pobliżu rósł rozłożysty dąb, pod którym udało im się znaleźć kilka żołądzi. Ich czapeczki posłużyły za dość poręczne naczynia. Kosmici wychylili po kilkanaście czapeczek śmietanki, która zebrała się na powierzchni, i ich brzuchy stały się niemal tak okrągłe jak ich głowy. Obaj sapali z ukontentowania wypoczywając w trawie.

– Wstawać, pasibrzuchy – zakomenderował chłopiec po kwadransie. – Wracamy do domu. Pojedziemy boczną drogą. Nie zdarzyło mi się jeszcze, żebym tam kogoś spotkał. Siądziecie mi na ramionach i będziecie trzymali się kołnierza, żeby nie spaść. W ten sposób będę mógł słyszeć, co mówicie.

Jechał powoli gawędząc po drodze z zaziemskimi przyjaciółmi. Radość ze szczęśliwego spotkania kazała im zapomnieć o zachowaniu środków bezpieczeństwa. Żaden z nich nie dostrzegł dwóch ludzi stojących na skraju lasu, którzy przypatrywali się im osłupiali ze zdumienia.

Pan Wacek i pan Stefan spędzali wczasy w położonym nad jeziorem ośrodku domków kempingowych. Obaj byli emerytami i zapalonymi grzybiarzami. Wstawali o świcie i przemierzali las w poszukiwaniu kurek, kozaków i borowików.

– Słabowato dzisiaj – rzekł pan Stefan zaglądając do kobiałki, na dnie której leżało kilkanaście grzybów.

– Nie pada, to i nie rosną – skrzywił się pan Wacek.

– Co też pan, panie Wacku? Przecież nie dalej jak wczoraj padało – zaproponował pan Stefan.

– E, co to za deszcz. Tyle, co kot napłakał.

Zatrzymali się na skraju drogi słysząc nadjeżdżającego rowerzystę. Gdy rower przemknął obok, pan Wacek otworzył szeroko usta. Sztuczna szczeka opadła po chwili z głośnym kłapnięciem. Pan Stefan wzdrygnął się.

– Widział pan to? – zapytał zduszonym głosem.

– Pewnie, że widziałem. Ślepy nie jestem – obruszył się pan Wacek, który miał słaby wzrok i przejawiał na tym punkcie drażliwość.

– Co to było? – zastanawiał się głośno pan Stefan. – Małpa, nie małpa?

– Jaka tam małpa, panie Stefku. Widzę, że pan z zoologią małowato obznajomiony – wzruszył ramionami pan Wacek.

– Coś takiego! – mruknął do siebie pan Stefan.

– Elektronika, panie Stefku! Zabawkarstwo poszło do przodu. Takie rzeczy teraz robią. Jakby pan „Sondy” oglądał, to by się pan nie dziwił – tonem besserwissera wyjaśnił pan Wacek.

– Od sądów to ja wolę się trzymać z daleka – oznajmił pan Stefan, który zdążył już nieco ochłonąć, i rozmowa zesłała na tory związane z przestępczością i spekulacją.

W ten sposób wiedza oddaliła obu starszych panów od poznania. Nieświadomy niczego Nij został uznany za cybernetyczną zabawkę, a pan Stefan przestał się czemukolwiek dziwić.

Kajak posuwał się tym samym kursem, co w dniu, gdy chłopcy spotkali na swej drodze zbiegłych więźniów, ale od tego czasu upłynął już z górą miesiąc i sierpniowe słońce nie prażyło już tak mocno jak przed pięcioma tygodniami.

Szymek nucił pod nosem jakąś własną kompozycję i wystukiwał rytm palcem na burcie. Nij wtórował mu piskliwym głosikiem. Gładka powierzchnia jeziora lśniła metalicznym blaskiem, a spośród trzcin dobiegało kwakanie. Ote siedząc na dnie kajaka przyglądał się uważnie wiosłującemu w milczeniu Piotrkowi.

– Wyglądasz na zmartwionego – stwierdził wreszcie.

Piotrek otrząsnął się z zamyślenia.

– Co powiedziałeś?

– Jesteś smutny. Tak mi się wydaje.

Piotrek odłożył wiosło i przetaił dłonią oczy.

– Za kilka dni koniec wakacji. Będziemy musieli wrócić do Warszawy – powiedział smętnym głosem.

Ote zasepił się. Dotąd starał się nie myśleć, co będzie dalej, ale czas upływał nieubłaganie i rozstanie stawało się coraz bliższe.

– Kiedy? – spytał Ote.

– Od poniedziałku zaczyna się szkoła. Pewnie w niedzielę.

– A co będzie z nami? – powiedział Nij wychylając się zza pleców Szymka. Od pewnego czasu przysłuchiwał się tej rozmowie.

– Jak to co? Pojedziecie z nami! – stwierdził Szymek. Dla niego nie istniały problemy.

Ote uśmiechnął się blado.

– To zbyt niebezpieczne – rzekł smutnym głosem.

– Za dużo ludzi – dodał Nij.

– Nie możecie przecież zostać sami, bo kto się będzie wami opiekował! – upierał się malec.

– Dom będzie pusty. Potrzebujemy tylko prowiantu na miesiąc – zaczął z namysłem Ote, ale wtrącił się Piotrek.

– Ojciec wspominał, że we wrześniu może tu zjawić się kuzynka profesora ze swoim chłopakiem.

– Nie mówiłem – ucieszył się Szymek. – Musicie jechać z nami i już!

– Dom znamy dobrze... – zastanawiał się Ote.

– Ale będzie wam smutno – zmartwił się Szymek. – Piotrek, powiedz im, żeby pojechali z nami.

U nas w pokoju jest fajnie.

Piotrek wzruszył ramionami.

– Myślisz, że mam ochotę ich tu zostawiać? Zrozum, że nie można ich narażać. I tak najedli się już dosyć strachu.

– No tak – przyznał Szymek – ale przecież możemy ich schować w naszym pokoju tak, żeby ich rodzice nie znaleźli. A tutaj, kto ich schowa? I będą bez opieki.

Patrzyli na siebie niepewnie, bo w argumentacji malca kryło się trochę racji. Można wprawdzie zgromadzić odpowiednie zapasy żywności, ale nie ma żadnej gwarancji, że nie zjedzą ich myszy. Piotrek podzielił się z resztą towarzystwa swoimi obawami. Wszyscy zgodzili się skwapliwie, że tego rodzaju problem istnieje.

– Może rzeczywiście będzie wam z nami bezpieczniej? – zapytał Piotrek z nadzieją.

Ote wahał się, Nij nie wypowiedział jeszcze głośno swego zdania, ale w głębi duszy miał ochotę zaryzykować podróż do miasta.

– Wasz pokój nadaje się na kryjówkę? – zapytał rzeczowo. Piotrek zastanawiał się chwilę.

– Z tym nie byłoby problemu. Poza tym rodzice pracują, w domu nie ma ich przez dziesięć godzin. Gorzej byłoby ze spacerami...

– Wcale nie – przerwał mu Szymek.

– A gdzie z nimi pójdziesz? Do parku? Na ulicę?

– Na ulicę i do parku – upierał się Szymek. – Tylko w przebraniu.

– W czym? – starszy brat wytrzeszczył oczy.

– Mam starego miśka, który już nic nie ma w środku i wygląda jak szmata, i jest tylko trochę wyższy od Nija. Jak Nij to założy, to nikt nie pozna, że jest z innej planety. Dla Otego też coś znajdzie.

– O czym on mówi? – zainteresował się Ote. – Co znaczy „miśka”?

Piotrek wytłumaczył, o co chodzi, a Dalekowie popatrzyli na siebie niepewnie.

– A ty, co o tym sądzisz? – Ote zwrócił się do starszego chłopca.

– Mały wykombinował to całkiem niezle...

– Tylko nie mały! – obruszył się Szymek, który od początku nie miał wątpliwości, że dotrą w komplecie do Warszawy.

– Ja jestem zdecydowany – stwierdził Ote. – Teraz wszystko zależy od Nija.

– Ode mnie? – zdziwił się językoznawca. – Ja od samego początku chciałem z nimi jechać.

Piotrek ujął wiosło i po chwili dziób kajaka rozciął gładką tafłę wody. Szymek zaczął śpiewać na całe gardło jakąś nową, niezbyt artykułowaną improwizację, wprawiając w popłoch mieszkańców okolicznych trzcin, a dwie zielone, filigranowe postacie siedziały na dnie łódki z podkurczonymi nogami. Ich płaskie twarze rozszerzał uśmiech.

O jednym tylko żaden z nich nie pomyślał: jak wrócą za miesiąc na miejsce, w którym oczekiwała ich będzie ekspedycja ratunkowa.

W sobotę docent przyjechał maluchem pożyczonym od brata. W ciągu ponad dwumiesięcznego pobytu na Mazurach rodzina zdołała ściągnąć z Warszawy takie ilości garderoby na każdą okazję, przetworów i nowych nabytków, wyszukanych w okolicznych miasteczkach, z których każdy zdaniem matki stanowił wyjątkową i niepowtarzalną okazję, że powrót autobusem albo pociągiem stał się czystą niemożliwością.

– Co to jest? – zapytał docent spoglądając szeroko otwartymi oczami na stertę tobołów, paczek i walizek.

– Już prawie wszystko spakowane – z dumą zameldowała matka.

– Czy to znaczy, że jest tego jeszcze więcej? – spytał niezbyt logicznie, na co żona zwróciła mu natychmiast uwagę.

– Tu nie chodzi o logikę, tylko jak my się zmieścimy w samochodzie! – wykrzyknął ze zgrozą.

– Jak zwykle przesadzasz, kochanie – odpowiedziała matka z uśmiechem. Pod względem ilości przedmiotów, które należało zabierać przy różnych okazjach, wykazywała zwykle niezmacony optymizm.

Docent ciężko usiadł za stołem i na kartce papieru przeprowadził drobiazgowo obliczenia, z których niezbitnie wynikało, że takich ilości bagażu nie pomieści mały fiat żadną miarą. Wynik obliczeń zreferował żonie.

Rzuciła pobieżnie okiem, machnęła ręką i stwierdziła spokojnie, że jakoś się to poupycha.

– Nie ma w tobie krztyny realizmu! – wykrzyknął docent potrząsając kartką jak narzędziem mordy. – Jesteś fantastką!

– Poukładam jajka w tortownicy.

– Żadne jajko nie dojedzie w całości w takich warunkach!

– A mówiłam, że się zmieści! Niepotrzebnie wpadasz w panikę – odparowała natychmiast matka uznając, że jeśli jajka nie dojadą w całości, to znaczy, że jednak zmieszczą się i pojedą.

Ojciec stał nad stertą paczek, walizek, tobołów i klamotów wpatrując się w nią takim wzrokiem, jakby czekał, że w pewnej chwili góra przedmiotów zacznie się kurczyć i jeśli nie zniknie, to przynajmniej zmniejszy się o połowę. Ponieważ jednak nic takiego nie nastąpiło, z ciężkim westchnieniem usiadł na krześle i wbił wzrok w podłogę. Wyglądał na człowieka zrezygnowanego i pogodzonego z losem. Tego wieczoru nie odzywał się prawie do nikogo. Pytany odpowiadał monosylabami, jak osobnik ciężko doświadczony. Matka nie przejmowała się jednak zbytnio. Podśpiewując pod nosem krążyła wokół stosu przedmiotów upychając, przepakowując, ujmując i dokładając.

Chłopcy po raz ostatni wymknęli się nad jezioro. Siedli na pomoście podciągając kolana pod brodę i patrzyli w zamyśleniu w wodę. W trzinach coś zaszeleściło. Piżmak wysunął głowę i patrzył na nich chwilę, po czym wycofał się bez pośpiechu. Nad głowami chłopców przelatywały tabuny jaskółek szykujących się do odlotu, zapadały w zarośla, cichły na moment, by zaraz poderwać się do gromadnego lotu.

Stojący w chlebaku Dalekowie wyglądali teraz jak pasażerowie spacerowego statku wsparci ramionami o burtę. Ich także ogarnęła nostalgia i lekki smutek.

Pierwszy odezwał się Szymek:

– Przyjedziemy tutaj jeszcze?

– Może kiedyś – odpowiedział Piotr cicho.

– I Nij i Ote też będą z nami?

Tym razem nikt mu nie odpowiedział.

– Bez nich to będzie nieważne – stwierdził Szymek i pociągnął nosem. Chciało mu się troszeczkę płakać i żałował, że jest już na to za duży.

Na środku jeziora rozległo się tęskne, pełne żalu kwakanie. W kilku prostych dźwiękach kaczorowi udało się wyrazić to, co czuła czwórka przyjaciół żegnając wakacyjny azyl. Choć nie żegnali się przecież ze sobą, czuli, że kończy się nieodwołalnie najdłuższy etap ich krótkiej znajomości. Był w tym przedsmak rozstania.

Ostatniej nocy wszyscy domownicy mieli kłopoty z zaśnięciem. Matka przewracała się w łóżku dręczona niepokojem, że być może zapomniała o spakowaniu czegoś ważnego. Ojciec miał przed oczami stos kłopotów, którego gabaryty wedle wszelkiego prawdopodobieństwa przekraczały ładowność małego samochodziku. Dalekowie czuli podróżną gorączkę, jakby chodziło o lata świetlne, a nie o głupie dwieście kilometrów.

Szymek wyobrażał sobie, jak przyjemnie będzie mieszkać pod jednym dachem z niezwykle przyjaciółmi, a jego starszy brat starał się wyobrazić sobie wszystkie niebezpieczeństwa mogące zagrażać jego kosmicznym podopiecznym.

Wczesnym rankiem obudził ich klakson, a po chwili w drzwiach ukazał się spocony, ale zadowolony ojciec.

– Stał się cud – rzekł podniosłym tonem.

– Co się stało!? – zapytała matka zaszpanym głosem, w pośpiechu wciągając na siebie szlafrok.

– Tato mówi, że cud – wyjaśnił Szymek.

– Rzeczy zostały spakowane. Juliusz Cezar przekraczając Rubikon nie powiedział zapewne „Kości zostały rzucone” z większym patosem.

– Jezus, Maria, a już myślałam, że coś się stało – obruszyła się matka.

Docent spojrzał na nią z niemym wyrzutem.

– Resztę spakujemy po śniadaniu – rzuciła przez ramię matka.

– Nie! – krzyknął docent, ale jego żona puściła mimo uszu rozpaczliwy głos protestu.

W ciągu dwóch godzin dom został dokładnie sprzątnięty i zamknięto go na wszystkie spusty. Docent usiadł za kierownicą objuczonego jak bagażowy osioł fiata i przymknął powieki. Kiedy je otworzył, tuż przed maską samochodu dojrzał Szymka z tekturowym pudełkiem w dłoni i żonę z dwoma plastikowymi torbami.

– Dostyc! – krzyknął i zatrąbił przeraźliwie. – To pudło nie pojedzie!

– Dlaczego ma nie jechać? – zdziwiła się matka wpychając mu torbę pod nogi.

– Co tam masz w środku? – spytał surowym tonem ojciec usiłując wygramolić się zza kierownicy.

Chłopiec przycisnął pudełko do piersi i cofnął się o krok. Jego wargi poruszyły się bezgłośnie.

– Tato, on ma tam swoje zabawki. Niech nie otwiera, bo się powysypują – wtrącił się przytomnie Piotrek.

– Dla was to zabawki, a mnie chodzi o życie – jęknął ojciec, ale zrezygnował z dalszego dochodzenia. Przekręcił kluczyk w stacyjce i wcisnął sprzęgło. Szymek wślizgnął się do środka zasłaniając pudełko własnym ciałem.

Do Warszawy dojechali po czterech godzinach. Warkot silnika w tyle wozu zagłuszał wszystko skutecznie, więc zamknięci w pudle Dalekowie mogli rozmawiać w podróży, bez obawy, że zostaną usłyszani.

Klucz obrócił się w zamku dwa razy. Oddalające się kroki zastukotały na lastrykowej podłodze korytarza. Winda stęknęła głucho i ze zgrzytem zaczęła opadać w dół. Piotr nasłuchiwał chwilę, po czym biegiem rzucił się do pokoju. Odnalazł klucz i wysunął szufladę.

– Wyłażcie, matka poszła po zakupy!

Nij przeciągnął się opierając plecy o krawędź biurka. Ote przecierał dłońmi zaspane oczy.

– Nie jest tam za duszno? – zaniepokoił się Piotrek.

– Da się wytrzymać – odpowiedział Nij ziewając. – Szymka jeszcze nie ma?

– Zaraz po niego pójde. Jest w przedszkolu.

– Co to? – Ote uniósł głowę i nasłuchiwał przez chwilę.

– Pewnie lodówka – wyjaśnił Piotrek. – Nudno wam tutaj?

– Słuchamy radia – Ote wskazał dłonią stojący pod biurkiem radiomagnetofon. Odbiornik był wyciszony do granic słyszalności, ale Dalekowie mieli swoje sposoby na wzmocnienie emitowanego dźwięku. Stanowiło to ich jedyną rozrywkę, gdy rodzice chłopców byli w domu, a oni musieli przebywać w zamknięciu. Przed południem zostawali na ogół w domu sami, mogli wówczas oglądać w telewizji programy dla pierwszej zmiany i czytać książki. Poznali dokładnie rozkład zajęć rodziców i nim w drzwiach rozległ się zgrzyt klucza, chowali się w szufladzie i zatrząskiwali zamek od środka.

– Dzisiaj po południu uszyjemy dla was kostiumy wyjściowe. Szymek miał zamienić w przedszkolu z kumplem pszczołkę Maję na starą małpę z pluszu. Ma dwadzieścia pięć centymetrów wzrostu. Powinna w sam raz pasować na Otego.

– A co z miśkiem? – chciał wiedzieć Nij, który nie mógł się doczekać zwiedzania miasta w charakterze przebierańca.

– Dałem ją jednej dziewczynie, żeby wstawiła zamek błyskawiczny – odrzekł Piotrek mając na myśli skórę pluszowego niedźwiadka.

– Zamek błyskawiczny? – zdziwił się Nij.

– Ona też wydziwiała, ale zgodziła się. Małpie też wstawimy zamek, to ogromnie ułatwia sprawę. Nie będę was musiał w kółko zaszywać.

– Czy ta małpa ma ogon? – zainteresował się Ote. – Wolałbym jakąś bez ogona.

On także był podekscytowany rychłą perspektywą opuszczenia kryjówki w przebraniu.

– Ogon można odpruć – rzekł chłopiec machając ręką lekceważąco.

– Ale czy to nie wyda się podejrzane?... Małpa ogoniasta pozbawiona ogona może budzić pytania i wątpliwości.

– Nie znasz życia, Ote – Piotrek skwitował śmiechem te przesadzone obawy.

Drzwi trzasnęły nagle i dobiegł ich odgłos przekreścanego w zamku klucza. Dalekowie rzucili się w głąb szuflady, a Piotrek poderwał na równe nogi. Kolejność odgłosów wskazywała na to, że ktoś przed chwilą opuścił mieszkanie. Chłopiec przypomniał sobie dźwięk, który dobiegł z kuchni. Nikt inny, tylko matka musiała wrócić do domu niespodziewanie, a oni nawet tego nie zauważyli. Słyszała na pewno dochodzące z pokoju głosy, bo rozmawiali przecież głośno, nie krępując się zupełnie.

Nim winda osiągnęła piąte piętro matka zorientowała się, że wyszła po zakupy bez pieniędzy. „Zawsze czegoś zapominam”, uświadomiła sobie ze wstydem. Jej roztargnienie było stałym tematem rodzinnych żartów. Postanowiła wrócić do domu ukradkiem. Wcisnęła przycisk noszący numer pięć i weszła na szóste piętro po schodach. Po korytarzu stąpała na palcach i weszła do domu prawie bezszelestnie. Było to wprowadzie bez znaczenia, ale dość już miała pełnych pobłażliwej ironii spojrzeń domowników.

Drzwi prowadzące do pokoju syna były przyknięte. Zajrzała do kuchni. Portmonetka leżała na lodówce. Zdaje się, że odłożyła ją, żeby sprawdzić, czy jest jeszcze wystarczająca ilość śmietany. Wrzuciła pieniądze na dno siatki i nagle poczuła odruch buntu. Dlaczego właściwie ma zakradać się do własnego domu? Dlaczego nie wolno jej o czymś zapomnieć, skoro i tak musi o wszystkim pamiętać? Ciekawe, jak by to wszystko wyglądało, gdyby nie jej starania...

W korytarzu usłyszała dobiegającą zza drzwi pokoju chłopców rozmowę i ku swemu zdumieniu rozpoznała głos Szymka. To niemożliwe! On jest przecież w przedszkolu.

– A co z miśkiem? – zapytał Szymek.

Przeszła przez korytarz i położyła rękę na klamce. Chodnik stłumił odgłos jej kroków. Zawahała się.

– Zamek błyskawiczny? – spytał głos, który bez wątpienia należał do jej młodszego syna.

Za drzwiami dzieje się coś niesamowitego, coś, co nie mieści się w głowie. Jej ciałem wstrząsnął dziwny dreszcz. Poczła też, że dłoń spoczywająca na klamce drży lekko. Prawdę mówiąc, bała się zajrzeć do środka.

Nagle wydała z siebie bezgłośny śmiech i emocje opadły. Oczywiście znowu o czymś zapomniała. Przed paroma dniami chłopcy, obaj urodzeni w pierwszych dniach września, otrzymali w prezencie radiomagnetofon.

– Ale czy to nie wyda się podejrzanę?... – dobiegł ją zza drzwi cienki i zniekształcony głos Piotrka. – Małpa ogoniasta pozbawiona ogona...

Wycofała się ze wstydem. Nie miała już wątpliwości, że chłopcy nagrali kolejną audycję według własnego pomysłu. Otworzyła cicho drzwi wejściowe, ale gdy sięgała po klucz, drzwi zatrzęsły się głośno.

– Co to było? – zapytał Ote z głębi szuflady.

– Zdaje się, że to mama wróciła, bo znowu czegoś zapomniała.

Piotrek ochłonał już nieco.

– Musiała nas słyszeć – niepokoił się Ote.

– Na pewno niczego nie słyszała – uspokajał go chłopiec. – Gdyby słyszała, zajrzałyby do pokoju. Wszystkie matki są niezwykle ciekawe, co się dzieje z ich dziećmi, a nasza nie jest wyjątkiem.

Brzmiało to tak przekonywająco, że sam gotów był uwierzyć. Piotrek również był zaniepokojony tym, co się stało przed chwilą, ale wolał nie dzielić się swoimi obawami, dopóki tego nie przemyśli gruntownie. Nij i Ote mają wyraźne skłonności do paniki. Są zbyt przewrażliwieni, co jest zrozumiałe u osób ukrywających się od miesięcy. Tymczasem nie było powodów do wzniesienia alarmu.

– Masz tę małpę? – zapytał małego, gdy opuścili przedszkole.

– No pewnie!

Szymek wydobyl z kieszeni wymiętą pluszową szmatkę.

– Trzeba ją wyprać. Jest bardzo stara i zakurzona.

– Boję się, że po praniu będzie za mała.

Piotrek zauważył z ulgą, że zabawka ma tułów i kończyny wykonane z dwóch kawałków materiału. To ogromnie ułatwiało sprawę. Szycie nie było specjalnością żadnego z chłopców, poza tym taka przenicowana małpa mogłaby wyglądać dziwnie.

– Jej też trzeba wszyć zamek – przypomniał malec.

– Mam lepszy pomysł. Odprujemy ogon i robi się z niego taką łate-klapę. Ote będzie się dostawał do środka od tyłu... Niezły pomysł z tymi zabawkami – powiedział Piotrek klepiąc brata po ramieniu.

Wieczorem oba kostiumy były gotowe. Piotrek przyniósł od koleżanki misia z wszytym eklerem, z małym strojem chłopcy poradzili sobie sami.

Po ósmej rodzice wybrali się do sąsiadów na brydża. Dalekowie mogli więc opuścić szufladę. Pluszowe szmatki ułożone obok siebie na tapczanie Szymka przypominały wyjściowe stroje. Atmosfera była uroczysta. Zupełnie jak przed balem w czasach, kiedy nie było jeszcze dyskotek. Nij przebrał się pierwszy. Chłopcy przyglądali się krytycznie.

– No jak? – stłumionym głosem spytał niedźwiadek.

– Możesz oddychać? – zainteresował się Piotrek.

– Oddycham, ale niewiele widzę.

– Zdejmij, to powiększymy dziury – zakomenderował Piotrek sięgając po nożyczki.

– Dobrze wyglądam? – chciał wiedzieć językoznawca.

– Jesteś za chudy – odpowiedział Szymek, który z racji wieku znał się na misiach.

– Chcę wyglądać, jak prawdziwy niedźwiadek pluszowy. Trzeba coś wymyślić.

– Chyba nie masz na myśli jakiejś specjalnej tuczającej diety – wtrącił zgryźliwie Ote i dodał: – Na ziemi przytyłeś co najmniej sto gramów.

– Trzeba go wypchać watą – stwierdził Szymek oglądając z troską wiszący luźno materiał.

– Teraz mała! – rzucił krótko Piotrek.

Głowa Otego ledwie zmieściła się w wąskim otworze. Dopiero z pomocą Szymka udało mu się przepchnąć.

– Zupełnie nieźle – powiedział Piotr. – Możesz śmiało występować w filmach kukielkowych.

– Przynieście lustro. Muszę zobaczyć, jak wyglądam.

Prośba została spełniona. Kosmita wpatrywał się w zwierciadło przez długie minuty przybierając najrozmaitsze pozy.

– Czy nie jestem za szczupły? – głos jego był przepojony autentyczną troską.

– Mała może być chuda – stwierdził Szymek tonem znawcy poprawiając łąkę na siedzeniu.

– Moim zdaniem, możecie się pokazać ludziom bez ryzyka. Nie ruszajcie się przez chwilę – powiedział Piotrek sadzając przyjaciół na tapczanie. – No jak? – zwrócił się do młodszego brata.

– Obaj wyglądają tak, jak trzeba.

Rzeczywiście. Galaktyczny językoznawca i dowódca wyprawy naukowo-badawczej z planety Dalek nie różnili się niczym od pluszowych zabawek.

Wczesnym rankiem obaj Dalekowie wychynęli z szuflady w nowych wcieleniach. Nij po długiej rozmowie z Otem przekonał go, że pójście z Szymkiem do przedszkola nie jest bardziej ryzykowne niż wyprawa z Piotrem do szkoły. Chłopcy zdają sobie sprawę, co im zagraża, i w razie niebezpieczeństwa przyjdą im z pomocą. Ukrywania się na dnie szuflady obaj już mieli dosyć.

Drogę do przedszkola przebyli obaj w torbie Piotrka. Pożegnali się przed progiem udzielając sobie nawzajem napomnień i wskazówek.

Szymek wbiegł do szatni trzymając Nija w dłoni.

– Phi – parsknęła pogardliwie Kaśka Sobocińska spoglądając na misia. – Ja mam w domu ładniejszego.

Nij poczuł się nieswojo, gdy uświadomił sobie, że to o niego chodzi, a Szymek musiał przygryźć język, żeby nie wypaplać, że to nie jest zwykły misiek, tylko prawdziwy przyjaciel, którego nie można kupić nawet w „Pewexie”.

Na korytarzu przed jadalnią zaczęła go pani Ela.

– Przecież wiesz, że nie można przynosić z domu zabawek.

– On jest mały i nie będzie przeszkadzał – głos chłopca przepojony był lękiem. Bał się, że pani Ela zabierze Nija do depozytu i odda dopiero przy wychodzeniu.



– No dobrze już, dobrze. Tylko żebyś nie płakał, jak miś ci się gdzieś zawieruszy.

Szymek odetchnął z ulgą. Dwie kolejne godziny minęły bez przygód. Było słonecznie i ciepło, więc dzieci poszły bawić się do ogródka. Szymek trzymał się na uboczu. Wetknął za koszulę Nija i szeptał mu do ucha. Rozmowa była jednostronna, bo Nij nie mógł odpowiadać ani zadawać pytań, a Szymek miał wielką ochotę na zjeżdżalnię.

– Zabrałbym cię. Zjeżdżanie jest fajne, ale mógłbyś się potłuc. Posadzę cię na chwilkę pod krzaczkiem przy płocie. Tutaj nikt cię nie znajdzie. Zjadę sobie trzy razy i wrócę do ciebie.

Pobiegł szybko i ustawił się w kolejce do zjeżdżalni.

Nij siedział w cieniu ukryty przed ludzkim wzrokiem, sam natomiast mógł bez przeszkód obserwować, co dzieje się dokoła. Powoli ogarniał go spokój i rozleniwienie.

Szymek natomiast zdążył już zjechać trzy razy, ale wydawało mu się, że to dopiero dwa, bo Grzesiek Osiński wypchnął go z kolejki, a potem postanowił zjechać po raz ostatni dodatkowo i wreszcie po raz najostatniejszy.

Nija wyrwało z krótkiej drzemki lekkie uderzenie w plecy. Nie mógł się obejrzeć. Musiał do końca grać rolę pluszowego niedźwiadka.

Gdy chłopiec wrócił po kilkunastu minutach, miejsce, które zajmował Nij, było puste. Szymek nie wierzył własnym oczom. Spoglądał co chwilę w tamtą stronę i był całkowicie pewny, że nikt nie podchodził do krzaczka, nie licząc Grzeska, który właściwie tylko przebiegł w pobliżu... Co się mogło stać? Wargi chłopca wykrzywiły się w podkówkę i poczęły drgać lekko.

Piotrek pieczołowicie ustawił torbę na środku ławki, rozchylił ją ostrożnie i posadził Otego tak, żeby mógł widzieć, co dzieje się w klasie. Siedzący w tej samej ławce Rafał Sikora przyglądał się tym zabiegom z wyraźnym niedowierzaniem. Znał Piotrka od dawna i nigdy go nie podejrzewał o słabość do maskotek.

– Co to jest? – zapytał wyciągając rękę w stronę Otego. Piotrek uchwycił jego dłoń w powietrzu i przycisnął do ławki.

– Zostaw! – warknął. – Nie widzisz, co to? Małpa.

– Zwariowałaś? – Rafał rozcierał rękę.

– Pożyczyłem od znajomego na klasówkę z matmy. Przynosi fart, tylko nie można jej dotykać.

Matematyka była przedmiotem, z którym Rafał miewał często kłopoty. Między innymi z tego powodu siedział z Piotrkim w jednej ławce. Słabość z tego przedmiotu była źródłem innej słabości: Rafał podatny był na wszelkiego rodzaju zabobony. Przed każdą klasówką pluł przez lewe ramię, pukał w nie malowane drzewo, bladł na widok czarnego kota i potrafił przejść całą drogę z domu do szkoły ani razu nie postawiwszy stopy na spojeniu płyt chodnika. Ten ostatni przesąd był jego własnym wynalazkiem. Dlatego spojrzał na rzekomą maskotkę z respektem i nadzieją.

– Na pewno działa?

– Dziewięćdziesiąt pięć procent skuteczności w promieniu metra – z kamienną twarzą powiedział Piotrek. Bluff okazał się skuteczny. Nie miał już wątpliwości, że Rafał nie tknie Otego palcem i nie pozwoli tego zrobić nikomu postronnemu. Trudno było o lepszego goryla dla ukrywającego się w przebraniu kosmity. Gdy Maciek Gałęcki siedzący przed nimi odwrócił się nagle i wykonał niezdecydowany ruch ręki spoglądając na maskotkę, otrzymał niespodziewanie potężnego szturchańca w kark.

– Co jest?! – jęknął z bólu i zdumienia.

– Nie dotykać! Małpa ma bioprądy. Jest pod napięciem – syknął Rafał. – Jakie znowu bioprądy? – zdziwił się Maciek.

– Działa na klasówki z matmy. Jest na gwarancji – pospieszył z wyjaśnieniem Piotrek.

– Aha – głos Maćka zabrzmiał głucho. On również gotów był liczyć bardziej na cud niż na własne umiejętności.

Tymczasem pan Jońca, matematyk, zaczął dyktować zadania dla pierwszego rzędu.

– Małpo, ratuj! – jęknął głucho Maciek notując gorączkowo. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że akurat z tym zadaniem nie powinien mieć kłopotów. Odwrócił się i z wdzięcznością cmoknął w kierunku Otego. Piotrek spokojnie zabrał się do roboty. On również nie przewidywał większych problemów. Jedyne Rafał tępo wpatrywał się w kartkę czując w głowie kompletną pustkę. Po pięciu minutach dał za wygraną. Odłożył długopis i podparł głowę dłonią. Stan kompletnej apatii trwał kilkadziesiąt sekund.

– Co z tobą, Rafał? – zapytał pan Jońca. – Masz zamiar przekazać mi rozwiązanie telepatycznie?

Chłopiec wziął do ręki długopis i dotknął papieru. Postawił kilka kresek i nagle uświadomił sobie, że rozumie zadanie i potrafi je rozwiązać. Był to stan nagłego olśnienia, nieprawdopodobny i zdumiewający. Rafał zaczął pisać w pośpiechu, obawiając się, że owa jasność zniknie jak sen i zbudzi go zwykły stan matematycznej tępoty. Gdy skończył, wpatrywał się z niedowierzaniem w zapisaną bez skreśleń kartkę.

Nawet nie zauważył stojącego za plecami pana Jońcy, który wydawał się równie zaskoczony jak jego uczeń.

– Już skończyłeś, Sikora? Nie do wiary...

– Sam nie wiem, jak to się stało, proszę pana, ale mogę to zrobić jeszcze raz.

– Będę ci musiał postawić piątkę – stwierdził nauczyciel biorąc do ręki pracę.

Niespodziewany sukces zaniepokoił Rafała.

– Może raczej czwórkę, proszę pana. Nigdy jeszcze nie miałem piątki z matmy. Boję się, że może mi się przewrócić w głowie.

– Niepotrzebnie się przejmujesz, mój drogi – powiedział życzliwie pan Jońca. – Następną klasówka jest za dwa tygodnie.

Przez klasę przetoczył się głuchy jęk.

Na przerwie Rafał przypadł do Piotrka z dziwnym błyskiem w oku.

– To ona! Jestem tego pewien. Nic nie umiałem. Możesz mi wierzyć! Dam ci za nią, co tylko zechcesz.

– Małpa nie jest do sprzedania – uciął Piotrek. – Poza tym nie jest moja.

– Powiedz temu facetowi, że dam mu, co tylko zechce. Wszystko, co mam – gorączkował się Rafał.

– Uspokój się... Pozbyłbyś się czegoś takiego na miejscu faceta?

– Racja – przyznał smętnie Rafał i uspokoił się nieco, gdy Piotrek obiecał, że będzie próbował wypożyczyć małpę na kolejną klasówkę z matematyki.

Lekcja wf miała odbyć się na świeżym powietrzu. Piotrek znalazł pod płotem ustronne miejsce z dala od kolegów i gdy upewnił się, że nikt go nie usłyszy, wydobył Otego z torby.

– Czy to ty pomogłeś Rafałowi?

– Owszem – odpowiedział Ote. – Patrzył na mnie z taką ufnością, że nie mogłem go zawieść.

Piotrek roześmiał się.

– Wiesz co? – przypomniał sobie nagle. – Mamy dzisiaj skok w dal. Jak myślisz, czy z twoją pomocą udałoby się uzyskać jakiś przyzwoity wynik? Mam szansę podciągnąć się z wf.

– Da się zrobić – odpowiedział Ote po chwili zastanowienia.

Piotrek ustawił torbę pod przylegającym do ogrodzenia żywopłotem i ruszył w stronę skoczni, gdzie nauczyciel przystąpił już do sprawdzania listy. Chłopiec stanął na rozbiegu jako siódmy. W czasie biegu potknął się, ale gdy odbił się od deski, poczuł dziwną lekkość. Z przerażeniem stwierdził, że ląduje za piaskownicą.

Nagle nastąpiło niesamowite zamieszanie.

– Proszę pana, Piotrek pobił rekord Europy! – usłyszał głos Maćka.

– Nie ze mną te numery, chłopaki – nauczyciel uśmiechnął się sceptycznie. W chwili gdy odbywał się skok, przeglądał stopnie w dzienniku. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że chłopcy postanowili zrobić mu kawał. Nie miał im zresztą tego za złe. Lubił sobie pożartować.

Prawdopodobnie skorzystali z jego nieuwagi, przenieśli kolegę i rzucili go na nogi za piaskownicą. Ślady stóp były płytkie.. Za płytkie jak na rekordowy skok.

– Jeśli uda ci się to powtórzyć, masz u mnie pięć do końca podstawówki.

Zgodnie z przewidywaniem chłopak odmówił. Udał, że skręcił sobie nogę w czasie skoku, i kulejąc odszedł w stronę żywopłotu.

Żywiolowy wybuch entuzjazmu po skoku Piotrka zaniepokoił Otego. Na wszelki wypadek schronił się w głębi torby. Wyglądało na to, że trochę przesadził z tym skokiem. Nie miał czasu na dłuższe rozmyślenia, bo torba nagle uniosła się w powietrze.

Nij stwierdził z przerażeniem, że ktoś przewraca go i przyciska do ziemi. W polu widzenia pojawiło się brązowe oko i wilgotny błyszczący nos. Zwierzę obwąchało go machając ogonem.

Był to bezański w zasadzie, piętnastomiesięczny pies, znany pod trzema różnymi imionami. Na wszystkie z nich reagował zresztą bezbłędnie. W przedszkolu występował jako Łatek, na pobliskim podwórku uważany był za Azora, na budowie nazywano go Kajtkiem. W przedszkolu dzieci zawsze miały coś do zjedzenia. Łatek wykonał podkop pod płotem i zjawiał się tam koło południa. Tym razem poczęstowano go na budowie solidną porcją kaszanki, nie odczuwał więc głodu. Przybył tutaj w celach rozrywkowych.

Tuż pod płotem znalazł coś, co nadawało się do zabawy. Trącił nosem, przycisnął łapą do ziemi i obwąchał, po czym ujął ostrożnie w zęby i tyłem wycofał się pod płotem.

Nij nie miał już najmniejszych wątpliwości, że było to najzwyklejsze w świecie porwanie i że jego sprawcą jest młody i zapewne głupi pies. Gdyby wiedział o tym wcześniej, zdołałby się obronić. Przed psem nie musiałyby udawać zabawki.

Tymczasem pies pędził zatłoczonymi ulicami, ile sił w łapach, trzymając w pysku językoznawcę, który zastanawiał się gorączkowo, co powinien zrobić w tej sytuacji. Całe szczęście, że jego ciało oddzielała od psich kłów gruba warstwa waty. Postanowił przy sprzyjającej okazji wyróżnić kidnapera w podniebienie. Prawą rękę miał wolną. Zaskoczony pies najprawdopodobniej wypuści go z pyska. Na ulicy nie miało to jednak sensu. Nij postanowił cierpliwie czekać. Tymczasem coraz bardziej oddalali się od przedszkola.

Na widok biegnącego psa dwie dziewczynki zatrzymały się. – Zobacz, to Azor! Ukradł komuś misia! – powiedziała mniejsza.

– Azor, do nogi! – krzyknęła większa, ale pies nie zareagował. Sumienie miał niezbyt czyste, więc wolał udawać, że nie słyszy.

Stukot psich pazurów ucichł. Pies biegł teraz po miękkim podłożu. Znaleźli się w parku. O tej porze dnia bywały tutaj matki z wózkami, przeważnie zbyt zaaferowane dziećmi, by zwracać szczególną uwagę na to, co dzieje się dokoła.

Językoznawca miał właśnie zadać zwierzakowi niespotykaną raczej odmianę ciosu w szczękę, wyprowadzanego od wewnątrz, gdy niespodziewanie pies zatrzymał się i wypuścił go z pyska, a sam usiadł naprzeciwko i dyszał wachlując się językiem.

Nij szybkim ruchem wyswobodził dłoń z rękawa i sięgnął do boku. Pies zareagował natychmiast. Zjeżył się i warknął ostrzegawczo, ale sprawiał wrażenie zbyt zaskoczonego, by zaatakować. Pod wpływem paraliżującego impulsu z analizatora zamarł w bezruchu. Nij nie musiał się już spieszyć. Rozejrzył się ostrożnie. W pobliżu siedziały dwie kobiety z małymi dziećmi, ale na szczęście odwrócone były tyłem i nie mogły niczego zauważyć. On sam siedział w cieniu krzewów i był niezbyt widoczny. Miał więc trochę czasu do namysłu.

Nij nie znał drogi powrotnej. Nie trafiłby ani do przedszkola, ani do domu. Zresztą przekradanie się przez miasto z oczywistych względów nie wchodziło w rachubę. Zabawki nie spacerują samodzielnie po ulicach.

– Wpakowałeś mnie w nielichą kabałę – mruknął pod adresem psa, który patrzył przed siebie nieruchomymi szklanymi ślepiami. Blisko godzinę językoznawca siedział i zastanawiał się, jak wrócić. O psie prawie zapomniał. Gdy wreszcie postanowił uwolnić go z transu, przyszedł mu do głowy szczęśliwy pomysł.

Było ich dwóch. Jeden w wytartej skórzanej kamizelce nabijanej ćwiekami i noszonej na gołe ciało. Strój i fryzura osobnika wskazywały na jego powinowactwo z punkami. Drugi na pierwszy rzut oka nie wyróżniał się niczym specjalnym. Ubrany był w dżinsy i trykotową koszulkę bez rękawów. Razem nie mogli mieć więcej niż trzydzieści pięć lat. Siedzieli w cieniu szkolnego żywopłotu i żłopali piwo. Nie mieli nic wspólnego z tą szkołą ani z żadną inną. Uznali obaj, że potrafią już wystarczająco dużo, żeby mieć to, na co mają ochotę. Poza tym, ogólnie rzecz biorąc, odczuwali obezwładniającą nudę. Szepty po drugiej stronie płotu nie interesowały ich początkowo. Dopiero po chwili ten wyglądający przeciętnie, jeśli nie liczyć bystrych, rozlatanych oczu, odezwał się półgłosem:

– Ty, z kim on rozmawiał?

– Z nikim. Nawijał do siebie. Pewnie świruje.

– Może miał magnet – mówiąc to obrócił się na brzuch i zerknął za ogrodzenie. – Zostawił torbę.

– No to już!

– Nie mogę dosięgnąć. Skacz przez płot.

Indywidualność w skórzanej kamizelce wspięło się na ogrodzenie.

– Zaczekaj... Teraz. Coś się porobiło, nikt nie patrzy w tę stronę.

Po chwili torba przefrunęła nad żywopłotem, a ten w kamizelce wcisnął się natychmiast w gąszcz krzaków klęcząc przy tym obficie. Gdy podrapany wspiął się po siatce, torba, którą przerzucił przed chwilą, świsnęła mu koło ucha i spadła dokładnie w tym samym miejscu, z którego ją podniósł. Jego kumpel siedział na trawie i rozcierał podbródek. Zeskoczył z płotu i rzucił się na niego bez ostrzeżenia. Młócąc się zapamiętale stoczyli się po trawie z niewielkiego wzniesienia. Po kilku minutach szamotaniny byli kompletnie wyczerpani.

– Frajerze – wystękał z pogardą ten w kamizelce.

– To nie ja...

– A co, sama poleciała?

– Sama.

Po tej wymianie zdań powrócili do przerwanej bójki.

Gdy Ote znalazł się w powietrzu, wywnioskował, że prawdopodobnie manipulując po omacku przy analizatorze, pokręcił coś z grawitacją. Jego wyczulony zmysł równowagi zarejestrował, że pokonał w powietrzu trzy metry w kierunku wschodnim. Gdy poczuł lekkie uderzenie w zetknięciu z ziemią, natychmiast skorygował popełniony błąd. W ciemnej torbie nie widział oczywiście, co dzieje się na zewnątrz. To nie przyrząd, lecz ręce wyrostka zamortyzowały upadek. Torba poszybowała w powietrzu tą samą drogą, tylko w drugą stronę. Po drodze zetknęła się z jakimś

twardym przedmiotem. Uderzenie było dość silne, ale Ote nie miał czasu zastanawiać się, co zaszło. Wylądował u stóp zdumionego Piotrka.

– Co on wyprawia! – chłopiec wydał stłumiony okrzyk i przypadł do torby.

Zza ogrodzenia dochodziły przekleństwa, głuche jęki i odgłosy uderzeń. Piotrek natychmiast schwycił torbę i chyłkiem opuścił podejrzanе miejsce.

Zaszył się z nią w kącie boiska i upewniwszy się, że w pobliżu nie ma nikogo, wydobył Otego. Po kilku minutach zrekonstruowali przebieg zdarzenia.

Tymczasem współnicy wymierzali sobie pod płótem zasłużoną karę za próbę kradzieży, nie zdając sobie sprawy, że grzmocą ich ręce ślepej sprawiedliwości.

Od tej chwili nauczony smutnym doświadczeniem Piotrek nie rozstawał się z torbą ani na moment, pozostałe lekcje upływały więc bez przygód.

Po lekcjach miał zabrać brata z przedszkola. Został Szymka w szatni. Mały był zapłakany i roztrzęsiony. Piotrek wiedział, co się stało, zanim mały zdołał wykrztusić te kilka słów. Nij zniknął.

Tymczasem zaginiony, czy raczej porwany, przypomniał sobie w porę jazdę przez las na zahipnotyzowanym kocie. Jazda wierzchem na psie nie wchodziła tym razem w rachubę. Po pierwsze, w krępującym ruchu przebraniu trudno byłoby się utrzymać na grzbiecie, po drugie, widok pluszowego niedźwiadka pędzącego wierzchem na bezpiecznym kundlu wydałby się podejrzanym. Nijowi przyszło jednak do głowy, że wrócić może w ten sam sposób, w jaki został dostarczony, czyli w psim pysku. Gdyby znał dobrze powrotną drogę, nie byłoby większych problemów. Rzecz w tym, że drogę znał tylko pies. Za pomocą analizatora Nij opracował dla Łatka program z zakodowaną w psiej pamięci drogą z parku do przedszkola. Wszystko poszło jak z płatka. Po dwudziestu paru minutach językoznawca został wniesiony przez dziurę w płocie na teren przedszkolnego ogródka. Przedszkole sprawiało jednak wrażenie całkowicie opustoszałego. Przybyli za późno.

Łatek zaczynał budzić się z transu, więc Nij potraktował go kolejną porcją paraliżującej energii. Nie odczuwał przy tym specjalnych skrupułów, pies był przecież winowajcą, sprawcą jego tułaczki. W ten sposób, choć nie dobrowolnie, miał okazję się zrehabilitować.

– Może się jeszcze na coś przydasz – rzucił pod jego adresem.

Sytuacja wyglądała niezbyt wesoło. W pierwszej chwili uznał, że najrozsądniej byłoby przeczekać noc w ogródku licząc na to, że Szymek odnajdzie go w tym samym miejscu, ale było przecież prawdopodobne, że jakieś inne dziecko uprzedzi go. Dzieci są spostrzegawcze. Szansę na szczęśliwy powrót oddała się wówczas na czas nieokreślony, a przyjaciele będą niepokoili się jego losem przez długie godziny, a kto wie, czy nie dni.

Nij znał wprawdzie warszawski adres chłopców, ale nie miał pojęcia, jak tam trafić, a ze zrozumiałych względów nie mógł nikogo zapytać o drogę. Jeśli chodzi o psa, adres był bezużyteczny. Szukanie na chybił trafił mogłoby trwać wiele godzin. Nowe domy są do siebie podobne. Z równym skutkiem mogłoby próbować je odróżnić za pomocą węchu... Węch... Że też nie przyszło mu to wcześniej do głowy. Psy dysponują przecież wspaniałym zmysłem powonienia. Zewnętrzna powłoka misia, wewnątrz której ukrywał się Nij, zachowała na pewno intensywny zapach Szymka.

Całe szczęście, że pies nie został jeszcze odprawiony. Po kilkunastu minutach kundel gotów był do wypełnienia misji. Plan był ryzykowny, ale miał nie mniejsze szanse powodzenia niż czekanie w ogródku.

Łatek złapał trop tuż przy wejściu do przedszkola i natychmiast ruszył truchtem przed siebie unosząc językoznawcę w pysku. Bez trudu odnalazł dom i właściwą klatkę schodową. Drzwi były

otwarte. Potem nastąpiła chwila konsternacji. Ślady Szymka prowadziły wprost do windy. Nij musiał wycofać psa w głąb korytarza, bo przed windą pojawiła się para lokatorów. Z pomocą przyszedł przypadek. Językoznawca kątem oka dojrzał prowadzące na górę schody, o których istnieniu nie miał dotąd pojęcia. Na szóste piętro dotarli bez przeszkód.

Nij znalazł się pod drzwiami mieszkania, ale nie wiedział, jak dostać się do środka. Początkowo sądził, że najłatwiej będzie, jeśli poczeka, aż Szymek lub Piotrek otworzą drzwi. Wcześniej czy później jeden z nich powinien się pojawić w progu. Ale równie dobrze może być to matka, ojciec albo jeszcze ktoś inny.

Wśliznąć się niepostrzeżenie? Po krótkim namyśle odrzucił tę ewentualność. Ryzykował rozdeptanie albo zmiżdżenie drzwiami w najgorszym wypadku, a rozpoznanie w najlepszym. Samobieżny pluszowy niedźwiadek musiałby wywołać nie lada sensację.

Gdyby to mama dostrzegła go pod drzwiami, rozpoznałaby bez wątpienia zabawkę Szymka i w krótkim czasie trafiłby do właściwych rąk. Ale jak tu zwrócić na siebie uwagę mając wzrost ogórka, a do tego nie mogąc się poruszyć ani krzyknąć? Postanowił wyręczyć się psem. Pomysł był na pierwszy rzut oka desperacki, ale nie pozbawiony szans powodzenia. Jeśli pies zacznie szczekać pod drzwiami, ktoś z domowników wyjrzy po pewnym czasie. Zobaczy wówczas dziwnie zachowującego się kundla i pluszową maskotkę. Pies, który spełni już swoje zadanie, wycofa się natychmiast, a nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie podejrzewał niewinnie wyglądającego misia, że to właśnie on jest sprawcą zamieszania.

Jak pomyślał, tak też uczynił. Łatek (czy jak kto woli Azor lub Kajtek) zaczął ujadać jak trzy psy razem wzięte i w ten sposób stał się godny trojga imion. Drzwi uchylily się po kilkunastu sekundach, a w progu stanął docent. Nijowi mrowie przebiegło po plecach. Zaczął się nagle obawiać, że ojciec chłopców podejdzie do wydarzenia z naukową dociekliwością. Twarz mężczyzny nie wyrażała jednak niczego poza zwykłym zdumieniem. Tymczasem pies, który wypełnił swoją misję, zakręcił się w miejscu i wyrwał w kierunku schodów. Docent wzruszył ramionami i ostrożnie podniósł misia z wycieraczki. Obejrzał go uważnie. Niedźwiadek był w oplotanym stanie. Ściśle mówiąc, wyglądał jak wyjęty psu z pyska, co w tym przypadku nie było przenośnią. Docent dostrzegł wprawdzie wszyty od spodu zamek błyskawiczny, ale nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Uznał to za przejaw mody.

– Szymek! – krzyknął zatraskując drzwi.

– Co?

– Mówi się: słucham.

– Co? – Szymek wykrzyknął jeszcze głośniejsz za drzwi swojego pokoju. Po chwili wyjrzał na korytarz.

– Był ktoś do ciebie – rzekł ojciec.

– Kto? – Nie przedstawił się.

– A jak wyglądał?

– Chodzi w futrze... na czterech łapach – odrzekł z uśmiechem ojciec i wręczył chłopcu misia. – Zdaje się, że tego szukałeś.

Szymek wyjął mu Nija z dłoni i nie mówiąc ani słowa pobiegł do swojego pokoju.

„Swoją drogą, czy to nie dziwne”, pomyślał docent, „że obcy pies przynosi do domu zgubę z przedszkola”. I wydało mu się to zaraz tak mało prawdopodobne, że przestał o tym myśleć.

Słowa ojca brzmiały tak dwuznacznie, że małe poczuł w głowie całkowity zamęt. W pierwszej chwili był przekonany, że ojciec odkrył tajemnicę pluszowego niedźwiadka.

– Nij, jesteś zdrowy? Nic ci się nie stało? – szeptał gorączkowo, gdy znalazł się wreszcie w pokoju, sam na sam z przyjacielem. Językoznawca stłumionym głosem opowiedział w dużym skrócie o swoich przejściach i zażądał czegoś do jedzenia.

Ote zabębnił w szufladę biurka. Chciał wiedzieć, co się stało.

Owa pierwsza, niezbyt fortunna, choć przecież zakończona szczęśliwie przebiegająca, nie zniechęciła ich jednak do dalszych prób. Potem byli wszakże o wiele ostrożniejsi.

Piotrek zabierał na lekcje Otego i Nija w przebraniu małpy. Zdarzało mu się zostawiać ich pod opieką Maćka albo Rafała. Otaczali oni maskotkę bałwochwalczą czią, ze względu na jej skuteczność w czasie klasówek z matematyki. W ich obecności nie było mowy, by ktokolwiek dotknął małpy palcem, gotowi byli w jej obronie rzucić się do gardła.

Tymczasem skończyło się lato i nastąpiła jesień, pora pożegnań.

Dwudziestego ósmego września, w piątek, profesor Matysik planował wyjazd do swojej dachy na Mazurach. Nie przypuszczał nawet, że jego podróż miała stanowić najważniejszy etap powrotnej drogi Daleków na ich odległą planetę. Piotrek od dłuższego czasu interesował się wyjazdowymi planami profesora, odwiedzał ojca w pracy i wszelkimi sposobami starał się przypodobać jego przełożonemu. Objawy gwałtownej adoracji przyjmował profesor z rozbawieniem i sympatią. Zorientował się szybko, że właściwy przedmiot zainteresowań nastolatka jest odległy o blisko dwieście kilometrów, i zaprosił chłopca na weekend. Dalekowie mieli więc dotrzeć na miejsce w komfortowych warunkach i pod dobrą opieką. Szymek też chciał jechać, ale rodzice nie zgodzili się stanowczo. Piotrek to co innego, jest już samodzielny. Nie wypadało obciążać starszego pana opieką nad sześciolatkiem. Szymek cierpiał podwójnie. Raz z powodu rychłego rozstania, po drugie dlatego, że w jego przypadku miało ono nastąpić o kilka dni wcześniej.

Terminu odlotu nie można było opóźnić nawet o godzinę. Pojazd ratowniczy ze względów bezpieczeństwa musiał wznieść się w przestrzeń, zanim ziemskie urządzenia namiarowe zdołają zlokalizować miejsce jego lądowania. Gdyby Nij i Ote nie zdążyli w porę znaleźć się na jego pokładzie, ich los byłby przesądzony. W ciągu paru godzin przestałyby działać mechanizmy przystosowawcze umożliwiające im życie na Ziemi i zginęliby jak ryby wyrzucone na brzeg. Szymek oczywiście rozumiał to wszystko, ale wcale nie cierpiał mniej z tego powodu.

We czwartek ojciec przyniósł straszną wiadomość. Profesor jest chory, nic poważnego, zwykłe przeziębienie, ma jednak wysoką gorączkę i nie ma mowy o wyjeździe na weekend. Piotrek zbłądł. Ojciec widząc rozpacz w jego oczach pocieszał go, że za tydzień profesor wydobrzeje i wtedy będzie można pomyśleć o wspólnym wyjeździe.

Ponurą wieść zakomunikował chłopiec kosmitom grobowym głosem. Zaległa długa, ciężąca jak ołów cisza.

– Jest tylko jedno wyjście – powiedział Piotrek, gdy odrzucili już wszystkie szaleńcze warianty podróży.

– Jakie? – ożywił się Ote.

– Zawiozę was autobusem.

– Rodzice nie pozwolą ci jechać samemu – wtrącił Szymek.

– Pojadę bez pozwolenia.

– Wiesz, co robi mama, jak się ktoś spóźnia – przypomniał Szymek. – Jesteś jeszcze za mały, żeby jeździć tak daleko autobusem. – Oni są jeszcze mniejsi i jeśli ich tam nie dostarczę, to w ogóle ich nie będzie. Masz lepszy pomysł?

– Nie, nie mam, ale ty nie masz nawet pieniędzy na bilet – rozsądnie zauważył malec.

– Racja – przyznał Piotrek – o tym jeszcze nie pomyślałem.

- A ja pomyślałem. Rozwalimy glinianą świnie. Mama mówi, że w środku jest z pięćset złotych.
- Ja mam sto. Powinno wystarczyć na podróż w obie strony.

Szymek przyniósł z kuchni młotek i zdjął z półki glinianą skarbonkę. Drobniejsze sumy wyciągał ze świni za pomocą noża. W środku było jednak kilka banknotów. Trochę mu jej było szkoda. Miała więcej lat niż on i Piotrek razem wzięci. Westchnął i rąbnął młotkiem w środek grzbietu. Skorupa dźwięknęła głucho i rozprysła się na kawałki.

Piotrek zacisnął kciuki. Kiedyś składano ofiary, żeby pozyskać bogów. Wyobraził sobie, że gliniana świnia jest taką symboliczną ofiarą.

Uzbierali w sumie sześćset czterdzieści trzy złote. Piotrek wymienił w kiosku bilon na banknoty. Obawiał się, że płacenie drobnymi może wzbudzić w kasie autobusowej podejrzliwość. Był przecież nieletni.

Planował, że pojedzie najwcześniejszym autobusem w sobotę, żeby nie tracić lekcji w piątek, ale los sprzysiął się, żeby podróż opóźnić. Wszystkie bilety w kierunku Mrągowa na sobotę były już wyprzedane.

- W takim razie proszę na piątek.

– Na piątek już nie sprzedajemy – kasjerka wskazała wywieszkę. – Może dostaniesz na dworcu, ale raczej wątpię. Ludzie zaczynają jeździć na grzyby.

- A czy są bilety na niedzielę?

Długo szukała w wykazach.

- Mam jeszcze kilka miejsc na szóstą rano.

Z takiego obrotu sprawy zadowolony był tylko Szymek.

- Nie przejmujcie się. W domu będzie wam weselej niż w lesie – stwierdził beztrząsko.

Kosmici rzeczywiście wyglądali na zmartwionych. Obawiali się, że wypadek może pokrzyżować ich plany. Nie mieli jednak wyboru. Dwa dni poświęcili na staranne przygotowania do podróży. Piotrek kupił dokładną mapę i wyrysował na niej trasę. Nie było to konieczne, wołał być jednak przygotowany na każdą ewentualność. Kosmici uzupełniali zapasy energii.

Szymek zachęcony przez Nija zasiadł do pisania listu z pozdrowieniami dla dzieci z planety Dalek. Językoznawca obiecał solennie, że list zostanie odczytany publicznie przed kamerami trójwymiarowej telewizji i rozślawi Szymka na całą galaktykę. Chłopiec sapał i kręcił się w krześle. Nie miał jeszcze dużej wprawy w samodzielnym formułowaniu zdań – nie chodził przecież do szkoły, a zależało mu bardzo, żeby nie był to zwykły, zdawkowy list, lecz coś niezwykłego. Bądź co bądź adresowany był do wielu milionów i miał być czytany w telewizji. Pisanie pochłonęło go do tego stopnia, że przestał się martwić.

Problemy zaczęły się na samym wstępie. Nie miał pojęcia, na jaki zdecydować się nagłówek. Najlepiej byłoby napisać: „Chłopaki”, ale dziewczyny mogą się poczuć urażone. „Dzieci” – brzmiało nie tak, jak trzeba. Tymczasem napisał: „Dziewczyny i chłopaki”, bo Piotrek poradził mu, żeby dziewczyny umieścić na pierwszym miejscu.

„Jestem jeszcze mały”. To było pierwsze zdanie, które zostało po namyśle skreślone. Szymek nie wiedział, jak się pisze „jeszcze”, a poza tym w porównaniu z tamtejszymi dziećmi był ogromny. „Jestem duży”, początkowo zdanie to miało brzmieć: „Jestem już duży”, ale Szymek nie wiedział, jak się pisze „już”, więc wołał je opuścić, bo Piotrka nie było w pobliżu. „Mam 6 lat”. Skończone. Wymówił to słowo na głos, zanim je zapisał, a ponieważ nabawił się kataru, zabrzmiało to: „skończone” i tak zostało zanotowane. „W polsce zimoł lepi się bauwany”. Wydawało mu się, że jest to istotna informacja. Dzieci Daleków mogły mieć kłopoty ze śniegiem.

W sobotę wieczorem list został ukończony i po poprawkach, które wprowadził Piotrek, przepisany na nowo.

W niedzielę o świcie Piotrek zerwał się na chwilę przed dzwonkiem budzika. Chlebak z kanapkami i mapą był już spakowany. Ubranie schował chłopiec w skrzyni na pościel. Kosmici przebrali się w wypróbowane wielokrotnie kostiumy.



Szymek przebudził się także. Patrzył nieprzytomnym wzrokiem mrugając zaspanymi oczami. Nie było czasu na długie pożegnania. W oczach chłopca pojawiły się łzy.

– Pamiętaj – przypomniał Piotrek. – Do wieczora ani słowa rodzicom. O niczym nie wiesz. Malec kiwnął głową.

Wymknęli się z domu niepostrzeżenie i na dworcu autobusowym znaleźli się na kwadrans przed podstawieniem autokaru. Wyśluzony sanos podjechał ciągnąc za sobą chmurę spalin. Silnik pracował nierytmicznie. Do Pułtusza autobus dotarł z półgodzinnym niemal opóźnieniem, kilka kilometrów za miastem nastąpiła awaria pompy paliwowej.

– Dalej nie pojedziemy – kierowca rozłożył ręce.

Piotrek spojrzął na zegarek. Było już po ósmej. Na pokonanie stu pięćdziesięciu kilometrów miał czternaście godzin.

Okolo szóstej matka zbudziła się. Po opuszczeniu łazienki wstąpiła do pokoju chłopców. Szymek spał. Łóżko starszego syna było puste. Zajrzała do kuchni i pokoju. Potem zauważyła, że drzwi wejściowe są otwarte. Na wieszaku nie było kurtki Piotrka. Wbiegła do pokoju i zbudziła męża.

– Piotrek zniknął!

– Może wyszedł do kolegi – wyraził przypuszczenie docent przecierając zaspane oczy.

– O szóstej!?

– Zwariowałaś? Budzisz mnie w niedzielę o szóstej?

Dopiero po chwili dotarło do niego, o co chodzi. Zbudzili Szymka, ale malec milczał jak zakłęty. Nie ulegało wątpliwości, że wie coś o zniknięciu brata, a jednak prośby ani groźby nie skutkowały. Nie odpowiadał na pytania.

– Nie pozostaje nam nic innego, jak zawiadomić milicję – zawyrokowała matka.

Szymek podniósł głowę. W jego oczach pojawił się strach.

– Piotrek nie zrobił nic złego – wykrztusił.

– Więc jednak wiesz, gdzie on jest – ojciec przysiadł na łóżku i ujął go za ramiona. – Musisz nam powiedzieć.

– Nie mogę, to tajemnica. Piotrek przyjedzie wieczorem.

– Więc wiemy już, że wyjechał – stwierdziła matka. – Dokąd?

Malec zacisnął usta.

– Był bardzo zawiedziony, że nie jedzie z Matysikiem na Mazury – przypomniał sobie docent. – Byłem trochę zdziwiony jego reakcją. Miał jakieś pieniądze?

– Chyba nie.

Szymek spojrzął ukradkiem na półkę. Oczy matki powędrowały za jego wzrokiem.

– Gdzie skarbonka?

Szymek milczał ze zwieszoną głową.

– Wiemy już, że miał pieniądze na podróż – ojciec zastanawiał się głośno. – Wiemy, że wyjechał. Pytanie: dokąd.

– Jestem przekonana, że pojechał do domku profesora.

– Nie – zaprotestował gwałtownie Szymek.

Rodzice wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

– Może to nic poważnego – powiedział ojciec.

– Dwunastoletnie dziecko ucieka z domu, a ty twierdzisz, że to nic poważnego! – zachnęła się matka.

Przekonanie męża, że należy zawiadomić milicję, było już kwestią czasu.

Oficer dyżurny uśmiechnął się sceptycznie, gdy dowiedział się, że zaginięcie nastąpiło przed niespełna dwoma godzinami, ale wówczas matka wydobyla wycinek gazety.

– Mój syn pomógł swego czasu organom ścigania, więc sądzę, że zasłużył sobie na pewne względy – rzuciła cierpko.

– A, więc to jest ten zuch – milicjant podrapał się w głowę. – Obiecuję pani, że zrobimy wszystko, co możliwe, żeby go jak najszybciej odnaleźć.

Po kilkunastu minutach miał meldunek, chłopca odpowiadającego rysopisowi widział na dworcu wywiadowca. Zapamiętał go, bo chłopak podróżował sam.

Oficer spojrzął na zegarek. Za kilkanaście minut autobus powinien zatrzymać się w Przasnyszu. Wykreślił numer komendy w tym mieście, podał rysopis i odpowiednie dyspozycje. Nie minęło pół godziny, gdy na jego biurku zadzwonił telefon. Przasnysz meldował, że autobus został unieruchomiony pod Pułtuskim na skutek awarii, jest jednak szansa, że chłopak stoi jeszcze na trasie, bo autobus był zajęty do ostatniego miejsca, a ruch na drodze z powodu kłopotów z benzyną był raczej nikły.

Część pasażerów zabrał wycieczkowy autokar jadący do Szczytna. Piotrek nie zdążył. Poszedł kilkaset metrów do przodu, zboczył nieco w las i przegapił jego przejazd.

Przejechał mały fiat, ale jego kierowca nie zatrzymał się. Skierował wskazujący palec w dół, co oznaczało, że jedzie niedaleko. Przez następny kwadrans na drodze nie pojawił się żaden pojazd. Chłopiec usiadł w rowie, ale zaraz podniósł się, bo usłyszał w oddali warkot silnika. Rzeczywiście, na horyzoncie pojawił się jadący z dużą szybkością polonez. Chłopiec uniósł rękę niezdecydowanym gestem. Wóz minął go, ale po przejechaniu kilkudziesięciu metrów zatrzymał się z piskiem opon. Piotrek rzucił się biegiem.

Za kierownicą samochodu siedział mężczyzna o mocno zarysowanej szczęce.

– Bardzo panu dziękuję – wymamrotał zajmując miejsce obok kierowcy.

– Nie ma za co – odpowiedział mężczyzna flegmatycznie – to mój obowiązek.

Dopiero teraz Piotrek dostrzegł zainstalowany obok siedzenia radiotelefon.

– Wracasz do domu, Piotrek – powiedział tym samym tonem unosząc słuchawkę. – Zdjąłem chłopaka z trasy. Jedziemy do Pułtusza.

Chłopiec ukrył twarz w dłoniach. Czuł się jak sparaliżowany. Nagle rozjaśniło mu się w głowie.

– Może się pan na chwilę zatrzymać? Muszę na moment do lasu.

– Czemu nie? Zrobimy sobie przerwę na papierosa. Nie ma pośpiechu – powiedział hamując. – Tylko nie próbuj zwiewać. Biegałem kiedyś jedenaście na sto.

Mężczyzna miał na oko około trzydziestki i wyglądał na sprawnego fizycznie. Piotrek przygryzł wargę.

Kierowca przypalił papierosa.

– Nie odchodź daleko. Wolę cię mieć na oku.

Chłopiec stanął pod krzakiem i udawał, że rozpina spodnie.

– Co się stało? – pisnął Nij wystawiając głowę z chlebaka.

– Wpadłem. Nie wiem, co robić – szepnął chłopiec.

– Wypuść nas. Będziemy radzić sobie sami – z torby wydobyl się głos Otego.

Nie było czasu do namysłu. Piotrek dostrzegł kątem oka, że kierowca poloneza gasi papierosa rozgniatając go starannie na poboczu i wolnym krokiem rusza w jego stronę. Szybkim ruchem rozpiął chlebak i położył go na ziemi.

– Szybciej! Chowajcie się za krzakiem! – rzucił zduszonym szeptem. Poprawił garderobę i pośpiesznie odszedł kilka kroków.

– Zapomniałeś o torbie, Piotrek – zauważył mężczyzna.

– Mogę wrócić?

– Pospiesz się.

Stał oparty o maskę nie spuszczać chłopca z oka. Piotrek przykucnął. Dyskretnym ruchem wydobyl z chlebaka mapę i wsunął ją pod gałęzie.

– Zostawiam mapę. Może się wam przydać – szepnął starając się nie poruszać wargami.

– Radio! – z krzaka wydobył się cienki głos Nija.

Piotrek nie rozumiał, o co chodzi, ale nie było już czasu na wyjaśnienia.

– Co ty tam wyprawiasz! – usłyszał za plecami zniecierpliwiony głos milicjanta.

Po chwili trzasnęły drzwi i zawył silnik. Dalekowie patrzyli w milczeniu na odjeżdżający samochód. Od tej chwili zdani byli tylko na własne siły. Sytuacja była trudna, ale nie beznadziejna. Mieli cały dzień na dotarcie do miejsca lądowania.

Gdy zorientowali się, że Piotrek został zatrzymany, mieli początkowo zamiar obezwładnić mężczyznę, ale odrzucili ten pomysł po krótkim namyśle. Rysopis ich młodocianego opiekuna został przekazany posterunkom na trasie. Wcześniej czy później znaleźliby się w nowych tarapatach. Obecność chłopca niczego by im nie ułatwiła, wręcz przeciwnie – naraziliby go jedynie na kłopoty. Przy okazji mieliby na karku dobrze zorganizowaną pogoń.

Ote szarpał się z płachtą mapy wielką jak żagiel. Rozłożyli ją wreszcie na trawie. Wiatr szeleścił papierem, musieli więc przycisnąć ją do ziemi własnymi ciałami.

– Nie możemy wlec tego ze sobą. Zanotuję trasę – skrzywił się Ote sięgając po uniwersalny analizator.

Po chwili podmuch wiatru oderwał mapę od ziemi i uniósł ją ponad wierzchołki drzew.

– Co dalej? – Nij spojrzał z nadzieją na dowódcę.

– Na piechotę nie zdołamy tam dotrzeć. Potrzebny jest jakiś środek lokomocji – odpowiedział Ote po namyśle. – Musimy dotrzeć do jakiejś miejscowości i porwać samochód.

Plan był szaleńczy, ale nic innego nie przychodziło im do głowy. Ote ściągnął z siebie małpie futro. Językoznawca poszedł w jego ślady. Mieli przed sobą kilka godzin marszu, a przebranie kępowało ruchy.

Do pierwszych zabudowań dotarli w porze obiadowej. Z otwartych okien dobywały się odgłosy wyświetlanego w telewizji filmu. W pobliżu nie było widać ludzkich istot. Ote dostrzegł zaparkowaną na poboczu syrenkę. Przemknęli pod płotem nie zauważeni przez nikogo i ukryli się pod samochodem.

– Trzeba otworzyć drzwi – zakomenderował Ote przygotowując analizator.

– Zaczekaj! – Nij przytrzymał go za ramię. Zdażył zauważyć, że podwozie syrenki było dziurawe jak rzeszoto. Weszli do środka przez jedną z licznych dziur. Ote zabrał się natychmiast do studiowania mechanizmu. Trwało to dosyć długo, wreszcie palnął pięścią w pedał gazu.

– Według analizatora ten pojazd nie nadaje się do użytku. Jest zbyt niebezpieczny – wycedził przez zęby ze złością.

– Rozkaz mu, żeby przestał mędrkować. Niech pomoże go uruchomić, jeśli to możliwe.

Analizator zastrzegł, że jest to zadanie o najwyższej skali trudności i zajmie około godziny. Nie mieli wyboru. Siedzieli jak na szpilkach. Upłynęło czterdzieści pięć cennych minut, nim zadanie zostało wykonane. Syrenka zakaszła dychawicznie, potem zaryczała jak ranny bawół, szarpnęła i wreszcie potoczyła się po drodze prychając i klekocząc.

Drzwi pobliskiego domu otworzyły się z trzaskiem i na ulicę wypadł grubas w podkoszulku.

– Rany boskie! Ludzie, ratunku! – wrzeszczał biegnąc środkiem szosy. – Ukradli mi samochód.

Nij wdrapał się na zagłówek i spoglądał przez tylną szybę.

– Mam nadzieję, że nas nie dogoni – mruknął bez przekonania.

Poszkodowany padł na kolana. Otoczyła go grupka sąsiadów.

– Taki samochód! Osiem lat bez naprawy! – jęknął

– Nie przejmuj się, Hieniek – pocieszał go ktoś życzliwy. – Daleko tym rzęchem nie zajadą.

Tymczasem syrenka wspomagana dwoma sprzężonymi strumieniami energii po raz pierwszy przekroczyła szybkość stu dwudziestu kilometrów na godzinę i mknęła po pustej szosie wydając osobliwe i przerażające dźwięki. W lesie za Przasnyszem miała miejsce pierwsza awaria. Zapchał się gaźnik. Usunięto defekt. Po przejechaniu kolejnych kilku kilometrów skończyła się benzyna. Kosmici pozostawili rozdygotany wrak na poboczu i ruszyli w dalszą drogę pieszo. Udało im się pokonać dwie trzecie trasy, ale czas płynął nieubłaganie. Czerwone słońce dotknęło linii horyzontu. Obaj byli już wyczerpani wielogodzinnym forsownym marszem. Od godziny nie zamienili ze sobą ani słowa. Ekspedycja ratunkowa dotarła już do Układu Słonecznego.

Nagle usłyszeli za plecami dziwny odgłos, jakby ktoś rytmicznie uderzał kijem w asfalt.

Kierowca błękitnej toyoty spojrzął na licznik. Szybkościomierz wskazywał ponad sto kilometrów na godzinę. Kątem oka dostrzegł konny wóz z woźnicą, który spał wsparty na bacie. Spojrzął w lusterko nie wierząc własnym oczom. Koń zabierał się do wyprzedzania. Kierowca zahamował gwałtownie i zjechał na pobocze. Wóz przemknął jak strzała i zniknął na zakręcie. W powietrzu unosiły się źdźbła rozwianego siana.

Mężczyzna drżącymi rękami przypalił papierosa.

Stefan Pestka ocknął się na koźle tuż pod drogowskazem. Obudziła go cisza. Nie słyhać było stukotu końskich kopyt ani klekotania wozu. Zmora, ośmioletnia kobyła, trafiała do domu sama.

Pestka przetarł oczy i wytrzeszczył je na drogowskaz. „Mrągowo piętnaście”, wymamrotał ziewając. Za drogowskazem rozciągała się gładka tafla wody. „Padało”, zarejestrował obojętnie i nagle otrzeźwiał. Rozejrzał się wokół.

– Rany boskie! Przespałem pół Polski!

Włosy zjeżyły mu się na głowie. Padł na kolana i zaczął modlić się gorąco, ślubując, że przez rok nie weźmie gorzały do pyska. „To znaczy do końca tego roku”, poprawił się po namyśle i przeżegnał się jeszcze.

– Dziesięć minut – powiedział Ote martwym głosem.

– Nie zdążymy.

Nad lasem zarastającym przeciwległy brzeg jeziora lśniła srebrzysta luna.

– Dziewięć minut – stwierdził Ote beznamyślnie. Czuł, że ich los jest już przesądzony. Miał wrażenie, że liczy ostatnie chwile swego życia.

– Jest tylko jedna szansa – Nij starał się przekrzyknąć porywisty wiatr. – Wspiąć się na drzewo i dawać sygnały.

– Urządzenia namiarowe działają tylko w promieniu trzystu metrów. – Trzeba spróbować – upierał się Nij.

Wdrapali się na wierzchołek wyniosłego świerka. Wicher szarpał drzewem, jakby chciał je zepchnąć do jeziora.

– Pięć minut – powiedział Ote.

Nij przesunął dłoń po gałęzi. Poczul pod palcami naprężony sznurek.

– Ote! Tu coś jest.

Odpowiedziało mu milczenie.

– Ote! To jest latawiec, zaplątał się w gałęzi! Szybciej! Wiatr może za chwilę zmienić kierunek!

Po chwili leżeli na papierowej platformie.

– Teraz!– zakomenderował Nij.

Sznurek pękł z trzaskiem i silny podmuch wiatru rzucił ich nad jezioro. Obaj wydali okrzyk triumfu. Brzeg był coraz bliższy. Nagle wiatr ucichł. Latawiec zachybotał i zaczął spadać w dół.

– Trzy minuty – zdążył powiedzieć Ote.

– Myślisz, że zdążyli? – szepnął Szymek.

Piotrek nie odpowiedział. Gnębił go niepokój. Nie mógł sobie darować, że musiał zostawić przyjaciół własnemu losowi. Być może nigdy nie dowie się, czy przeżyli. Szczęśliwe zakończenia występują tylko w książkach dla młodzieży.

– Smutno jest – stwierdził Szymek markotnie. – Mogę włączyć radio?

– Włącz – odpowiedział machinalnie.

Szymek włożył pod biurko.

– Chyba coś się popsuło.

– Daj, ja spróbuję.

Przesunął potencjometr. Z aparatu dobywały się suche trzaski. Nagle zakłócenia zanikły.

– Tu Nij ze statku ekspedycji ratunkowej. Jesteśmy ocaleni.

– Pozdrowienia od małpy – wtrącił Ote i nagle głos mu się załamał.

– Żegnajcie. Żegnajcie... A może...

Bracia wrzasnęli chórem aż zatrzęsły się ściany. W sąsiednim pokoju ojciec poderwał się od stołu przewracając krzesło.

Ostatnie słowa Otego utonęły w tumultcie.

**Korekta: Agnieszka Pankowiecka**